

ROKSTAM



BŁAŻEJ WILCZYŃSKI

ROCKSTAR

autor: Błażej Wilczyński ([instagram.com/blazej_wilczynski](https://www.instagram.com/blazej_wilczynski))

okładka: Sainer ([instagram.com/sainer_etam](https://www.instagram.com/sainer_etam))

Zdarzenia w książce są fikcją literacką. Ewentualne podobieństwo postaci, zdarzeń i okoliczności jest przypadkowe.

Kontakt: blazej.wilczynski@gmail.com

Rozdział 1

„Gdy twój świat wali się na tysiące kawałków, pamiętaj, żeby łapać te świecące i maczane w alkoholu”

Padał rzęsy deszcz, ale nie za bardzo się tym przejmowałem. Moje ubranie i tak nie miało żadnego suchego kawałka. Był szósty grudnia, więc można by chociaż nieśmiało liczyć na jakiś pierwszy śnieg, który wprowadziłby świąteczny klimat, a tak pozostało mi tylko kląć na to grudniowe przedłużenie listopada. Moja mama zwykła mawiać, że grudzień to miesiąc największych niespodzianek...

Tak, urodziłem się w grudniu. W dodatku dokładnie trzydzieści lat temu. Z tego powodu przed dwudziestoma dwoma godzinami specjalnie wyłączyłem telefon, żeby nie odbierać tych ironicznych życzeń typu „szczęśliwej trzydziestki”. Mogę się założyć, że tym razem napisało do mnie o połowę więcej osób, niż to miało miejsce rok temu. Ludzie naprawdę lubią ci przypominać o twoich osobistych tragediach. Dobrze, że czterdziestka dopiero za 10 lat. Wtedy chyba naprawdę wyłączę telefon na tydzień przed, bo z czasem znajomi robią się coraz bardziej przebiegli.

Kiedy w końcu dobiegłem do przystanku autobusowego, wyciągnąłem moją gitarę akustyczną z pokrowca, który tak jak moje ubranie, można było opisać trzema słowami: „niemal stuprocentowa wilgotność”. Kurde. Czy nie takimi słowami określa się pierwszy wyjazd nastolatków pod namiot?

Wykręciłem przemoczony pokrowiec jak najmocniej umialem i z powrotem włożyłem do niego gitarę, która na szczęście miała około piętnaście lat. Zdążyła przeżyć już tyle, że taki nie do końca ciepły i taki nie do końca letni deszcz, działał na nią niczym oczyszczająco – wygładzający kremik.

Zabawne. Kiedy w wieku czternastu lat zaczynałem się uczyć grać na gitarze, nie mogłem nawet podejrzewać, że ten instrument będzie moim jedynym źródłem utrzymania w wieku trzydziestu lat. Oczywiście nie jestem gwiazdą rocka. Po prostu uczę grać dzieciaki, które też chcą zostać gwiazdami rocka, także chyba powinienem zacząć uczyć też siebie, bo oczywiście też chcę zostać... gwiazdą rocka. Grałem nawet w kilku kapelach, ale kiedy zaczęła się robić z tego poważniejsza sprawa, ktoś nagle stwierdzał, że mu bardzo przykro, ale że praca albo że za niedługo się żeni i nie ma czasu na granie. No tak. Gwiazda rocka + praca + żona to bardzo nielogiczne połączenie. Niestety prawda jest taka, że większość amatorskich muzyków po prostu wyrasta z marzenia zwanego „Rockstar” i zaczyna zajmować się normalnym życiem, ale chyba u mnie ta cecha całkowicie zanikła.

Nawet mi samemu trudno uwierzyć, że wszystko wyglądało całkowicie inaczej jeszcze pięć miesięcy temu. Przez dziesięć lat pracowałem w agencji reklamowej należącej do ojca mojej dziewczyny. To znaczy aktualnie mojej byłej dziewczyny. A jeśli ktoś nie wie, jaka jest różnica pomiędzy wspaniałym szefem, a beznadziejnym

szefem, to już tłumaczę, że jest dokładnie taka sama jak między dziewczyną, a była dziewczyną. Szef oprócz oczywistej zmiany nastawienia, również staje się były.

Tym samym stałem się bezrobotny i rzucony przez dziewczynę, z którą byłem jedenaście lat. Niektórzy ludzie nazywają taką sytuację życiowym zakrętem lub jeszcze jakimś innym bardziej depresyjnym stwierdzeniem. Ci sami ludzie wyjeżdżają wtedy na przykład do Indii aby, jak to twierdzą, zdefiniować siebie od nowa. Czasem też wstępują do klasztoru, czasem zaczynają pić albo brać mniej lub bardziej dozwolone środki. Albo może robią to wszystko naraz.

Ja wybrałem trochę inną ścieżkę własnej reaktywacji, a mianowicie zacząłem studiować architekturę i zamieszkałem w akademiku, co zmusiło mnie do wyprowadzki z mojego rodzinnego miasta. Nie było to jednak aż takie straszne, bo podobno w czasie życiowych zakrętów nic tak nie pomaga, jak całkowita zmiana otoczenia.

Nie mogę jednak zaprzeczyć, że w ogóle nie obawiałem się skutków swojej decyzji. Rozpocząć studia i zamieszkać w akademiku w wieku trzydziestu lat, to niemal to samo jak skończyć osiemnastkę i na drugi dzień zapisać się do przedszkolnej grupy starszaków. Jednak w czasach, gdy moi rówieśnicy szli na studia, moja głowa była wypełniona słowem „Rockstar” (w sumie jest nadal), a teraz kiedy moi rówieśnicy zakładają rodziny, postanowiłem nadrobić swoje naukowe zaległości. Naprawdę kocham swoje mentalne, dziesięcioletnie opóźnienie. Lecz z drugiej strony studia nie wydawały mi się wtedy potrzebne, bo trzeba odpowiedzieć sobie na jedno bardzo ważne pytanie. Po co idzie się na studia? Według mnie istnieją trzy powody. Pierwszy i bardzo oklepany to ten, że studia mają zapewnić później dobrą pracę. Drugi, jeszcze bardziej oklepany to taki, że na studiach trzeba zaimprezować za resztę życia, zupełnie jakby w momencie ukończenia uczelni dostawało się pierwszą zniżkę na swoją własną trumnę. Zapomniałem dodać, że punkt numer dwa należy pomnożyć razy trzy. Trzeci i ostatni powód jest taki, że na studiach należy znaleźć dziewczynę. Ten punkt niektórzy mnożą razy dwadzieścia, a niektórzy razy zero. W tym przypadku nie ma żadnej reguły.

Jak już wspominałem, w wieku w którym należy iść na studia, miałem nie tylko dziewczynę, ale i dogadaną pracę u jej ojca. Imprez też nie brakowało, a nieramowy czas pracy w agencji reklamowej był tutaj tylko atutem. Także w tamtym czasie wydawało mi się, że studia przeszkodzą mi tylko i w karierze muzycznej i w karierze zawodowej. Jak się później okazało, odnośnie tej muzycznej kariery, nie za bardzo miały czemu przeszkadzać.

Spojrzałem na zegarek. Była 22:15. Już miałem zakląć na spóźniający się autobus, a ten pojawił się jednak w oddali, zupełnie jakby na moje osobiste zawołanie.

– Mam nadzieję, że nie wyczerpałem limitu urodzinowych życzeń na dzisiaj – powiedziałem cicho do siebie, wchodząc do środka.

Wewnątrz autobusu nie było dużo osób. Właściwie znajdowały się tam tylko dwie dziewczyny, które na moje oko miały jakieś piętnaście lat. Ich ubiór mocno

wskazywał, że są ofiarami niemożliwego połączenia – modowych wskazówek z instagrama oraz budżetu własnego kieszonkowego. To nigdy się nie udaje.

Usiadłem blisko nich i z nudów zacząłem się przysłuchiwać prowadzonej rozmowie. Chuda blondynka trochę zbyt głośno opowiadała swojej jeszcze chudszej koleżance najnowsze szkolne plotki. Po chwili jej głos wszedł na jeszcze wyższe rejestry i z niesamowicie rozbudowaną gestykulacją rąk mówiła, że Tomek i Ala od tygodnia się całują i chodzą za ręce, ale, jak to zaznaczyła całkowitą zmianą intonacji, nie są ze sobą. Mimowolnie się uśmiechnąłem.

– Później ludzie robią dużo gorsze rzeczy i też nie są razem – pomyślałem, a niewinny uśmieszek nie schodził z mojej twarzy przez dłuższą chwilę.

Nastolatka cały czas kontynuowała swoje szkolno – miłosne rewelacje. Tym razem nie mogła zrozumieć, dlaczego Paulina nie zerwała z Damianem, skoro odwiedził swoją byłą i pożyczył jej zeszyty z matematyki. Naprawdę nie mogłem się powstrzymać i parsknąłem donośnym śmiechem, co nie uszło uwadze dziewczyn, które przez moment wpatrywały się we mnie zmrużonymi oczyma. Odwzajemniłem uśmiech, wciąż podtrzymując swoje zdanie z odrobinę zmienioną końcówką. Później ludzie robią dużo gorsze rzeczy i wciąż są ze sobą.

Dziewczyny wysiadły dwa przystanki przed moim, a gdy drzwi od autobusu zamknęły się, jedna z nich uroczyście pożegnała mnie środkowym palcem. Kolejny raz odwzajemniłem uśmiech, lecz dodatkowo poczułem się strasznie staro. Już prawie zapomniałem czasy, kiedy w ten sam sposób rozwiązywałem problemy z przemądrzałymi dorosłymi.

W czasie, który pozostał do mojego przystanku, włączyłem telefon i słuchałem odgłosów nadejścia kolejnych wiadomości tekstowych. Gdy mój smartfon w końcu zamilkł, stwierdziłem, że naprawdę kocham funkcję „usuń całą skrzynkę odbiorczą”.

Przeszedłem przez w połowie przeszklone drzwi, a następnie machnąłem ręką do portiera, którym był aktualnie Królik. Był on grubo po pięćdziesiątce i miał fryzurę na starego fana punk-rocka, czyli zbytnio wygolone boki i za bardzo zostawiona góra. Klasyczny mullet lub jak kto woli – czeski piłkarz. W oczy rzuciła się też jego nadwaga, czego odzwierciedleniem był ogromny brzuch, który tym razem był całkiem nieźle ukryty pod biurkiem. Jego przezwisko „Królik” było dosyć przewrotne, ponieważ wzięło się od tego, że użębienie Królika nie zawierało dwóch górnych jedynek. Legenda głosi, że było to spowodowane otwieraniem browarów. Nie mam pojęcia czemu, ale jestem w stanie w to uwierzyć.

Po dwóch miesiącach mieszkania w akademiku, wszyscy portierzy mniej więcej mnie kojarzyli, więc nie musiałem już za każdym razem pokazywać karty mieszkańca. Królik uniósł tylko wzrok i ignorując moje machnięcie, nacisnął przycisk, otwierając drugie drzwi. Najwyraźniej nie miał dzisiaj humoru, co może

było spowodowane brakiem wymarzonego prezentu od św. Mikołaja. Sam nie wiem. Przecież moje dzisiejsze Mikołajki też aktualnie wygrywały konkurs na „najgorsze Mikołajki w roku”.

Ruszyłem schodami ku górze, ale zatrzymałem się i usiadłem na półpiętrze między pierwszą, a drugą kondygnacją. Nie chciałem jeszcze iść do pokoju, bo musiałem w godny sposób rozpocząć swoje małe, urodzinowe świętowanie. Wyciągnąłem z wilgotnej kieszeni kurtki trzy bułki cebulowo – czosnkowe. Nie mam pojęcia czemu, ale naprawdę kocham bułki cebulowo – czosnkowe i od ponad dziesięciu lat szczerze marzyłem, żeby zjeść je we własne urodziny. Było to jednak trochę skomplikowane, ponieważ od ponad dziesięciu lat spędzałem je ze swoją dziewczyną, a ten rodzaj bułek był na samym szczycie listy urodzinowych produktów zakazanych.

Trzy kęsy później mocno chuchnąłem i upewniło mnie to w przekonaniu, że przez najbliższe cztery godziny jestem odporny na wampiry i na dziewczyny. Nie wiedziałem tylko na kogo bardziej.

Po pochłonięciu wszystkich bułek poczułem dziwne ukłucie w brzuchu. Ale nie było to ukłucie spowodowane połączeniem czosnku i cebuli. Raczej takie, które mam zawsze, gdy nie wiem dokładnie co mam dalej robić. Nawet najlepsza wróżka w mieście gdyby mnie zobaczyła, powiedziałaaby, że w swojej czarodziejskiej kuli widzi jedynie pomroczość cienistą. I byłaby to najlepsza, możliwa przepowiednia. Po chwili przypomniałem sobie, że jak byłem mały i przeżywałem jedną z tragedii ery podstawówki, moja mama przychodziła do mnie do pokoju i mówiła, żebym położył rękę po lewej stronie klatki piersiowej. Następnie pytała, czy słyszę jak bije mi serce. Po moim skinięciu głową, dodawała, że to dlatego, bo mam jeszcze dużo wielkich rzeczy do zrobienia. Może to banalne, ale zawsze mi pomagało.

Teraz, kilkanaście lat później też położyłem rękę po lewej stronie i po chwili wyczułem szybkie bicie serca spowodowane pewnie lekkim nadciśnieniem wynikającym z mojego trochę zbyt intensywnego temperamentu i kilku tanich piw w ostatnim tygodniu. Wciąż trzymając rękę w tej samej pozycji, zamknąłem oczy i powiedziałem:

– Trzymaj się, bo mamy kilka naprawdę wielkich rzeczy do zrobienia.

Duży plakat z siedzącym Kurtem Cobainem, który zaciąga się papierosem, prawie zakrywał numer mojego pokoju – 319. Minęły już dwa miesiące, a ja wciąż nie przyzwyczailem się ani do tych drzwi, ani do samego pokoju. Po dziesięciu latach mieszkania w jednym miejscu, przeprowadzka do akademika sprawiła, że czułem się jakbym codziennie budził się w innym świecie. Mało osób zdaje sobie z tego sprawę, ale o tym czy dane miejsce wydaje nam się znajome, nie decydują wcale meble, dekoracje i tego typu sprawy, ale zapachy. Czasami nawet nie można stwierdzić, czy

dany pokój ma jakiś zapach, ale na szczęście lub może na nieszczęście zawsze go ma. Z tego powodu całkowite zaaklimatyzowanie w akademiku bywa takie trudne. Występuje tutaj niemal zapach na zapachu, a połączenie woni średnio drogich perfum, zepsutej szynki i końcówki czosnkowego sosu do pizzy pachnie naprawdę bardzo uroczo. Oczywiście to tylko bardzo delikatny przykład z wielu nieskończenie możliwych bukietów zapachowych akademika. I słowo bukiet jest chyba tutaj całkowicie nie na miejscu.

Szybko nacisnąłem klamkę i po chwili znalazłem się we wnętrzu pokoju, ale zdziwiło mnie, że w środku było zupełnie ciemno. Trzeba pamiętać, że w akademiku jest tylko jedna sytuacja, kiedy jest całkowicie ciemno: nie ma prądu. Naprawdę nie wiem czemu, ale zawsze istnieje choćby najmniejsze źródło światła, lecz jak to mówią: „najciemniej jest przed samym świtem”, a w tym przypadku można było powiedzieć, że „najciemniej (i najciszej) jest przed samą imprezą”. Kiedy zacząłem kierować swoją rękę do włącznika, ktoś mnie ubiegł, a tym kimś był Tołdi.

– Niespodzianka Miki – krzyknął. – Właśnie zaczynamy twoją urodzinową imprezkę sponsorowaną przez centralny oddział domu starców. Nowa seria imprez pod nazwą „swoi dla swoich”.

Mimowolnie się uśmiechnąłem, a następnie rozejrzałem po pokoju. Było to dosyć trudne z powodu zbyt dużej liczby osób jak na miejsce o powierzchni 15 metrów kwadratowych. Jedno krótkie pytanie. Boże jak stwarzałeś świat, nie mogłeś ustanowić powierzchni standardowego pokoju studenckiego na 100 metrów? Skąd mam mieć pewność, że w Niebie będzie lepiej?

Nie miałem jednak zbyt dużo czasu na rozmyślanie o wyposażeniu hotelowym Nieba, ponieważ natychmiast doskoczył do mnie Tołdi, trzymając w ręku butelkę wina z doczepioną do niej wielką kokardą.

– Drogi staruszkule Miki. Chcielibyśmy ci wszyscy tutaj zgromadzeni życzyć, żeby kolejny rok twojego życia był tak niesamowity, żeby sam Szatan chciałby cię po nim adoptować.

Mój błąd. Powinienem się raczej zorientować co do wyposażenia hotelowego Piekła. Jednak znowu nie miałem zbyt dużo czasu na rozmyślanie, ponieważ momentalnie wszyscy zaczęli wrzeszczeć tak głośno, że przez chwilę poczułem się jak gwiazda rocka po ostatnim bisie na stadionie Wembley. Ta szczęśliwa chwila została niestety przerwana przez podniesioną rękę Tołdiego, który chciał zapewne coś dodać do swoich skąpych, ale jakże wymownych życzeń.

– Tutaj mam skromny prezencik od wszystkich – zaczął, naprzemiennie patrząc to na butelkę, a to na mnie – Od razu chciałbym zaznaczyć, że wino miało być trzydziestoletnie, ale wiemy jak bardzo nie lubisz tej liczby, dlatego wybraliśmy nieskażony czasem rocznik bieżący – powiedział, zbyt mocno akcentując słowo „bieżący” albo może „nieskażony czasem”, po czym szeroko się uśmiechnął.

Tołdi był studentem trzeciego roku architektury i jak każdy normalny student miał bardziej 20 niż 30 lat. Jego ksywa Tołdi prawdopodobnie wzięła się od małego zielonego ogra z popularnej dobranocki i pochodziła podobno z czasów pierwszej liceum, kiedy Tołdi był najniższy z chłopaków w całej szkole, mierząc niecałe 165

cm wzrostu. Wszystko zmieniło się jednak w czasie wakacji, kiedy Tołdi urosł 20 centymetrów. Można powiedzieć, że jego hormon wzrostu wziął bardzo długie przedłużenie sesji. Jednak kiedy osiągnął te swoje wymarzone 185 cm, jego akcje na giełdzie kobiecej wyobraźni tylko nabrały na wartości. Wygląd Tołdiego reprezentował typ urody zwany – chłopak z sąsiedztwa. Półdługie kręcone włosy i duże oczy mogły go nawet zaprowadzić na opakowanie płatków śniadaniowych, a nieschodzący z twarzy szeroki uśmiech wzbudzał bardziej pożądanie matek, zamiast córek, które w czasach liceum zazwyczaj bardziej wolą tych złych, niż dobrych chłopców. Jednak na studiach wygląd na chłopaka z opakowania płatków śniadaniowych jest dużo bardziej pożądany. Zupełnie jakby dziewczyny były już w stanie wyobrazić sobie przyszłe dzieci, które pochłaniają te płatki przed wyjściem do szkoły. Dlatego aktualnie Tołdi był w drużynie wybierających, a nie wybieranych. W końcu gdybym ja sam był kobietą, też chciałbym się umówić z gwiazdą płatków śniadaniowych.

Patrząc na wszystkich, którzy znajdowali się w pokoju, pomyślałem, że w tej sytuacji mogę zrobić tylko jedną rzecz. Podniosłem do ust otwarte w międzyczasie przez Tołdiego wino i wziąłem dużego łyka. Jednak cały czas panowała dziwna i niezręczna cisza, jakby wszyscy czekali, na jakieś magiczne zaklęcie.

– No to zaczynamy – powiedziałem i do 5 rano zapomniałem, że coś takiego jak cisza, w ogóle istnieje.

Trzeci raz w ciągu dziesięciu minut otworzyłem drzwi do pokoju, lecz tym razem bez żadnych przeszkód mogłem położyć się na łóżku.

– Jestem z ciebie taki dumny Miki – rzekł Tołdi, zmieniając właśnie pozycję z leżenia na brzuchu na wersję na plecach.

– Naprawdę? – spytałem i biorąc z niego przykład, też wybrałem pozycję leżenia na plecach.

– Odprowadziłeś wszystkie trzy nie do końca żywe osoby do swoich pokoi. Masz naprawdę największe złote serduszko jakie znam.

– Jutro zgłosimy cię do pokojowej nagrody Nobla – wtrącił bełkotliwie Profesor, który nie wiadomo czemu siedział pod stołem i starał się właśnie otworzyć ostatnie pozostałe piwo.

– Profesor, po co ty siedzisz pod tym stołem? – spytałem, lekko przekręcając się na łóżku, żeby zobaczyć jego nierówną walkę z kapslem na oszronionej butelce. Właśnie. Chyba jeszcze nie wspominałem, że kilka dni temu udało mi się załatwić wielką lodówkę – zamrażarkę, która teraz zajmowała bardzo zaszczytne miejsce w naszym pokoju. I dzielnie mroziła piwo oraz wszelkie inne trunki.

– Chcę tu spędzić resztę życia. Tutaj jest tak bezpiecznie – odpowiedział jeszcze bardziej bełkotliwie Profesor.

– Weź go zostaw Miki – powiedział lekko podniesionym głosem Tołdi. – On nawet nie będzie tego później pamiętać.

– Takie stwierdzenia kuszą mnie do robienia złych rzeczy.

– Jasne. Powiedz mi, co można Profesorowi zrobić złego, żeby tobie sprawiło to jakąkolwiek przyjemność.

– Masz rację – westchnąłem.

Profesor był na przedostatnim roku informatyki, a naukowa ksywa była następstwem jego geniuszu lub obojętności zbyt wielu odcinków popularnego hiszpańskiego serialu. Jego średnia oscylowała wokół maksymalnej, dlatego był brany za lekkiego dziwaka, ale organizowane przez Tołdiego imprezy nie mogły się odbyć bez jego wiedzy i obecności. Krótkimi słowami Profesor, mimo że naprawdę wiele czasu poświęcał na pisanie swoich komputerowych programów, wiedział, że reset nie oznacza tylko przycisku w komputerze. Jego wygląd też raczej nie przejawiał symptomów stereotypu informatyka. Ubierał się wyłącznie w popularnym sklepie internetowym, tłumacząc to tym, że oprócz naprawdę fajnych ciuchów, UX i UI ich strony internetowej to czysta poezja, a linijki kodu, za pomocą których cała aplikacja została napisana, to miód na jego programistyczne serce. Nawet niedawno był na wykładzie zespołu programistów z tej firmy i mogę postawić nawet kilka piwek, że po skończeniu studiów, jego CV zostanie wysłane właśnie tam.

– Miki chcesz dostać drugą pokojową nagrodę Nobla? – zapytał nagle Tołdi.

– No co jest? – mruknąłem.

– W moim brzuchu toczy się wojna pomiędzy piwem i whisky, a pokój na froncie mogą zapewnić tylko gorące frytki przyrządzone przez dzisiejszego solenizanta.

Spojrzałem na wyświetlacz telefonu. Była 5:15.

– Od ponad pięciu godzin nie jestem już solenizantem.

Tołdi tylko się uśmiechnął.

– Zawsze tak się czepiasz szczegółów? Mało dziwne, że dziewczyna rzuciła tak upierdliwego trzydziestolatka.

– Wtedy miałem dwadzieścia dziewięć.

– Wydaje mi się jednak, że mogła przeczuwać, że będziesz mieć te trzydzieści.

– Tak. Przeżywałem ją Nostradamus.

– Nostradamus by przewidział, że zerwie z kimś za 11 lat, więc nawet by nie zaczynał.

– Naprawdę kocham cię Tołdi za takie miłe słówka.

– A ja ciebie nie. Ale może zmienię zdanie za talerz gorących i skwierczących frytek.

– Dobra. Wygrałeś, bo przez twoje gadanie też trochę zgłodniałem. Zaraz to ogarnę.

– Miki?

– Co?

– Chyba cię kocham – powiedział Tołdi, a następnie zaniósł się głośnym śmiechem. – Ale nie mów nikomu. Będziemy taką wirtualną parką.

- Czyli nici z przedstawiania rodzicom?
- Takiego starucha?

Tym razem ja też się roześmiałem i powoli zacząłem zwlekać się z łóżka, co było dość utrudnione przez mój stan, który mógłbym nazwać początkową fazą trzeźwienia, a jak powszechnie wiadomo początki są najlepsze, ale tylko z dziewczynami. Obracając powoli głowę, rozejrzałem się po pokoju szukając jakichś większych zniszczeń. Na szczęście wszystko wyglądało jak typowy bałagan poimprezowy. Wszędzie porozrzucone butelki, pogaszone papierosy w dziwnych miejscach i strasznie brudna podłoga. Wszystko było aż tak normalne, że nawet trochę mnie uspokoiło. Przed otworzeniem lodówki, musiałem jeszcze przetransportować Profesora spod stołu do jego łóżka. Czy tylko mi przypomina zadanie z fizyki zaczynające się od zdania – „założmy, że siła grawitacji jest dziesięć razy większa”?

Złapałem Profesora za lewą rękę, bo prawa dalej mocno ścisnęła butelkę z połową złoto–płynnej zawartości, mimo że on sam już całkiem mocno spał. Nabyte odruchy są naprawdę nieprzewidywalne. Kiedy udało mi się go w końcu wypchnąć spod stołu, nagle otworzył oczy i powiedział:

- Miki, moja głowa już czuje zbliżającego się kaca.

– Nostradamus II się kurde znalazł. Twoja głowa jest teraz bardziej znieczulona niż pacjent pod narkozą – odpowiedziałem, próbując postawić go na nogi, lecz nie można tak łatwo oszukać grawitacji. Na szczęście po chwilowej szamotaninie udało mi się położyć Profesora na łóżku w pozycji, która w lekkim stopniu przypominała pozycję boczną ustaloną. Wyciągnąłem jeszcze piwo z jego zaciśniętej dłoni i w kilka sekund dopiłem je do końca.

– Opłata transportowa pobrana. – szepnąłem do siebie, a następnie powiedziałem Tołdiemu, że musi mi wytatuować na plecach logo DHL albo innej firmy kurierskiej z dodaną moją twarzą. Obaj z Tołdim zaczęliśmy śmiać się tak głośno, że nawet Profesor obudził się na chwilę i burknął coś w języku zbyt pijanych ludzi, czyli w prawdziwym Esperanto. Po chwili nasz pokój przeszło głośne burczenie brzucha Tołdiego.

– Mój brzuch chyba właśnie sobie o czymś przypomniwał – rzekł, zmieniając swoją pozycję z leżącej na opierającą się o ścianę.

- Że jego właściciel jest krypto alkoholikiem?

– Bardzo śmieszne. W dodatku nieprawdziwe, bo jakoś szczególnie się z tym nie ukrywam. Ale żeby nie było niejasności Miki, to przypominam: fryteczki, fryteczki – Tołdi niemal zanucił dwa ostatnie słowa.

- Żebyś ja ci robił jedzenie w swoje własne urodziny. W dodatku trzydzieste.

- Z tego co pamiętam to nie jesteś już solenizantem.

- Ktoś coś wspominał o czepianiu się szczegółów?

- Twoja dziewczyna?

- Naprawdę jesteś zabawny.

- Nigdy nie jestem zabawny, jak jestem głodny.

- Słyszałeś o czymś takim jak tygodniowa głodówka? Byłoby tak... zabawnie.

– Dobra Miki. Ja naprawdę nie chcę żebyś był szefem kuchni Hilton Hotel, tylko żebyś odsmażył mi zamrożone frytki, które były najtańsze w pobliskim sklepie. Gdybyś miał dziewczynę i zrobił jej takie danie z okazji własnych urodzin, czy tam 5 godzin po własnych urodzinach, nawet nie chciała by z tobą gadać. A ja wiesz... będę cię za to uwielbiać.

Po krótkim namyśle przyznałem mu rację, a następnie ruszyłem w stronę lodówki, przedzierając się przez pole minowe stworzone z pustych butelek po piwie lub jakimś mocniejszym alkoholu. Po otwarciu drzwiczek powitały mnie trzy gołe półki. Nie było to trudne do przewidzenia. Wszystko co było w jakikolwiek przydatne do spożycia, zostało przeznaczone na moją imprezę urodzinową. A dodając do tego fakt, że przez nasz pokój przewinęła się prawdziwa fala ludzi, nasza lodówka musiała dzisiaj polubić wolną przestrzeń pełną rześkiego powietrza. Jednak po otwarciu małej zamrażarki, która znajdowała się na samej górze, moim oczom ukazało się opakowanie zawierające podobno kilogram karbowanych frytek, chociaż według mnie te frytki nigdy nie widziały czegoś takiego jak jeden kilo. Nie mogłem wybrzydząć, bo było to aktualnie jedyne jedzenie w naszym pokoju.

Lekko drżącą ręką nalałem pół patelni oleju i wsypałem do niej tak dużo frytek, ile tylko mogło się w niej pomieścić.

– Wyczuwam małą, urodzinową delirkę – powiedział z nieskrywanym uśmiechem Tołdi.

– Nie słyszałeś, że najlepszy olej to wstrząśnięty, niemieszany?

– Chyba trochę pomyliły ci się filmy – Tołdi wybuchnął głośnym śmiechem. – Bardziej mi to przypomina – „szef akademikowej kuchni na trzecim piętrze poleca...”.

– „...tanie frytki prosto z pieca” – dokończyłem, wypowiadając to bardziej do siebie i czując lekkie zażenowanie z poziomu suchości tego żartu.

– Nurtuje mnie jeszcze jedna rzecz – rzekł tym razem z dziwną powagą Tołdi, jednocześnie prostując się na łóżku i całkowicie ignorując mój wcześniejszy słaby dowcip. – Czy ty przypadkiem nie wspominałeś ostatnio, że masz jutro, to znaczy dzisiaj, to znaczy za trzy i pół godziny kolokwium z mechaniki ogólnej.

– Chyba właśnie bardzo zwiększyłem limit mojego dziennego przeklinania – odparłem niemal natychmiast, zastanawiając się po chwili, czy ja w ogóle mam jakikolwiek limit dziennego przeklinania. – Masz jakiś pomysł? – spytałem kilka sekund później, patrząc błagalnym wzrokiem na Tołdiego. Mógłbym dodać, że 3,5 godziny przed kolokwium na które się nic nie umie, wzrok każdego studenta właśnie tak wygląda.

– Idź tylko wstawić te frytki. Ja coś wymyślę – odpowiedział Tołdi, jednocześnie przeszukując szuflady w swoim biurku.

– Wiesz, że jak je wstawię i od razu wrócę, to mogą wyjść dość mocno przypalone?

– Jestem tak głodny, że nawet ciepły węgiel będzie w porządku.

Tylko się roześmiałem i nie namyślając się zbyt długo, chwyciłem patelnię oraz frytki, cały czas uważając na walające się wszędzie butelki, wyszedłem z pokoju.

Korytarz z dwoma migającymi świetlówkami przypominał swoim klimatem obie części gry Max Payne, a ciągle trwająca noc oraz padający za oknem pierwszy śnieg tylko wzmacniał ten świąteczny efekt w stylu noir.

Kiedy spojrzałem w prawo, momentalnie poczułem na twarzy mroźny podmuch wczesnego grudniowego powietrza, co było spowodowane otwartymi na oścież drzwiami balkonowymi. Wietrzenie korytarza przy około –2 stopni Celsjusza może po pijaku wydawało się być genialnym pomysłem, jednak wraz z trzeźwieniem ten pomysł stawał się coraz mniej uroczy. Próbując jedną ręką zamknąć te nieszczęsne drzwi balkonowe, bo w drugiej trzymałem patelnię, zdałem sobie sprawę, jak bardzo nie lubię zimy. Tak w ogóle każdej zimy wypominam mamie, czemu nie jest surferką z Kalifornii, która swojemu dziecku zamiast wózka kupuje deskorolkę, a zamiast trójkołowego rowerka, deskę do surfowania. Słyszałem, że w Kalifornii słowa „mama” jest dopiero trzecim, którego uczy się dziecko, zaraz po „dobre” i „fale”. Zwrot „Dobre fale, mama” to chyba najpiękniejsze pierwsze słowa, jakie może wypowiedzieć dzieciak, który dopiero co nauczył się mówić. Po chwili stwierdziłem, że jednak nie mam czasu na takie rozmyślenia i udałem się w kierunku kuchni, która była oddalona od naszego pokoju o jakieś 10 metrów. Gdy byłem już w środku, zorientowałem się, że mimo zgaszonego światła, ktoś się tutaj znajduje. Większy cień przy oknie oraz mała jasna kropczka wskazująca na palonego papierosa, powodowały, że nie trzeba było być Sherlockiem Holmesem, żeby wywnioskować, że ktoś urządza sobie tutaj nocne „gotuj z Batmanem”.

Po zapaleniu światła postać stojąca przy oknie okazała się studentem, mającym na oko 22 lata. Nagłe przejaśnienie spowodowało w nim przymusowe zmrużenie oczu, więc na zadanie jakiegokolwiek pytania pozostało trochę czasu. Na razie korzystałem z chwilowej przewagi, zanim jego oczy przyzwyczają się do ostrego światła i starałem przyjrzeć mu się trochę uważniej. Jego czarne włosy układające się w artystyczną fryzurę zespołów indie – rockowych w połączeniu z aż za bardzo przystojną twarzą i ciemną karnacją gwarantowały mu dużo większą niż moja, skuteczność w spotkaniach na jedną noc.

Dopiero gdy całkowicie otworzył oczy i poprawił włosy wyuczonym ruchem ręki, zauważyłem, że poniżej swojego lewego oka oraz nad skronią ma świeże ślady po uderzeniu. Zwłaszcza nad skronią nie wyglądało to zbyt dobrze, chociaż stwierdzenie „nad skronią” było zbyt dużym uogólnieniem. Rana rozpościerała się od prawej strony głowy, a kończyła się niemal na środku czoła. Wyglądało to, jakby ktoś z całej siły uderzył go nie tą stroną siekiery, lub może właśnie tą właściwą, bo chciał go tylko ogłuszyć. Czyż poranne spotkania w akademikowej kuchni nie bywają romantyczne?

Nie zamierzałem jednak patrzeć na poturbowanego nieznajomego jak Rose na Jacka w ostatniej scenie Titanica, więc postanowiłem przerwać tę niezręczną ciszę.

– Ciekawe miejsce i pora na regenerację – zagadnąłem, jednocześnie ustawiając maksymalną moc na kuchence elektrycznej.

– Nie mam dzisiaj nastroju na rozmowy – przemówił po dłuższej chwili nieznajomy, a tembr jego głosu nie do końca pasował do jego wyglądu. Wydawał się

być stanowczo za niski, a przypominało to sytuację, gdy przed chwilą poznana piękna dziewczyna rzuca niewinne „cześć” głosem Leonarda Cohena.

Już chciałem powiedzieć, że siedzenie z rozwaloną jedną piątą twarzy o 5:30 w akademikowej kuchni i w dodatku przy zgaszonym świetle, faktycznie nie zachęca do rozmowy. Jednak nieznajomy ubiegł moje stwierdzenie, rzucając w moją stronę swój telefon, który szczęśliwie, lecz z małymi problemami udało mi się złapać. Spojrzałem na komórkę, która wyglądała na jeden z najnowszych modeli Samsunga i zacząłem obracać go w dłoniach.

– Przeczytaj ostatniego esemesa – powiedział nagle nieznajomy, jednocześnie sięgając po kolejnego papierosa. Dopiero teraz zauważyłem, że ma on ubrane rękawiczki, co trochę mnie rozbawiło.

– Palisz w rękawiczkach, żeby mama nie wyczuła? – rzekłem z szerokim uśmiechem.

– Jakbyś nie zauważył, jest tutaj trochę zimno – odpowiedział, wskazując niezapalonym jeszcze papierosem na otwarte za sobą okno.

– Promile jednak trochę grzeją, więc nie od razu się zorientowałem. Zresztą tutaj nie ma takiego przeciągu jak na korytarzu. Tam by nawet te twoje rękawiczki nie pomogły.

– Dobra, przeczytaj tego ostatniego esemesa, to zrozumiesz czemu nie chce mi się gadać.

Już chciałem powiedzieć, że naprawdę bywa miłutki, ale w końcu porzuciłem ten pomysł, bo nie chciałem go już denerwować. Po chwili dotarłem do skrzynki odbiorczej i otworzyłem ostatnią wiadomość, której nadawczynią była niejaka Julia.

– „Przepraszam, że przez esemesa” – zacząłem czytać na głos. – „...ale nie umiem powiedzieć ci tego w twarz. To koniec.”

Spojrzałem znowu na nieznajomego, którego mina mówiła teraz – „widzisz czemu nie mam nastroju na żadną rozmowę?”

– Ememesa mogła wysłać, w dodatku z jakimś filmikiem. – wypaliłem nagle i sądziłem, że może trochę przesadziłem z tym tekstem, bo był to naprawdę straszliwy suchar, lecz nieznajomy tym razem szeroko się uśmiechnął.

Wielu ludzi twierdzi, że pierwsze 5 minut przy poznawaniu nowego człowieka jest kluczowe w tym, jak będzie cię on postrzegał na dalszym etapie znajomości. Zazwyczaj nieznajomi są nastawieni do siebie neutralnie lub gdy rozmówcami są osoby przeciwnej płci i gdy jedna z nich jest piękną kobietą albo przystojnym mężczyzną, ten brzydszy rozmówca nastawiony jest aż nadto pozytywnie. Czasami zdarza się, że nieznajomymi osobami są równocześnie piękna kobieta i przystojny mężczyzna, lecz wtedy mają oni za nic te przysłowiowe 5 minut i już po dwóch minutach pada pytanie „u ciebie czy u mnie?”. Oczywiście tę ostatnią sytuację słyszałem tylko w legendarnych opowieściach akademikowych Adonisów. I w dodatku było to zawsze po kilku piwkach.

Moje spotkanie z nieznajomym w kuchni było specyficznym przypadkiem, gdzie byliśmy nastawieni do siebie dość negatywnie. Go rzuciła dziewczyna, mnie czekało kolokwium, na które nic nie umiałem. W dodatku po imprezie z okazji

trzydziestych urodzin. On siedział po ciemku w kuchni, żeby przemyśleć parę spraw, a ja się do niej wpadłem z gracją pijanego studenta, zapalając światło i trzymając w ręku patelnię wypełnioną karbowanymi frytkami, które pływały w tanim oleju. W sumie frytki też były tanie. Ale to najmniej ważne. Jak widać, byliśmy skazani na nie lubienie siebie nawzajem. W takich sytuacjach jedynym rozwiązaniem jest zdanie kotwica rzucone przez jednego z rozmówców, które rozładuje negatywne napięcie. W tym przypadku takim zdaniem był mój tekst o tym, że Julia powinna wysłać ememesa zamiast esemesa. I mimo że był to naprawdę szczerzły suchar, o dziwo zadziałał.

Uśmiech nieznajomego potraktowałem w ten sposób, że w końcu mogliśmy przejść na „ty”.

– Mikołaj. Ale większość mówi na mnie Miki – powiedziałem, wyciągając rękę w jego kierunku.

– Krystian. – odpowiedział już nie nieznajomy, odwzajemniając uścisk dłoni.

– Powiedz mi w takim razie Krystian, co ty o tej godzinie robisz w akademiku w takim stanie – zapytałem, wskazując palcem na ranę na głowie. – W ogóle chyba tutaj nie mieszkasz, bo jakoś nigdy wcześniej cię nie widziałem.

Oczywiście nie musiało to oznaczać niczego szczególnego. Każdego dnia, a tym bardziej nocy można było się tu natknąć na osoby, które widziało się po raz pierwszy i często po raz ostatni. Dziesięciopiętrowy akademik z trzydziestoma pokojami na każdej kondygnacji naprawdę tworzył przedziwny ekosystem ludzi znających się mniej lub bardziej.

Krystian wzruszył ramionami.

– Nie myśl, że chce tu siedzieć. Piłem z kumplami na mieście z wiadomej przyczyny, a jak wracaliśmy 20 minut temu, napadli nas jacyś goście i wyszło na to, że uciekając, musieliśmy się rozdzielić. Za mną pobiegło dwóch, a za nimi trzech. Uratowała mnie ta zabawka – odrzekł Krystian, rzucając w moją stronę pistolet, który wyjął z środkowej kieszeni kurtki. Z małymi problemami, ale szczęśliwie udało mi się go złapać.

– To prawdziwa broń? – spytałem z lekkim przerażeniem, obracając pistolet Krystiana w dłoniach, tak jak wcześniej jego telefon.

On tylko głośno się roześmiał.

– To atrapa Glocka 17. Na pierwszy rzut oka nie do odróżnienia. Ale dużej krzywdy raczej nim nie zrobisz, bo to po prostu pistolet hukowy.

Odruchowo odetchnąłem, bo przez chwilę myślałem, że skoro kilka godzin temu skończyłem trzydzieści lat, los daje mi dosyć jasne sygnały, co mam teraz zrobić. Na szczęście odgoniłem wizję banalnego samobójstwa w trzydzieste urodziny i z wymuszonym uśmiechem oddałem pistolet.

– A co z twoimi kumplami? Udało im się uciec?

– Właśnie nie mam pojęcia. Nie mogę się do nich dodzwonić, więc pomyślałem, że poczekam na nich w akademiku, bo tutaj mieszkają, tylko nie znam ani numeru pokoju, ani nawet dokładnego piętra. Z tego co mówili, to chyba trzecie albo czwarte,

więc czekałem przy schodach, a teraz na chwilę wpadłem tutaj na papierosa. Myślałem, że o tej porze nikt nigdy tutaj już nie gotuje.

– Uwierz mi, że w akademiku słowo „nigdy” nie istnieje. A jak nazywają się ci twoi kumple, bo może ich kojarzę.

– Adam Dobrowolski i Kacper Sikora. Są na pierwszym roku budownictwa, więc wątpię, że ich znasz.

Faktycznie ich nie kojarzyłem. Przez chwilę chciałem nawet powiedzieć, że też jestem na pierwszym roku, tylko że architektury, ale mimowolnie ugryzłem się w język. Jakoś nie przychodziło mi łatwo mówienie obcym, że jestem na pierwszym roku studiów. Chociaż obcym jak obcym, już czekam na zaproszenie na zjazd absolwentów mojego liceum. Już widzę te rozmowy: „– Co robisz Miki? – A wiesz, jestem na pierwszym roku architektury. – O fajnie. Moja firma szuka właśnie praktykantów”.

– A portier bez problemu wpuścił cię do akademika? – dopytałem Krystiana.

– Właśnie miałem szczęście. Gdy przyszedłem, to spał i kiedy zapukałem w szybę, to nawet nie otworzył oczu i wpuścił mnie do środka.

– No tak. Królik raczej nigdy nie będzie pracownikiem miesiąca – rzekłem, po czym obaj wybuchliśmy głośnym śmiechem.

Nasza rozmowa toczyła się już w miarę luźnej atmosferze, więc postanowiłem przejść do tematu, który wydawał mi się być gwoździem programu.

– A tych śladów na twarzy to dorobiłeś się podczas swojej wielkiej ucieczki?

– Byłem dzisiaj u Julii i się z nią pokłóciłem... Dosyć mocno – dodał po dłuższej chwili Krystian.

– No jak ja miałem dziewczynę, to też czasami się kłóciłem na ostro, ale nigdy nie kończyło się to zabawą w stylu sado–maso.

– Nie masz czego żałować.

– Za późno. Już jestem smutny.

– Nie żartuj sobie... Tak jakoś wyszło. Dostałem trzy razy wałkiem od ciasta – powiedział Krystian, lekko się czerwieniąc. Faktycznie nie był to jakiś wielki powód do dumy, bo trzeba przyznać, że jego nocne „gotuj z Batmanem” wychodziło mu dużo lepiej niż „gotuj razem ze swoją dziewczyną”. Nie chciałem już kontynuować tego niezręcznego tematu, ale też nie musiałem się jakoś specjalnie zastanawiać nad jego zmianą, bo nagle telefon Krystiana odezwał się utworem U2 – „Hold me, Thrill me, Kiss me, Kill me”, który pochodził z soundtracku filmu „Batman Forever”. Wszędzie ten Batman. Co za przedziwny zbieg okoliczności.

– To Julia – powiedział Krystian, patrząc na ekran telefonu. – Dasz mi chwilę? – zapytał, a z jego wzroku można było wyraźnie wyczytać, że chce zostać sam.

– A będziesz co 5 minut przekładał mi frytki – spytałem, patrząc na patelnię, na której właśnie zaczął wrzeć olej.

– Ok. Nie ma sprawy.

Szybko podałem Krystianowi łyżatkę, która leżała obok kuchenki.

– Wróć za około 15 minut, więc po tej rozmowie albo będziesz znowu Romeo dla swojej Julii albo będziesz musiał dalej szukać swoich zaginionych kumpli – Tak,

tak Miki raper to właśnie ja. Czy czołowi producenci w kraju mają zapisany mój numer? Uśmiechnąłem się w myślach z własnego słabego żartu, starając się nie zwracać uwagi na Krystiana, któremu dogadanie się ze swoją wkurzoną dziewczyną na pewno trochę zajmie, szybko wymknąłem się z kuchni.

Kiedy otworzyłem drzwi do pokoju, napotkałem lekko rozjuszony spojrzenie Tołdiego.

– Czy nasza gwiazda smażenia frytek urządziła sobie nocne spotkanie z fanami, którzy zaraz po spotkaniu wszystko zjedli? – zapytał ironicznie, chyba specjalnie używając słowa „frytek”, by podkreślić brak patelni z frytkami w moim ręku.

– Powiedzmy – odparłem, wzruszając ramionami i szybko streściłem to, co zdarzyło się w kuchni. Specjalnie mnie nie dziwiło, że mina Tołdiego wskazywała na coraz większe niedowierzanie z każdym kolejnym zdaniem.

– Mówię ci Miki, to jakiś psychol – zaczął. – Niby tej rany na twarzy dorobił się od własnej dziewczyny uzbrojonej w wałek od ciasta?

– Sam nie wiem. Moja mama też jest bardzo podenerwowana, kiedy gotuje. Wtedy czasami wystarczy jakaś niegroźna sprzeczka i bach...

Tołdi z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Wzruszające. W takim razie nie zapraszaj mnie nigdy do siebie na obiad.

– Żadnego przedstawiania rodzicom? Już nie pamiętasz? – roześmiałem się odrobinę zbyt głośno.

– Naprawdę mnie uspokoiłeś. Najszersze podziękowania. Ale wracając do tematu, to on sprzedał ci jakieś bajki roku, bo jego historia nie trzyma się żadnej sensownej całości. Zresztą nie znam żadnego Adama Dobrowolskiego i Kacpra Sikory, którzy niby mieszkają w tym akademiku. A Tołdi przecież...

– ... zna wszystkich – dokończyłem.

– Właśnie. Wygrałeś. W nagrodę możesz mi jutro postawić piwo. Ale wiesz, czego się teraz najbardziej boję?

– Czego? – uniosłem brwi.

– Że zostawiłeś go sam z moimi frytkami. Moim ostatnim jedzeniem. Ale w sumie wiesz co? – dodał Tołdi po krótkim zastanowieniu.

Kolejny raz uniosłem brwi.

– Psychole zanim cię zabiją, bywają całkiem milutcy, więc może usmaży te frytki, a dopiero po tym cię zabije – tym razem Tołdi zaniósł się złowieszczym śmiechem, a mi tym razem pozostało tylko wzruszyć ramionami.

– Dobra. Lepiej powiedz, jaki masz pomysł na uratowanie mojego zaliczenia z kolokwium? – spytałem, czekając 5 sekund po ustaniu nikczemnego rechotu. Tak. Idealnie to nazwałem. „Nikczemny rechot”. Jeśli ktoś ma kapelę death – metalową może się zgłosić po prawa do nazwy. Zapraszam.

Tołdi nic nie powiedział, tylko podał mi około dziesięć kartek A4, które leżały za nim.

– Co to? Mechanika ogólna dla opornych? – spytałem, pobieżnie przeglądając kartki.

– Dla bardzo opornych. – rzekł Tołdi, jednocześnie się uśmiechając.

– Skąd to masz?

– Powiedzmy, że nieprzypadkowo jestem jednym z najlepszych studentów na tej uczelni. Umieję załatwić dużo rzeczy od ładnych dziewczyn ze starszych roczników. Także zacznij to czytać, ale nie zapomnij odebrać frytków od „Pana Psychola” – Boże. Słowo „frytków” nie przestanie mnie prześladować do końca tygodnia.

Kiedy zabrałem się za czytanie notatek, czułem się jakbym czytał książkę do czarnej magii redagowaną przez dwóch autorów – Gandalfa i Saurona. Dwa sposoby rozwiązywania każdego zadania przypominały coś w stylu: „Gandalf zrobił zadanie dobrze, ale Sauron nie zadaje się z Hobbitami, bo mają włosy na stopach, więc robi je inaczej”. I tak w kółko. Nie dość, że musiałem zrozumieć jeden sposób rozwiązywania, to zaraz po nim czekał mnie drugi, który w ogóle nie przypominał pierwszego. Gdy w końcu zacząłem w miarę rozumieć drugi, orientowałem się, że nie pamiętam pierwszego. I tak w kolejne kółko. Kiedy zatrzymałem się na czwartej stronie, ze skupienia wyrwało mnie coś, czego nie można pomylić z niczym innym. I coś co na filmach brzmi dużo mniej przerażająco. Odgłos strzelającego pistoletu.

Rozdział 2

„Policja i akademik, czyli bezkonkurencyjna wygrana na najgorszą parę miesiąca”

Przez chwilę zastygliśmy bez ruchu, jakbyśmy zostali przyłapani na czymś złym (to znaczy zbyt dobrym dla nas, zbyt złym dla innych) i mimo że wiedzieliśmy, że trzeba jakoś zareagować, to przez kilka sekund nie byliśmy w stanie poruszyć jakiegokolwiek mięśniem. Oczywiście te kilka sekund dotyczyło tylko mnie i Tołdiego, ponieważ Profesor był już „zastygnięty” od dłuższego czasu. Pierwszy z tego niechcianego paraliżu wyswobodził się Tołdi.

– Może to petarda? – zapytał, ale jego mina wskazywała na całkowicie inny zestaw pytań.

– Jasne... – odrzekłem, zaraz po tym, jak też sam wyszedłem z paraliżu, chociaż nie wiem, czy nie chciałem pozostać w nim trochę dłużej. – Na pewno Święty Mikołaj odpalił petardy na naszym piętrze – dodałem. – Bo wie, że w Sylwestra nie będzie mieć już siły na taką imprezkę – tym razem powiedziałem to trochę aż nazbyt ironicznie.

– Idziemy sprawdzić co się stało? – spytał Tołdi.

Wzruszyłem ramionami.

– Jeśli bardzo chcesz.

– W sumie każdy powód jest dobry, żeby oderwać się od nauki. W dodatku masz już trzydzieści lat. To może ostatnia szansa by przeżyć coś ekscytującego.

– A co z twierdzeniem, że życie zaczyna się po czterdziestce?

– Powiedz mi, że w to wierzysz.

Obaj głośno się zaśmialiśmy, jednocześnie udając się w stronę drzwi. Korytarz wyglądał całkiem normalnie, jeśli przyjmiemy, że coś takiego jak korytarz w akademiku może wyglądać całkiem normalnie. Nie było tutaj żywej duszy, więc odgłos wystrzału potraktowaliśmy jako fałszywy alarm.

– Może przez to, że jesteśmy jeszcze trochę pijani, nasz wzrok się pogorszył, ale zmysł słuchu się wyostrzył – powiedział Tołdi, szukając jakiegokolwiek w miarę logicznego wytłumaczenia.

– Powiedz mi, że w to wierzysz – odparłem.

– Dobra, Miki. Chodź, odbierzemy chociaż te frytki, bo może przez to, że jesteśmy głodni, mamy jakieś halucynacje.

– Ta wersja podoba mi się dużo bardziej – odpowiedziałem i szybko ruszyliśmy w stronę kuchni. Kiedy przekroczyliśmy jej próg, nasz paraliż sprzed kilku minut powrócił, tylko że razy trzy. Albo nawet cztery. Zresztą co ja mówię. Powrócił razy 666, czyli zupełnie jakby sam Szatan zaprosił nas na romantyczną kolację we troje.

Na podłodze leżał Krystian z bardzo widocznym problemem. Z bardzo okrągłą dziurą w głowie. Czy naprawdę nigdy nie wspominałem, że jak byłem mały, wołałem kwadraciki od kółek?

Chociaż tym razem trwało to trochę dłużej, udało nam się w końcu kolejny raz wyjść ze stanu zwanego „paraliż”. Tołdi cały czas przyglądał się na zmianę – to patelni z przypalającymi się frytkami, to głowie Krystiana z bonusową kropeczką. Najwyraźniej bardzo potrzebował jakiejś bramki numer trzy. Postanowiłem jednak przerwać ten konkurs i zdjąłem patelnię z kuchenki, a całą zawartość wysypałem do zlewu. Mimo to Tołdi chciał grać dalej, więc patelnię z frytkami zamienił na leżący obok prawej dłoni Krystiana pistolet.

– Nie wiem czy to kłamstwo czy niedomówienie... – zacząłem najspokojniej, jak umiałem. – Ale Krystian mi powiedział, że ten pistolet to atrapa Glocka 17. Po prostu pistolet gazowy.

– To faktycznie lekkie niedomówienie – odparł bez emocji Tołdi, wciąż wpatrując się w bardzo dobrą atrapę Glocka. Tak dobrą, że aż działającą.

– Dobra, ja dzwonię na policję – powiedziałem, wybierając na telefonie 997. Po karetkę raczej nie było sensu, bo nie wydaje mi się, żeby w podręczniku o reanimacji był rozdział „Co robić, gdy ktoś ma dziurę w głowie?”. Miki – geniusz medycyny sądowej. Tak. To właśnie ja.

– Chyba potrzebuję browara – wydukał Tołdi, przykładając przedramię do ust, pewnie po to, żeby powstrzymać wymioty. Najwyraźniej jego promile we krwi stwierdziły, że jest ich za mało, by przetrwać aktualną sytuację.

– Ale po dzisiejszej imprezie chyba nie mamy już żadnych piw w pokoju – niemal westchnąłem.

– Mam skitrany czteropak za łóżkiem – odparł beznamiętnym głosem. – Chcesz też?

– Jak mógłbym odmówić? – odpowiedziałem, jednocześnie przyglądając się zwłokom Krystiana i wybierając numer policji, czyli numer z którym nie powinno się kontaktować. Zwłaszcza na urodzinowym afterparty.

Zanim się dodzwoniłem, Tołdi zdążył już wrócić i wepchnął mi otwarte piwo do lewej dłoni. Słuchając kolejnego sygnału, wziąłem naprawdę porządnego łyka i w momencie, gdy go przełknąłem, odezwała się policyjna dyspozytorka.

– Policja, oddział Poznań. Słucham – powitał mnie kobiecy głos.

– Dobry wieczór albo już nawet dzień dobry – zacząłem nieśmiało. – Chciałbym zgłosić samobójstwo – dopowiedziałem po chwili tę bardzo romantyczną końcówkę. Zdawałem sobie sprawę, że ton mojego głosu brzmi niepoważnie. I nie byłem pewny, czym to jest spowodowane. Wątpię, że alkoholem. Tołdi mimo że starał się zachować spokój, wyglądał na przerażonego i zszokowanego. Zapewne były to pierwsze zwłoki

samobójcy, jakie widział. Moje zresztą też. Być może to przez mój wiek? W ciągu trzydziestu lat byłem już świadkiem tylu gównianych sytuacji, że zwłoki samobójcy, którego poznałem dosłownie kilka minut temu, nie robiły na mnie chyba takiego wrażenia, jak powinny. Przez głowę przebiegła mi też myśl, co tu się stanie za kilkanaście minut, gdy zejdzie się tutaj połowa mieszkańców akademika. Oczywiście nie sprowadzi ich tutaj odgłos wystrzału pistoletu. Większość osób zapewne się nawet nie obudzi. Gdy chcesz normalnie wysypiać się w tym miejscu, naprawdę zwiększasz tolerancję na przeróżne odgłosy. Disco–polo o głośności 120 decybeli z podkręconym do granic możliwości basem dla mieszkańca akademika brzmi jak ledwo słyszalny szum morskiej bryzy. Albo drapanie po plecach.

– Na pewno nie robi pan sobie żartów? Naprawdę mamy wystarczającą liczbę takich telefonów od pijanych nastolatków – głos dyspozytorki był taki, jak powinien. Oschły i stanowczy. Coś jak znienawidzona ciocia na Wigilii podczas dzielenia się opłatkiem. Naprawdę zaczynałem czekać, aż zacznie mi życzyć samych szóstek w szkole i bycia grzecznym dla rodziców.

– Naprawdę. To niestety nie jest żart – powiedziałem równie oschle i stanowczo, wypuszczając powoli powietrze. – Właśnie patrzę na zwłoki osoby w akademikowej kuchni, który ma ranę postrzałową w głowie. A obok jednej ręki leży pistolet.

Dodałem jeszcze, że z tego co mi wiadomo, niedawno rzuciła go dziewczyna.

– Pana dane i adres?

Westchnąłem w myślach. Nie byłem specjalnym fanem podawania swoich personaliów policji, bo mając trzydzieści lat, już doskonale zdawałem sobie sprawę, że będą tam widnieć do końca mojego życia.

– Mikołaj Zarzeczny, mieszkam tutaj w akademiku. To jest dom studencki „E”, który jest częścią kampusu politechniki. Kuchnia na trzecim piętrze.

Dyspozytorka spytała jeszcze o kilka rzeczy, czy na pewno osoba nie żyje, czy sprawdzałem puls, czy znałem ofiarę. Typowe pytania przy takich zgłoszeniach, żeby upewnić się, że to na pewno nie są żarty. Zapewne takie telefony były plagą wszystkich telefonów alarmowych, zaczynając od pytań o wybór pomiędzy apapem a ibupromem dzwoniących na karetkę pogotowia, a kończąc na zgłoszeniach policji kradzieży pięciu złotych przez kolegę z klasy.

– Dobrze panie Mikołaju. Niech Pan czeka przy tej kuchni, a ja wyślę patrol.

Usiedliśmy z Tołdim na korytarzu, opierając się plecami o ścianę i przez chwilę nie odzywaliśmy się do siebie, tylko powoli piliśmy piwo. Dopiero teraz zauważyłem, że trzęsą mi się ręce, a piwo z powodu nagromadzenia nerwów, smakuje jak woda. Co za całkowite marnotrawstwo.

– Strzeliłbyś byś sobie w łeb przez dziewczynę? – spytałem nagle Tołdiego, bo denerwowała mnie już ta niezręczna cisza, przerywana tylko przez kolejne pociągane łyki najpopularniejszego alkoholu świata.

– Tylko przez Ciebie Miki – odpowiedział z uśmiechem Tołdi, odstawiając na podłogę pustą butelkę, jednocześnie wyciągając z foliowego czteropakii kolejne piwo.

– To było szczere pytanie – naciskałem.

– Wiesz co powiedział mi kiedyś dziadek? Jeśli rzuci Cię dziewczyna, musisz dokonać takich rzeczy, żeby żałowała swojej decyzji do końca życia. Uwierz, że raczej samobójstwo nie jest jakimś wielkim życiowym sukcesem.

– Fajnego masz dziadka.

– No raczej. Za trzy tygodnie bierze ślub z żoną numer pięć. Ciekawe kogo tym razem wynalazł ten stary playboy. No ale nieważne. Chociaż ważne. Będę mieć kolejną babcię, która będzie mogła mnie wspomagać finansowo. Czekolady z nadzieniem stuzłotowym i te sprawy. Ale wiesz co jest w tym wszystkim najgorsze?

– Że ta twoja babcia numer pięć może być w twoim wieku?

– Naprawdę jesteś zabawny Miki. Ale teraz chodzi mi o coś innego. Cały czas mam przeczucie, że ktoś pomógł temu Krystianowi się zabić. Nie uważasz, że to nie dziwne, że nie zjadł tych naszych frytek. Gdybym ja był na jego miejscu, zjadłbym całą patelnię frytek, w ogóle się nie przejmując, że jem w nocy najbardziej niezdrowe zarcie świata. No może jedno z najbardziej niezdrowych. Rozumiesz? Takie frytki light.

Nie wiem, czy Tołdi miał rację, ale widać było, że próbuje poradzić sobie z tą sytuacją swoim poczuciem humoru. Wychodziło mu to czasem przyzwoicie, czasem trochę mniej.

– Jesteś teraz głodny? – spytałem, unosząc jedynie prawą brew.

– Tak szczerze, to trochę straciłem apetyt.

– No właśnie. On pewnie też nie myślał o jedzeniu, patrząc prosto w lufę pistoletu.

Tołdi nie zdążył mi już odpowiedzieć, bo usłyszeliśmy dość szybkie kroki na schodach, które po chwili zamieniły się w dwóch policjantów. Była to może niezbyt miła metamorfoza, lecz tym razem mnie ucieszyła, bo naprawdę chciałem już zakończyć mój debiut znajdowania samobójcy w kuchni. Policjanci nie mieli na sobie mundurów, lecz z połączenia ich sposobu chodzenia i pewności siebie można było wywnioskować, że to albo mafia, albo policja. Niepotrzebne skreślić, jak to mówią w urzędach.

Zanim pokonali odległość dzielącą schody od kuchni, zdążyłem się im całkiem dokładnie przyjrzeć. Obaj policjanci znacznie różnili się od siebie. Starszy z nich, wyglądający na około 50 lat, miał wyraźną nadwagę, co znacząco odbijało się na jego twarzy. Była ona niemal idealnie okrągła i gdybym miał obliczyć jej powierzchnię, wzór na pole koła, czyli πr^2 w zupełności by wystarczył. Natomiast drugi z policjantów prezentował się na około trzydziestkę, czyli wszystko wskazywało na to, że oprócz 50-letniego pączka, będzie mnie przesłuchiwać także mój rówieśnik. Uroczę urodziny.

– To wy znaleźliście tego samobójcę? – spytał młodszy, patrząc bardziej na mnie niż na Tołdiego, który właśnie brał najdłuższego łyka piwa na świecie, żeby okazać jak bardzo kocha policję i jak bardzo chce mu się z nimi rozmawiać.

– Tak. Leży w kuchni za tymi drzwiami – odpowiedziałem, pukając pustą butelką w przymknięte drzwi kuchni.

– Znaliście go? – kontynuował swoje pytania młodszy, patrząc na mnie, całkowicie ignorując Tołdiego.

– Nie znałem go, ale rozmawiałem z nim chwilę w kuchni. Maksymalnie jakieś 10 minut – odparłem, a policjanci wymienili porozumiewawcze spojrzenie, które nie wróżyło nic dobrego.

– Jestem detektyw Leon Muszyński, a to Krzysztof Kurtyka – powiedział policjant rówieśnik, wskazując na swojego kolegę z policji.

– Mikołaj Zarzeczny, a to mój współlokator Tobiasz Łukasik – odpowiedziałem, trochę przedrzeźniając Leona, ponieważ wykonałem identyczny ruch ręki, kiedy wskazywałem na Tołdiego.

– Dobra. W takim razie trzeba zobaczyć naszą gwiazdę wieczoru, a później wezwać techników i prokuratora – rzekł Leon, a następnie wszedł do kuchni. Krzysztof Kurtyka nie podążył za nim, tylko cały czas świdrował nas wzrokiem. Zapewne w jego osobistym podziale ludzi znajdowaliśmy się na samym dole tej listy, chociaż nietrzeźwi studenci w akademiku o 6 rano nie byli chyba ulubieńcami kogokolwiek. Niezręczna cisza nie trwała jednak długo, ponieważ Leon po krótkiej chwili wrócił do nas i wyciągnął papierosa.

– Trzeci trup w tym tygodniu. Jak ja mam przestać jarać? – powiedział bardziej do siebie niż do nas, a następnie odpalił papierosa zdezelowaną zapalniczką, którą wyjął z kieszeni.

– Wezwij techników i wóz od zwłok – zwrócił się po chwili do Krzysztofa, który nadal był zajęty obserwowaniem mnie i Tołdiego z wyraźną nienawiścią w oczach. Jednak sądząc po jego gabarytach być może przerwaliśmy mu konsumpcję porannego kebaba. Tak. Takich zbrodni się nie wybaczają. – Technicy i tak muszą sprawdzić, czy to nie zabójstwo upozorowane na samobójstwo – dodał Leon. – Pieprzone kryminały tworzą pieprzone procedury. Nam powiedziano, że zgłosiliście samobójcę, którego rzuciła dziewczyna. To prawda? – zapytał, tym razem zwracając się do mnie, a następnie zaciągnął się już prawie samym filtrem.

– Tak mi powiedział Krystian. Później zadzwoniła do niego ta świeżo – była dziewczyna, to wyszedłem, żeby mu nie przeszkadzać.

– A jak go znalazłeś to nie trząśłeś nim za bardzo? Nie chce, żeby przy sekcji zwłok jakiś syf wyszedł.

Już chciałem powiedzieć, że od razu się przytuliłem i leżałem tak 10 minut, ale wydusiłem z siebie tylko ironiczne „jasne”. Naprawdę mogłem jeszcze dodać, że podziwiałem tylko z daleka.

– Powiedz mi jeszcze, skąd on ma te siniaki na twarzy?

Uniosłem brwi. Leon musiał mieć naprawdę duże doświadczenie ze zwłokami, bo zdołał dostrzec te ślady przysłonięte w dużej części przez zaschniętą krew.

– Stwierdził, że dziewczyna uderzyła go wałkiem od ciasta – tak, moja odpowiedź brzmiała właśnie tak głupio, jak może się każdemu wydawać.

– Uderzyła? – głos Leona był tak zdziwiony, że gdyby nadal miał w ustach papierosa, ten leżałby już dawno na ziemi.

– Parę razy uderzyła – mój głos był nadal... jakby to ująć – głupi.

– Ok, sprawdzimy. – rzekł ze zrezygnowaniem Leon. Widać było, że niezbyt wierzy w tę historię. Pozostało mi tylko wzruszyć ramionami.

– Dobra – oznajmił. – Opowiesz mi to wszystko na komendzie, bo i tak trzeba wyczarować jakiś raport.

Uniosłem brwi ze zdziwienia.

– Czy ta część z komendą jest na pewno konieczna? Wiem, że może nie brzmi to przekonująco o tej godzinie, ale mam trochę rzeczy do zrobienia.

– Masz jeszcze kilka browarów do wypicia? – wyraźnie zakpił Leon, sięgając po kolejnego papierosa.

– Mam kolokwium za niecałe trzy godziny. I muszę się wszystkiego nauczyć we... właśnie te niecałe trzy godziny.

Policjant tak szeroko się uśmiechnął, że papieros, którego miał w ustach, powinien już dawno z nich wypaść, jednak jakaś nieznama siła cały utrzymywała przy dolnej wardze. Nałogowi palacze to prawdziwi magicy.

– Dam ci takie zwolnienie, że studenci przed egzaminem by się o nie zabili. Pasuje?

– A mam inne wyjście?

– Nie. Właśnie dlatego pytam. Pasuje?

– Pasuje, ale przyrzekam, że nigdy już nie będę rozmawiać z nikim w kuchni po północy.

Leon głośno się zaśmiał, a ten moment rozluźnienia wykorzystał Tołdi, który spytał się, czy jest nadal potrzebny. Po uzyskaniu informacji, że nie, bo tylko ja wystarczę na komendzie, życzył mi dobrej imprezy (żartowniś). Następnie pobiegł truchtem w stronę pokoju, robiąc co jakiś czas krótkie przystanki na łyk piwa. Naprawdę nie wiem, jak można go nie uwielbiać. Po chwili stwierdziłem, że sam też muszę wrócić do pokoju, bo mój strój składający się z czarnej koszulki z logo Metallici i kolorowych bokserów średnio nadawały się na aktualne grudniowe powietrze. Leon kazał mi się pospieszyć, a później powiedział dokładnie to samo technikom przez telefon. Trochę nieumiejętnie ominąłem Krzysztofa, który chyba naprawdę nas nienawidził. Za tego przerwane goście. Jestem pewny.

Kiedy dotarłem do końca korytarza, odwróciłem się na chwilę, bo obok kuchni właśnie pojawili się technicy. Zaczęli rozwijać wokół drzwi kuchni tę taśmę znaną z filmów sensacyjnych, żeby nikt nie wkraczał do strefy miejsca zbrodni. Trzeba będzie ją później ukraść i użyć przed jakimś naprawdę nudnym wykładem. Oczywiście wokół wejścia do kuchni zaczęli też się schodzić inni mieszkańcy akademika, bo tak jak przewidywałem, nikt nie przejął się odgłosem strzelającego pistoletu, ale niebieskie światła radiowozu odbijające się w oszronionych szybach okien miały bardzo przyciągającą moc.

Gdy wszedłem do pokoju, Tołdi siedział na swoim łóżku i jadł pistacje, popijając je swoim ostatnim piwem. Chociaż kto to wie, ile on ma tych czteropaków za łóżkiem.

– Na czarną godzinę zostawiłem. Dopiero mi się przypomniało – rzekł, gdy trochę zdziwionym wzrokiem obdarowałem jego prawie poranny posiłek.

– Nie mogłeś chcieć tych pistacji zamiast frytek? To by trochę zmieniło moje plany na dzisiejszy poranek.

– Chciałem coś na ciepło.

– No i dostałeś kogoś na zimno.

Jednocześnie wzruszyliśmy ramionami, co mnie trochę rozbawiło, ale stwierdziłem, że pobyt na komendzie po imprezie urodzinowej nie brzmi w sumie tak źle. Oczywiście gdyby wyciąć z tego wszystkiego samobójcę z kuchni.

Ubrałem się jak najszybciej i kiedy już miałem się odwrócić w stronę drzwi, kątem oka dostrzegłem notatki z mechaniki ogólnej leżące na moim łóżku. Zdałem sobie sprawę, że w taki oto sposób moje zaliczenie z kolokwium poszło... na dwa . Chociaż inaczej mogłem dokończyć to zdanie.

Wziąłem jeszcze od Toldiego kilka pistacji na drogę, a następnie nacisnąłem klamkę, żeby pójść do policjantów i pojechać z nimi na komendę.

No dobra. Czy mi się tylko wydaje, czy to nie brzmi trochę dziwnie, jak na studenta? Bo Clint Eastwood nigdy by nie poszedł na coś takiego.

Rozdział 3

„Komenda policyjna, czyli moje osobiste zwiedzanie Piekła”

Leon stał przy schodach i kiedy mnie zobaczył, machnął do mnie ręką, żebym poszedł za nim, a sam ruszył na dół. Nie zauważyłem nigdzie Krzysztofa, ale pewnie budka z fast-foodem po drugiej stronie ulicy nie potrzebowała zbytniego marketingu, by go zainteresować. Machnięcie policjanta też niestety nie potrzebuje zbytniego marketingu, więc przyspieszyłem kroku i po krótkiej chwili byłem już na dole. W portierni Królik oglądał jakiś serial, w ogóle nie zwracając uwagi na nic dookoła. No tak. Ludzie giną, ale serial trzeba obejrzeć. Każdy chyba zna to z własnego doświadczenia, chociaż może w nie w tak drastycznej i dramatycznej wersji.

Powietrze na dworze było dosyć zimne i na tyle rześkie, żebym nie mógł pomylić tych dość nieprzyjemnych, ale niestety bardzo rzeczywistych zdarzeń sprzed niecałej godziny z jakimś koszmarnym snem, z którego miałbym się za chwilę obudzić. Była już prawie 6:30, więc słońce zaczynało się nieśmiało wyłaniać zza horyzontu i prawdopodobnie chciało rozpocząć kolejny dzień. Niestety dla mnie poprzedni się jeszcze nie skończył i musiało minąć trochę czasu, zanim miało do tego dojść.

Leon stał obok srebrno-niebieskiego radiowozu, którym była Kia Ceed i chcąc być wiernym swojemu nałogowi, palił kolejnego papierosa. Po chwili z prawej strony nadbiegł zdyszany Krzysztof z ogromną, mimo że już mocno nadgryzioną, zapiekanką, która miała na sobie chyba wszystkie możliwe dodatki. Zabawne. Krzysztof przekroczył dietę 1000 kilokalorii jeszcze przed siódmą rano. Ale jak to mówią: „Bóg bardzo niesprawiedliwie rozdaje talenty”.

Kiedy stanąłem obok samochodu, Leon otworzył tylne drzwi i z gestem niezbyt wytwornego lokaja zaprosił mnie do środka.

– Rozgość się – rzekł z dużą nutką ironii, dogaszając jednocześnie końcówkę papierosa na dachu samochodu.

– Chciałbym powiedzieć „nie trzeba”, ale to chyba nic nie zmieni – odparłem, cały czas stojąc przed otwartymi drzwiami. Podróż na komendę wciąż była na samym końcu moich świątecznych marzeń.

– Masz rację. To nic nie zmieni, ale nie przejmuj się. Też nie lubię tym jeździć.

– Powinieneś dostać jakiś order z zakresu pocieszania innych.

Leon szeroko się uśmiechnął.

– Szczerze to mało mnie to obchodzi. Chce mi się spać, a czeka nas jeszcze trochę pracy przy spisywaniu raportu. Więc albo wchodzisz do środka, albo będę musiał zapalić kolejnego papierosa, co bardzo mnie zdenerwuje, bo właśnie rzucam.

Stwierdziłem, że faktycznie nie ma co przedłużać, bo według mojej mamy, ludzie rzucający papierosy to najgroźniejsi ludzie na świecie. Dlatego jeśli było to w ogóle możliwe, próbowałem się rozgościć na tylnym siedzeniu. Wiem, że może zabrzmiało to trochę jak z taniego filmu dla dorosłych.

Podróż na komendę odbyła się w praktycznie absolutnej ciszy. Zupełnie jak syndrom dziesiątej randki, ciągle bez całowania. Tylko co jakiś czas dało się usłyszeć jakieś wezwania przez radio, lecz za każdym razem przejmował to jakiś inny patrol.

Z nudów spoglądałem przez okno, za którym rozpościerał się śnieżno-biały krajobraz Poznania, a całkiem już mocne promienie słońca odbijały się od śniegu, trochę mnie oślepiając. Od razu skojarzył mi się z tym tytuł utworu Deftones, „My Own Summer”. Jedynym problemem było to, że był niemal początek zimy.

Gdy dotarliśmy na miejsce, moim oczom ukazał się masywny, trójkondygnacyjny budynek, a widniejąca na nim tablica – „Komisariat Policji” raczej nie zachęcała do robienia sobie przed nią turystycznych zdjęć.

Po wyjściu z samochodu musieliśmy razem z Leonem poczekać na Krzysztofa, którego wydostanie się z auta wiązało się z serią chyba czterdziestu ruchów, które musiały być idealnie zgrane w czasie. Nieśmiało przewiduję, że następny olimpijski medal z gimnastyki artystycznej należy do niego.

Hol komendy miał dla mnie tak przytłaczający klimat, że na początku zrobiło mi się nawet trochę duszno. Jego wystrój zdecydowanie zatrzymał się w czasie przed 1989-ym i od razu można było zauważyć, że budynek potrzebuje natychmiastowego remontu. Obdrapane ściany i meble pamiętające głęboki komunizm być może miały powodować strach pośród przesłuchiowanych przestępców, jednak u zwyczajnych świadków takich jak ja, wzbudzały tylko niepokój i lekkie odrętwienie.

– Chcesz kawy? – spytał nagle Leon, wyrywając mnie z pseudo architektonicznych rozważań.

– Może być. Byle z mlekiem. – odparłem, starając się już więcej nie zwracać uwagi na wystrój wnętrza.

– Czyli nie chcesz kawy, tylko kakalko – roześmiał się Leon, a następnie ruszył w głąb komendy.

Podążając za nim, minęliśmy pseudo recepcję, a następnie schody prowadzące do kilku cel, gdzie doba hotelowa trwała zazwyczaj 48 godzin z możliwością przedłużenia do 72-óch. Później odbiliśmy w prawo i po pokonaniu długiego i wąskiego korytarza znaleźliśmy się w małym, ciemnym pokoju, który w całym swoim życiu wchłonął zdecydowanie za dużo papierosowego dymu.

– Usiądź tutaj. Ja zaraz przyniosę kawę – rzekł Leon, wskazując jedno z dwóch krzeseł, które były tak zniszczone, że gdybym miał wybrać te w gorszym stanie, nie mógłbym się zdecydować. Leon zanim wyszedł, włączył jeszcze leżącego na stole

laptopa, którego głośno chodzący wentylator, był chyba jedyną rzeczą, która tworzyły jakikolwiek ruch powietrza w tym pomieszczeniu.

Wziąłem głębszy wdech, lecz było to wręcz równoważne z zaciągnięciem papierosem, ponieważ panowała tutaj mała, papierosowa mgła. Dodając do tego nadchodzącą kawę, czekało mnie sławne połączenie „kawa + papieros”, czyli wszystko zaczynało się prawie tak jak w filmach. Nie wiem dlaczego, ale miałem przeczucie, że będę musiał jeszcze trochę poczekać do radosnego happy – endu.

Po kilku minutach wrócił Leon, trzymając dwa duże kubki. Oba były tak mocno sfatygowane, że nie byłem w stanie określić, jakie grafiki znajdowały się na ich zewnętrznej stronie. Dobrze, że wewnątrz było na razie wypełnione kawą, bo mogę się tylko domyślać, jak się prezentowało.

Po kilku głębszych łykach może nie czułem się jak nowonarodzony, wciąż czułem ostatki alkoholu leniwie przepływające przez moje żyły, ale bez wątpienia mój pasek życia zwiększył się o kilka procent.

– No dobra. Zaczynamy, bo w końcu muszę wrócić do domu – rzekł Leon, rozprostowując palce na klawiaturze komputera. W jakieś 15 minut opowiedziałem mu zdarzenia zeszłej nocy, starając się najlepiej wszystko opisać i nie pomijać żadnych istotnych faktów. Leon zapisywał wszystkie moje słowa, nie zadając na razie żadnych pytań, jakby nie chciał wybijać mnie z rytmu, który i tak był już dosyć połamany.

– I ty na pewno nigdy wcześniej nie widziałeś tego Krystiana? – zapytał Leon, dopijając kawę w swoim kubku, który tak jak się spodziewałem, od wewnętrznej strony potrzebował jakiegoś środka do odrdzewiania rur. Zwrot „mocna kawka” natychmiast nabrał nowego znaczenia.

– Nie mignął ci ten Krystian nigdy na korytarzu? – kontynuował. – Na uczelni, mieście, gdziekolwiek?

– Nie. Dzisiaj w nocy widziałem go pierwszy raz. Pierwszy i ostatni, jak się okazało.

– Faktycznie wasza znajomość nie należała do najdłuższych – policjant głośno się roześmiał, jednocześnie przeciągając się i ziewając, co wytworzyło całkiem zabawny odgłos. Następnie z powrotem nachylił się nad komputerem i zaczął na głos czytać moje zeznania. Poczuję się niemal jak gwiazda, która autoryzuje swój wywiad.

– Podpiszysz to? – spytał, wyglądając już na naprawdę zmęczonego. Skinąłem głową, że się zgadzam, bo to co mi przeczytał, nie różniło się zbytnio od tego, co powiedziałem kilka minut wcześniej.

– Dobra, daj swój dowód osobisty, spisujemy dane, złożysz autograf i pójdziemy do domu.

Zacząłem grzebać w portfelu i po krótkich poszukiwaniach wyciągnąłem swój dowód, a następnie podałem go Leonowi. Patrzył na niego przez kilka sekund, a po chwili z niedowierzaniem zapytał:

– Ty chcesz mi powiedzieć, że jesteśmy rówieśnikami? I że ja pracuję w policji, a ty mieszkasz w akademiku? Powiedz mi, gdzie na tym świecie została jeszcze jakaś sprawiedliwość?

Wzruszyłem ramionami i w skrócie opowiedziałem mu o mojej dziwnej sytuacji bycia studentem pierwszego roku w wieku trzydziestu lat. Chociaż już trochę zaczęła mnie irytować każdorazowa konieczność tłumaczenia się z tego.

Po wprowadzenia wszystkich danych do komputera, po mojej lewej stronie zaczęła trzeszczeć drukarka, która po około minucie wyrzuciła z siebie trzy gęsto zapisane kartki A4. Byłem trochę zawiedziony, że nie ma żadnej mojej fotki, no bo co to za wywiad z gwiazdą bez żadnego zdjęcia? Już miałem pod tym wszystkim złożyć swój podpis, bo przeboleiałem jakoś ten brak zdjęcia, gdy telefon Leona odezwał się tanią melodyjką midi.

– Zaraz będę – powiedział, a następnie odwrócił się w moją stronę. – Gruby... To znaczy Krzysztof dzwonił i podobno przyszła do mnie jakaś ważna wiadomość. Zaraz będę z powrotem.

Westchnąłem tylko, bo myślałem, że zaraz będę mógł sobie pójść, a przerwały to jakieś policyjne ciekawostki. Gdy po kilku minutach Leon wrócił, łatwo można było stwierdzić, że te policyjne ciekawostki znacznie pogorszyły jego humor. Nagle rzucił w moją stronę mały przedmiot w plastikowym woreczku, który w trakcie swojego krótkiego lotu skojarzył mi się z kartą kredytową, jednak gdy wylądował na stole, okazał się zwykłym dowodem osobistym. Zwykłym, bo pieniędzy tym się nie wypłaci, czyli absolutnych brak jakichkolwiek supermocy.

Na zdjęciu od razu rozpoznałem Krystiana. Miał może trochę inną fryzurę, ale bez wątplenia to był on. Zresztą każdy na zdjęciu w dowodzie ma „trochę inną” fryzurę. Gdy przesunąłem wzrok odrobinę w prawo, w miejscu gdzie znajduje się imię i nazwisko, litery układały się w napis „Alan Świderski”.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w plastikowy kartonik, próbując się skoncentrować i zrozumieć o co w tym wszystkim chodzi. Przecież imienia Alan nie można pomylić z imieniem Krystian. Jest między nimi dużo większa różnica, niż pomiędzy smakiem Pepsi, a Coca-Coli. Chociaż wiem, że dla niektórych to różnica warta życia i śmierci.

– Jest jeszcze coś – kamiennym głosem odezwał się Leon. Po tych słowach wyjął z teczki, która dopiero teraz zauważyłem, jedną kartkę A4.

– To bardzo wstępny raport z sekcji naszego Krystiana vel Alana, dosłownie sprzed kilku minut. Patolog stwierdził, że zgon nastąpił około tej godziny, kiedy zadzwoniłeś na policję, czyli wszystko prawie by się zgadzało, oprócz tego, że zgon był spowodowany uderzeniem tępym przedmiotem w głowę, a nie strzałem... w tę samą głowę. Podobno po tej stronie, gdzie była rana, czaszka była tak dziwnie

strzaskana, że ostre kawałki wbiły się w mózg. Na pierwszy rzut oka nie było tego widać, bo nasz pseudo-samobójca miał dosyć długie włosy.

– Ale chodzi ci teraz o to uderzenie wałkiem przez Julię?

– Ty tak twierdzisz.

– To znaczy?

– Wiesz, że technicy zdążyli już sprawdzić telefon Krystiana–Alana–nie–wiadomo–kogo? I wiesz co wyszło?

– Co takiego?

– Że nie mieli czego sprawdzać. Przy tym Alanie, ani w kuchni nie znaleziono żadnego telefonu.

Lekko zakręciło mi się w głowie. Zrozumiałem do czego zmierza Leon. Moje zeznania pękały od bezsensu niczym za mocno napompowany balon. W dodatku przez pijanego wujka na urodzinach. Uderzenie wałkiem w głowę przez swoją dziewczynę. Naprawdę? Nawet średnio rozgarnięty przedszkolak wymyśliłby coś lepszego. Jakieś bajeczki o esemesach od dziewczyny i rana na głowie, która później dziwnym trafem okazuje się śmiertelna. Telefon oczywiście mógł ktoś ukraść, lecz chyba istnieje choćby jakiś minimalny złodziejski kodeks, mówiący o tym, że zmarłych się nie okrada. No chyba że jest się sprawcą zostania zmarłym tego właśnie zmarłego, a w telefonie znajduje się kilka esemesów, które mogłyby troszkę przyspieszyć śledztwo.

Zmrużyłem oczy. Było mi na przemian gorąco i zimno. Moje zeznania nie trzymały się teraz logicznej całości, mimo że były prawdziwe.

– To teraz jestem niby jednym z podejrzanych? – zapytałem podenerwowanym głosem.

– Nie jesteś jednym z podejrzanych. Jesteś jedynym podejrzanym. Bo wiesz co jest w tym wszystkim najlepsze? – Leon brzmiał na równie zdenerwowanego, ale nic już nie odpowiedziałem, tylko bardziej zmrużyłem oczy.

– Na broni z której zeszlifowano numer seryjny, znaleziono tylko jeden typ odcisków. Ale nie należą one do Alana. Skoncentruj się chwilę i pomyśl, kogo mogą być.

Momentalnie zobaczyłem w głowie projekcję w zwolnionym tempie. Alan rzucający mi pistolet. To znaczy wtedy to była jeszcze atrapa pistoletu i koleś nazywał się Krystian. Następna klatka, kiedy obracam pistolet w dłoniach. Później szybkie przewinięcie do momentu, kiedy powiedziałem: „palisz w rękawiczkach, żeby mama nie wyczuła?”

Spojrzałem na swoje opuszki palców, których linie papilarne były zapewne aktualnie odbite na broni, która zapewniła Alanowi dziurę w głowę, a która to miała świadczyć o rzekomym samobójstwie. Czyli według policji, jeśli to ja byłem odpowiedzialny za upozorowanie samobójstwa, to zapewne miałem też udział w uderzeniu tępym narzędziem w głowę, co spowodowało śmierć Alana.

Zmrużyłem oczy tak mocno, że prawie je zamknąłem, a następnie przełknąłem ślinę, która chyba nigdy nie była taka sucha. Zupełnie nie tak wyobrażałem sobie trzydzieste urodziny.

Rozdział 4

„Zagrajmy w grę, w której nikt nie wygra”

W głowie zaczynało mi się kręcić dużo bardziej niż jeszcze kilka chwil temu i byłem zmuszony nawet chwycić się stołu, bo wydawało mi się, że zaraz się przewrócę. Wiedziałem, że policja ma w bazie moje odciski palców, ponieważ kilka lat brałem udział w bójce w nocnym lokalu. Cytując Morfeusza z filmu „Matrix”: „Nie wiem, kto zaatakował pierwszy. My czy maszyny”. Niestety to oni byli maszynami, ponieważ to oni mieli do czynienia z jakimiś maszynami z siłowni, a my niestety nie bardzo. Gdybym w ostatniej chwili nie roztrzaskał butelki od piwa na głowie jednego z osiłków, moja rola w tej bójce ograniczyłaby się do nic nie znaczącego epizodu zakrwawionego statysty. Mimo że tym sposobem zdobyłem kilka punktów dla mojej drużyny, później i tak wróciłem do roli zakrwawionego statysty z przedłużeniem kontraktu na zdjęcie odcisków palców.

Spojrzałem na swoje dłonie, które mocno się trzęsły. Moja odporność na stres była dużo niższa niż u transplantologa wykonującego operacje na otwartym sercu, a w dodatku nikt mnie nigdy nie nauczył, jak mam się zachować przy oskarżeniu o niepopelnione zabójstwo. Chyba kiedyś dopiszę taki rozdział na końcu książki „Wychowanie dziecka w dziesięciu krokach”. Bonusowo – „Propozycje prezentów–niespodzianek przy odwiedzinach dziecka w więzieniu.”

Zakląłem w myślach wszystkimi możliwymi przekleństwami, jakie znam, tworząc przy okazji kilka nowych. Tołdi, czemu ty chciałeś te frytki? Jak stąd wyjdę, to najchętniej bym cię za to zabił, dusząc cię tym opakowaniem od frytek. Chociaż wyjście na przepustkę z wyrokiem za morderstwo może być trochę trudne do załatwienia. I w dodatku recydywa. Zrezygnowany puściłem się stołu, ale w zamian ścisnąłem pięści tak mocno, że paznokciami poraniłem sobie wewnętrzne części dłoni.

– Usiądź – rzekł nagle Leon, opierając się o stół.

– Przecież siedzę – odpowiedziałem najbardziej spokojnym głosem, jaki zdołałem z siebie wydobyć, lecz zapewne krzyczałem głośniejszym, niż na zeszłorocznym koncercie Metallici.

– Mentalnie.

– No pewnie – pomyślałem. Może jeszcze zaraz zamówię sobie hamak, drinka z palemką i od razu zacznę się relaksować. Do tego dorzuciłbym 80-calową plazmę z serialami pokroju „Prison Break” i „Ucieczka z Dannemory”, żeby powoli się edukować, jak skrócić moją długoletnią odsiadkę. Zapewne wyglądałem całkowicie przeciwnie do tego bladego i spokojnego dzieciaka z filmu „Omen”. Może tylko równie często się uśmiechałem.

– Proszę cię, uspokój się – naciskał Leon.

W odpowiedzi wykrzychałem kilka niezrozumiałych zdań z dużą ilością wulgaryzmów, cały czas podnosząc głośność o kilka decybeli. Małymi kroczkami zbliżałem się do odgłosu startującego Boeinga.

– Zamknij się na chwilę – tym razem Leon warknął. Natychmiast zapanowała trochę frapująca cisza, a pokój wydawał się drżeć jak po średniej mocy trzęsieniu ziemi. Albo były to tylko moje ręce, które z powrotem chwyciły się stołu. Chyba już wspominałem, że nie byłbym dobrym transplantologiem.

– Powiedziałem ci, że jesteś jedynym podejrzanym, bo to prawda, ale bardzo mnie to denerwuje, łagodnie mówiąc. A wiesz czemu? – rzekł Leon, tym razem aż niezbyt spokojnym głosem i po krótkiej pauzie kontynuował. – Bo wiem, że tego nie zrobiłeś. W swojej pracy zawsze ufam instynktowi i jestem pewny, że zwykłe badanie śladu prochu na dłoniach od razu by cię wykluczyło z listy podejrzanych. Zresztą jeśli ktoś w twoim wieku zaczyna studia i mieszka w akademiku, to ma w głowie raczej tęczę w kolorach piwa i nie jest aż tak głupi, żeby upozorować samobójstwo, zadzwonić na policję i zostawić jedynie swoje odciski palców na pistolecie leżącym obok „samobójcy” – Leon po tym monologu z wyraźnym gestem zrezygnowania usiadł na krześle, położył nogi na stole i sięgnął po paczkę papierosów, która okazała się pusta, co tylko wyolbrzymiło jego zrezygnowanie.

– Nie mogłeś mi powiedzieć tego od razu? – spytałem z lekkim zakłopotaniem.

– No faktycznie łatwo było się z tobą dogadać – zaśmiał się policjant, zapewne pijąc do serii moich niezrozumiałych bluzgów sprzed kilku minut. – Musisz się jeszcze chwilę skupić – tym razem powiedział to całkowicie na poważnie, podsuwając w moją stronę raport z sekcji Krystiano – Alana. – Tak jak ci mówiłem, przyszedł dosłownie przed chwilą.

– Szybko.

– Patolog to mój znajomy. Zrobił poza kolejką i w dodatku to tylko wstępny raport. Na dokładne wyniki będę musiał jeszcze trochę poczekać.

Zaśmiałem się w duchu. Patolog nie jest raczej typem lekarza, u którego ktoś chce się wpychać w kolejkę.

– Ale pamiętaj, że na razie tylko my to widzieliśmy. Nie mogę puścić tego dalej jako zabójstwo, bo od razu byłbyś oskarżonym. Ty gadałeś z tym Alanem, tylko twoje odciski są na broni, jak na razie zero świadków. Nawet gdyby ten twój kumpel powiedział, że byłeś w pokoju, jak padł strzał, to takie alibi można by łatwo podważyć, bo nie dość że był pijany, to przecież to twój kumpel. Kumple robią dla siebie dużo gorsze rzeczy, niż fałszywe zeznania. Nikt by wam nie uwierzył. Rozumiesz? Oczywiście badanie śladu prochu na dłoniach by cię wykluczyło, ale oficjalnie musiałbym cię aresztować, a na wyniki badań trochę byś poczekał. I to w niezbyt miłym miejscu i w jeszcze gorszym towarzystwie.

– A prokurator? Podobno do każdej sprawy samobójstwa przydzielana jest taka osoba. I zapewne zobaczy, że coś tu nie gra.

Leon głośno się roześmiał, jednocześnie kręcąc przecząco głową.

– Chyba naoglądałeś się za dużo seriali Mikołaj. Naprawdę myślisz, że każdy prokurator w tym mieście chce być jeszcze supebohaterskim detektywem? Jeśli powiem mu, że to samobójstwo, to nawet nie ruszy palcem, tylko podpisze papiery.

Głośno wypuściłem powietrze.

– To co teraz? Mogę wrócić do akademika? – spytałem po trochę zbyt długiej chwili.

– Nie możesz, tylko musisz.

Zmarszczyłem czoło.

– Nie no, raczej tam wrócę, bo Hilton nadal nie chce dać mi darmowego pokoju, ale czemu mój powrót do akademika jest dla ciebie taki konieczny?

– Zrobimy tak – rzekł Leon, splatając ręce. – Ja napiszę raport, że to było zwykłe samobójstwo, a w zamian będziesz moją wtyką.

– Twoją wtyką? – spytałem z niedowierzaniem.

– Tak. Moją wtyką – powiedział Leon z takim spokojem, jakby do swojej kawy dosypał trzy kilo wyciągu z żen – szenia. Ja za to wpatrywałem się w niego z miną, która była połączeniem zdumienia i chwilowego zawieszenia. Mój mózg naprawdę potrzebował kilkukrotnego wciśnięcia Ctrl–Alt–Del. Jednak żaden reset wciąż nie nadchodził, dlatego policjant kontynuował swoim ciągle spokojnym głosem.

– Nie rozumiesz? Nie mogę spłoszyć tego, który to zrobił, a chodząc po akademiku z odznaką w ręce i zadając pytania, rzucałbym się w oczy bardziej niż tanie wino obok drogiego whisky. Zabójca musi być przekonany, że wszystko poszło po jego myśli, czyli, że tylko ogłuszył tego Alana, uderzając go w miejsce świeżej rany, a później upozorował samobójstwo. Nie wie, że trochę spieprzył sprawę, bo Alan umarł od uderzenia w głowę, zamiast od dziury w głowie. A uwierz mi, że trup mógłby mieć trochę problem z powtórką swojej własnej śmierci. To nie jest mecz piłki nożnej w telewizji, a jak na razie wszystko wskazuje na ciebie.

– Bardzo nie podoba mi się ta wersja – wtrąciłem, ale Leon podniósł rękę w geście, żebym mu nie przerywał.

– Ale jak już mówiłem wcześniej, moglibyśmy obalić tę wersję jednym badaniem w laboratorium. Więc teraz na poważnie Mikołaj. Pomożesz mi?

– Daj mi się chwilę zastanowić. Zostały mi jeszcze jakieś koła ratunkowe, czy to już pytanie za milion?

– Nie wkurzaj mnie, bo nie mam już dzisiaj na to czasu. Wchodzisz w to?

– A mam jakieś inne wyjście.

– Nie. Dlatego pytam. Wchodzisz w to?

– Chyba już dzisiaj słyszałem ten tekst – odpowiedziałem z uśmiechem, a następnie uściśnąłem rękę Leonowi na znak, że się zgadzam. Zabawne. Jeśli jeszcze 10 godzin temu, ktoś powiedziałby mi, że pójde na ugodę z policjantem, ponieważ większość dowodów będzie wskazywać na mnie w sprawie o morderstwo, którego nie popełniłem, ale ten policjant dobrze o tym wie. Jednakże nie oskarży mnie o nic, bo mam zostać jego wtyką, aby znaleźć prawdziwego zabójcę, a w dodatku moje bycie podejrzanym można byłoby łatwo obalić jednym badaniem, ale wiązałoby się to z kilkunastogodzinnym pobytem w celi, to powiedziałbym tej osobie, że albo

wypiła stanowczo za dużo albo stanowczo za mało. Przecież coś takiego jest całkowicie nieprawdopodobne. Zupełnie jakby ktoś twierdził, że w dzieciństwie nie bał się Buki z Muminków.

W dodatku wątpilem, że będę w tej sprawie jakoś szczególnie użyteczny. Nawet nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Miałem chodzić po akademiku i pytać się każdego „hey, nie widziałeś przypadkiem mordercy tego samobójcy w kuchni? Tak wiem, że to było samobójstwo, ale wiesz... jeśli przypadkiem okazałoby się, że to morderstwo, to ja naprawdę chciałbym poznać tego kogoś.” Kurde. Przecież to bez sensu.

– Dobra – oznajmił Leon, rozkładając ręce na stole. – Chcesz tę dwudziestkę czwórke?

– Co takiego?

– No żebyś pokazał temu profesorkowi, czemu cię nie było na kolokwium. Mogę ci wypisać zaświadczenie o 24-godzinny pobycie w naszym ćwierć gwiazdkowym hotelu. Napiszę, że byłeś podejrzanym, ale zaszła pomyłka i musiałem cię wypuścić.

– Nie możesz trochę podkolorować, że kogoś uratowałem i że złapałem jakiegoś złodzieja?

– Chyba obaj chcemy, żeby to brzmiało w miarę wiarygodnie.

– Dobra. Ale za to dodaj, że mimo że byłem jedynym podejrzanym, nie chciałem nikogo sypnąć. Wiesz... respekt na mieście.

Leon uśmiechnął się pod nosem, a następnie szybko napisał to na laptopie. Po wydrukowaniu podbił wszystko na spodzie kartki dwiema pieczętami. Oczywiście nie uwzględnił tego, że nikogo nie sypnąłem, bo na szczęście robił sobie ze mnie jedynie żarty i napisał tylko, że byłem ważnym świadkiem w postępowaniu kryminalnym oraz przysłużyłem się polskiej policji. W końcu profesor Gucwa od mechaniki ogólnej raczej nie spojrzałby na mnie przychylnym okiem po przeczytaniu, że spędziłem 24 godziny w areszcie, będąc jednym z podejrzanych. Chociaż kto wie? Może moment bezwładności obliczał też na bardziej życiowych przykładach w pobliskich barach.

– Dobra, spadajmy już stąd – rzekł Leon, wręczając mi najcenniejszą rzecz dla każdego studenta, czyli zwolnienie, którego nie można podważyć. Następnie odsunął się od stołu i ostentacyjnie się przeciągnął.

– Podwieźć cię? – zapytał, nadal będąc w pozycji przeciągająco – ziewającej.

– Zazwyczaj nie lubię jeździć samochodem z policjantem, ale powiedzmy, że tym razem zmienię swoje przyzwyczajenia.

– Ja też rzadko podwożę trzydziestolatka, który chce się cofnąć w czasie o 10 lat – odparł Leon, po czym wybuchnęliśmy śmiechem. Zastanawiające. Jeszcze kilkanaście minut temu ten policjant oskarżał mnie o morderstwo, a teraz będąc jego informatorem, śmiejemy się z tanich żartów. Lecz tak naprawdę tylko jednego mogłem być pewien. Gra, która teraz się zaczęła, nie miała żadnego przewidywalnego zakończenia.

Czy ja właśnie zabrzmiałem jak Steven Seagal, czy tylko mi się wydawało?

Gdy doszliśmy do holu komendy, na pseudo recepcji tym razem siedziała policjantka, której urodę grupa nastolatków wyceniłaby pewnie na jakieś 8/10. Jako że była ubrana w policyjny mundur, dostałaby dodatkowy punkt, kończąc z zaszczytną oceną 9.

– Cześć Ala – rzucił nagle Leon do mokrego snu nastoletnich chłopców. Albo do nastoletniego snu mokrych chłopców. Sens pozostawał ten sam.

Policjantka nic nie odpowiedziała, tylko się uśmiechnęła, a zęby miała tak białe, że gdyby goiła się na twarzy, używając pianki do golenia, nie byłoby różnicy pomiędzy kolorem pianki i zębów. Niestety u większości mężczyzn przypomina to trochę zabawę w żółty śnieg, więc gdybym to ja był producentem pianek do golenia, zmieniłbym ten śnieżnobiały kolor na bardziej żółty odcień. Chociaż jeden kompleks u ludzkości mniej, bo przecież mało kto robi sobie zęby u dentysty w Hollywood. A zwłaszcza w moim akademiku.

Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, Leon podszedł do swojego samochodu, którym była mocno sfatygowana Skoda Octavia. Wyglądała trochę jak były radiowóz przerobiony na samochód cywilny. Trzeba zaznaczyć, że jeśli policja nie chce już używać jakiegoś samochodu, istnieje tylko jeden powód. Zalecenie kasacji od stacji kontroli pojazdów. W tym przypadku stereotypy nie chciały w ogóle temu zaprzeczać. Wgnieciona w wielu miejscach blacha, pęknięta szyba i stłuczony reflektor to tylko kilka wad uchwyconych na szybko. Nawet nie chciałem się zastanawiać, co działo się pod maską, bo jestem pewny, że poziom siedmioletniego oleju i tak zbliżał się już do poziomu bliskiego zeru. Za niedługo z silnika będzie można wyciągać jedynie piach i orzeszki.

Wsiedliśmy do środka, po czym Leon włączył radio, jednocześnie kilka razy bezskutecznie próbując odpalić samochód. Gdy w końcu się to udało, powiedział do siebie coś o mocno przereklamowanych samochodach służbowych, po czym ruszyliśmy w stronę akademika.

– Zapisz sobie mój numer – powiedział po chwili ciszy, która powoli załapywała się do przymiotnika „niezręczna”.

Wyciągnąłem telefon i musiało minąć kilkanaście sekund, zanim stałem się posiadaczem swojego prywatnego, policyjnego telefonu zaufania.

– A rodzina tego Alana? Ktoś ich już powiadomił? – spytałem, patrząc w boczne lusterko, bo zawsze tak robią w gangsterskich filmach.

– Tak. Już poszła informacja o samobójstwie. Mają wezwać rodzinę na przesłuchanie, ale wątpię, że czegoś się dowiedzą.

– Jasne – uśmiechnąłem się. – Kto jak kto, ale rodzina zazwyczaj wie o tobie najmniej. To znaczy w zakresie tych najciekawszych spraw.

Leon zmarszczył nagle czoło i skrzywił się w geście niezadowolenia, podobnie jak Tołdi, kiedy dowiaduje się, że jego rodzice postanowili go odwiedzić w akademiku.

– Cały czas zastanawiam się, czy to dobry pomysł, żeby na razie nie informować jego rodziny o tym, że to było morderstwo, a nie samobójstwo, ale z drugiej strony, dobrze wiem, jakby to się skończyło. Programy typu „Uwaga” i „Sprawa dla reportera” chciałyby ukrzyżować polską policję.

Leon niewątpliwie miał rację. W wyobraźni widziałem już te ogromne nagłówki na stronach internetowych – „Policja ukrywała morderstwo w akademiku, twierdząc, że to samobójstwo. Czy nadal możemy im ufać?” oraz „Czy w polskich akademikach możemy czuć się bezpiecznie?”. W tym przypadku nawet klikbajt byłby zbędny. Uśmiechnąłem się w duchu. Jeśli kto chce czuć się bezpiecznie, na pewno nie powinien wybierać akademika jako miejsca zamieszkania.

Gdy w końcu do niego dotarliśmy, obiecałem Leonowi, że jeśli zauważę coś podejrzanego, od razu dam mu znać, lecz nadal nie mogłem sobie wyobrazić, co by to mogło być. W akademiku podejrzane jest wszystko i nic z wyraźnym naciskiem na „nie”. Przykładowo jeśli ktoś szedłby korytarzem w przebraniu niedźwiedzia polarnego, a w jednej ręce trzymałby gaśnicę, a w drugiej atrapę pistoletu, każdy szanujący się mieszkaniec akademika spytałby jedynie o numer pokoju, w którym jest ta impreza.

– Naprawdę już widzę swoją wielką detektywistyczną karierę – pomyślałem, wysiadając z samochodu i żegnając się z Leonem. Szybkim krokiem przeszedłem przez teren kampusu. Śniegu ciągle przybywało i wczorajszy, przegnębiający deszczowy klimat został zastąpiony przez reklamowaną już od listopada magię Świąt. W moim przypadku można powiedzieć, że naprawdę mocno przereklamowaną.

Dzisiaj na portierni akademika siedziała „Mądra Krystyna”. Wszyscy ją tak nazywali, ponieważ zawsze czytała jakąś książkę, ale chyba i tak niewiele z nich wynosiła. Jej zasób słownictwa ograniczał się do słów: „tak”, „nie” i „pokaż kartę”. Była elokwentna niczym scenarzysta niemego filmu z lat dwudziestych albo co bardziej prawdopodobne, niezbyt miała ochotę wchodzić w dłuższe dyskusje z mieszkańcami tego przybytku. I chyba nikt nie powinien czuć się specjalnie zaskoczony.

Gdy stanąłem obok drzwi, popatrzyła na mnie przez krótką chwilę i wpuściła do środka, nie chcąc nawet sprawdzać mojej karty mieszkańca. W sumie nie było co się dziwić, bo z aktualnym wyglądem mógłbym zostać twarzą jakiejś fundacji charytatywnej, czyli idealnie pasowałem do obrazu imprezującego studenta.

Mimo że zazwyczaj wchodzę na trzecie piętro schodami, tym razem miałem siłę jedynie położyć się spać, więc postanowiłem skorzystać z windy. Była już mocno sfatygowana i co jakiś czas wpadała w mocne wibracje, jednak aktualnie nie robiło to na mnie żadnego wrażenia. Także kiedy tylko wszedłem do pokoju i zobaczyłem śpiących Tołdiego i Profesora, nie namyślając się zbyt długo, wziąłem z nich przykład.

Ten sen męczy mnie już od kilku tygodni. Stoję na środku zamrożonego jeziora, a temperatura wynosi jakieś -20° Celsjusza. Oczywiście jest to sen, więc nie mogę odczuwać ciepła ani zimna, ale nie wiadomo czemu obok mojej prawej nogi leży termometr, który wskazuje właśnie taką temperaturę. Mogę tylko narzekać, bo gdyby w tym śnie panowało lato, istniałaby jakaś szansa na dziewczyny w bikini. Chociaż z drugiej strony to przecież mój sen i dziewczyny w bikini mogą skakać przez przeręble w strojach najnowszej kolekcji Victoria's Secret nawet w dwudziestostopniowym mrozie. Niestety mój mózg nie jest tak wspaniałomyślny i wciąż serwuje mi tę przygnębiająco – arktyczną scenerię. Może chociaż jakieś pingwinki?

Nagle orientuję się, że cała przestrzeń zamrożonego jeziora jest pokryta różnokolorowymi, nienapompowanymi balonami. Domyślam się, że ma to oznaczać koniec jakiejś imprezy. Albo może początek? W dodatku leżący obok termometr zamienia się w czarny futerał od gitary. Na początku nie mogę go otworzyć, bo pewnie hormon w mózgu tworzący ten sen próbuje ustalić, jaka gitara jest w środku (za każdym razem jest inna). Z braku lepszego pomysłu próbuję dobiec do brzegu, jednak wydaje mi się, że cały czas stoję w miejscu, zupełnie jakbym śpieszył się na wykład z mechaniki ogólnej. Kiedy stwierdzam, że trzeba skończyć te sprinterskie zero metrów, futerał jest już otwarty a w środku znajduje się czarny Gibson Les Paul (hormon w końcu się zdecydował). I wtedy następuje najgorsze. Biorę instrument do ręki i okazuje się, że nie umiem nic zagrać. Żadnego dźwięku. Żadnego riffu. Nic. Jakbym wszystkie lata nauki gry spędził na patrzeniu się na gitarę.

Tym razem jednak nawet nie doszedłem do momentu, ponieważ nagle nad jeziorem pojawia się czarna dziura, która pochłania wszystko – mnie, gitarę, nawet życzeniowe pingwinki i dziewczyny w bikini. W dodatku po chwili okazało się, że czarna dziura nie do końca była wytworem tylko mojego umysłu.

Obudziłem się, czując na sobie uścisk rąk Profesora (witamy naszą czarną dziurę), który mocno mną potrząsał, a jedynymi słowami jakie mogłem zrozumieć, były – „Miki dwudziesta”. Na dworze było już ciemno, czyli przespałem praktycznie cały dzień. Przysięgam, że jeśli reinkarnacja istnieje, w następnym wcieleniu zostanę nietoperzem albo sową puchaczem.

Przecierając oczy, usiadłem na łóżku i rozejrzałem się po pokoju. Mój wzrok próbował nabrać ostrości niczym zepsuty aparat cyfrowy, lecz na razie uniemożliwiał mi to mocne światło. Gdy w końcu moje źrenice przyzwyczyły się

do oświetlenia panującego w pomieszczeniu, oprócz Tołdiego i Profesora zauważyłem trzeciego dobrego znajomego leżącego na stole, a mianowicie 40 – centymetrową pizzę.

– Od razu mówię, że dokładałem się do pizzy i żądam minimum trzech kawałków – powiedziałem, wciąż przecierając oczy.

– Spokojnie. Tołdi stawia, bo to uczta za zmarłego – rzekł Profesor, otwierając kartonik z „włoskim kółeczkiem szczęścia”. Jak widać Tołdi zdążył już opowiedzieć nocne zdarzenia ze wszystkimi szczegółami.

– Naprawdę wspaniała okazja do świętowania.

Nie zdążyłem jednak nic już dodać, bo Tołdi zaczął nakładać jedzenie na rozłożonych przed momentem talerzach. Następnie obok nich ułożył trzy szklanki dodawane w promocji do jakiegoś alkoholu, a później wyjął dwulitrową butelkę coli. Gdy tylko ugryzłem pierwszy kęs i popiłem go colą, dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jaki byłem głodny. Od prawie dwudziestu godzin nic nie jadłem, a w dodatku czy istnieje coś lepszego na świecie niż pizza z colą?

– Dobra Miki, powiedz lepiej powiedz, jak było na komendzie – powiedział Tołdi, znajdując się pomiędzy kolejnymi kawałkami pizzy.

W czasie, gdy streszczałem im mój pobyt na komisariacie, wiele momentów mojej opowieści było przerywane najróżniejszymi wulgaryzmami, co czasami zahaczało nawet o słowotwórstwo. Kiedy skończyłem, Tołdi i Profesor wpatrywali się we mnie z miną niedowierzania i jednocześnie, niczym bliźniaczki Olsen powiedzieli:

– Miki. Skocz po browary.

– Co ja teraz zrobię? Mnie też zamordują? Nie no, samobójstwo to w sumie luzik, ale morderstwo? – krzyczał roztrzęsiony Profesor. Tołdi sprawiał wrażenie trochę bardziej opanowanego, ale może po prostu nie wszystko do niego docierało.

– Jasne Profesor. Powiedz mi, kiedy ostatnio słyszałeś, że zamordowano studenta informatyki. Naprawdę czekam – skwitowałem ironicznie. – Uspokój się, bo na razie nie ma jakichś wielkich powodów do paniki. Według mnie mógł się pokłócić z kimś pijanym w akademiku, bo takich osób tu nie brakuje, a nie wszyscy są milutcy po alkoholu. Rozumiesz? A gdy ten ktoś, kto go uderzył, zorientował się, że go zabił, próbował upozorować samobójstwo. Zresztą Profesor... Kto by chciał cię zabić? Przecież już wspominałem, że studiujesz informatykę – powoli przeliterowałem słowo „informatyka”.

– No ale morderstwo u nas w akademiku? – Profesor naprawdę nie dawał za wygraną i zaczął się powtarzać jak programistyczna pętla „do while”.

– Profesor... – próbowałem mówić najbardziej spokojnie, jak umialem. – Nikt nas nie zamorduje. To był pewnie wypadek lub chciał zabić tylko tego Alano –

Krystiana i nikogo więcej – po wypowiedzeniu tego zdania zorientowałem się, że raczej nie jestem mistrzem w pocieszaniu.

– No właśnie. To po co ten Alan podawał się za Krystiana. Przecież to bez sensu.

– Nie mam pojęcia – rozłożyłem szeroko ręce. – Ja też czasami chciałbym podawać się za Brada Pitta albo jakąś inną gwiazdę prosto z Hollywood.

– A ten znikający telefon? Wiem, że w akademiku nie wszyscy są do końca normalni, ale żeby kraść telefony samobójcom albo zamordowanym?

– To pewnie zrobił sprawca, czyli wersja z samobójcą odpada. A w ogóle nie wydaje ci się, że jeśli ktoś kogoś zamorduje, to późniejsza kradzież telefonu nie jest jakimś specjalnie trudnym wyczynem?

Spojrzałem na Profesora, który naprawdę był przerażony. Ja już prawdopodobnie jestem na to za stary albo może przez moje prawie o dziesięć lat dłuższe życie nauczyłem się, jak odnajdywać się w takich nietypowych sytuacjach.

– Dobra chłopaki. Uspokójcie się trochę, zwłaszcza ty Profesor. To chyba czas na główne pytanie wieczoru. Jakie chcecie te piwka?

Nie wiem czy mi się tylko wydawało, ale ich twarze wyraźnie wypogodniały.

– Mi obojętnie – odparł Profesor, sprawdzając coś na swoim telefonie. Zapewne jakieś statystyki dotyczące nagłych śmierci studentów informatyki.

– Ja dzisiaj chyba ze trzy piwa kraftowe. Wybierz te z ładnymi i kolorowymi etykietkami – rzekł po chwili Tołdi, a następnie zaczął przeszukiwać swój portfel.

– Dobra, wyskakujcie z kabonki, a ja zaraz wracam z zaopatrzeniem.

Gdy mój portfel zrobił się znacznie cięższy z powodu monet o małych nominałach, mogłem wyruszyć do monopolowego. Szybkie spostrzeżenie. Tak naprawdę dopiero w akademiku docenia się wartość najgorszych drobniaków.

Na korytarzu kręciło się już trochę ludzi, lecz dzisiaj raczej nie przygotowywali się na nocną imprezkę. Informacja o samobójstwie w kuchni rozniosła się szybciej niż darmowe papierosy na juwenaliach. Zachwiało to trochę akademikowym ekosystemem, ale zapewne jutro wszystko wróci do normy. Tutaj złe informacje przeżywają maksymalnie jeden dzień, a później są dezynfekowane przez bardzo różnorodne środki. Chyba nie muszę tłumaczyć, co mam na myśli.

W niedługim czasie dotarłem do monopolowego, który był oddalony od akademika o jakieś 300 metrów. W środku znajdowało się kilka osób, a równo zastawione alkoholami półki przypominały mokry sen imprezującego studenta. Zza lady powitała mnie nowa ekspedientka, co nie było specjalnym zaskoczeniem. Tołdi coś mi kiedyś wspominał, że istnieje tutaj duża rotacja sprzedawczyń, ponieważ po dwóch miesiącach pracy są one już tak zaznajomione z kupującymi tu studentami, że same zaczynają z nimi... imprezować. A znajdźcie mi lepsze miejsce na niewinny melanz niż monopolowy.

„Nowa” okazała się bardzo miła i nasza transakcja opiewająca na dziewięć piw kraftowych z kolorowymi etykietkami przebiegła bez żadnych zakłóceń. Były znacznie droższe, niż te produkowane przez duże koncerny, ale Tołdi stwierdził, że musi pozbyć się swoich drobniaków, a czy istnieje na to przyjemniejszy sposób?

Wychodząc, uśmiechnąłem się i powiedziałem miłe „do zobaczenia”. Nigdy nie mów w monopolowym „do widzenia”, bo skłamiesz. Zwłaszcza jeśli mieszkasz w akademiku nieopodal.

Wchodząc do budynku akademika, zobaczyłem, jak na stanowisku portiera instaluje się Królik. Wyraźnie było widać, że wczorajsza noc dała mu w kość. W końcu niecodziennie ktoś na twojej zmianie strzela sobie w głowę w kuchni. Na szczęście Królik nie znał prawdziwej wersji wydarzeń, bo i tak miał już minę, jakby ktoś głaskał go po plecach rozgrzanym żelazkiem.

Pomachałem mu tylko ręką i jak najszybciej chciałem znaleźć się na schodach, kiedy za szybą portierni coś przykuło moją uwagę. To było niemal takie samo uczucie, kiedy idzie się alejką w supermarkecie i kątem oka dostrzega się promocję typu: „cztery piwa w cenie dwóch”. Według medycyny oko z takiego kąta nie ma prawa nic zauważyć, ale moje jakoś zawsze dostrzeże taką promocję. Przedmiotem, który przykuł moją uwagę był telefon, do którego przyczepiona była żółta karteczka z napisem „Krystian”. Instynktownie czułem, że ten telefon ma jakiś związek ze sprawą Krystiano–Alana.

– Ej Królik. Od kiedy jest tu ten telefon? – spytałem, wcześniej pukając w szybę, ponieważ Królik zdążył już z powrotem wpatrywać się w telewizor. Zanim mi odpowiedział, zdążył zrobić półobrót na krześle, a dla niego taki sportowy wyczyn był niemal jak potrójny Axel w łyżwiarstwie figurowym.

– Od wczoraj. Jak wchodziłem dzisiaj na zmianę, to Krysia mi powiedziała, że jakiś chłopak wszedł tu niby na chwilę, a że nie miał żadnego dokumentu, to dał w zastaw telefon i aż do teraz się po niego nie zgłosił. A co? Znasz Krystiana, który ma taki telefon?

Musiałem się szybko zastanowić, co mu odpowiedzieć. Jeśli Królikowi nic się nie pomyliło, to faktycznie istniała szansa, że był to telefon Krystiana. Mówiąc o Krysi, miał zapewne na myśli „Mądrą Krystynę”, która miała dyżur przed nim wczorajszego dnia. Ale to by znaczyło, że Krystian pojawił się w akademiku dużo wcześniej, niż mi o tym powiedział.

– Tak. To mój kumpel z grupy – zacząłem, starając się zachować jak najbardziej przekonujący głos. – Wczoraj jak mnie jeszcze nie było, to przyniósł mi notatki na kolokwium i pewnie tak jak mówiłeś, dał go w zastaw, a później go zapomniał, bo on używa dwóch telefonów. Chyba myślał, że mu go odniosę na uczelnię, ale dzisiaj zrobiłem sobie wolne.

Jak na skleconą na miejscu historyjkę, powiedziałem ją całkiem sprawnie i po krótkiej chwili zastanowienia Królik wręczył mi telefon. Chociaż tak naprawdę sprawiał wrażenie człowieka, który byłby w stanie uwierzyć, że w pięciolitrowym baniaku przemycanym do akademika jest woda mineralna.

Odchodząc, zwróciłem jeszcze uwagę na jedną rzecz. Monitoring. Obok telewizora w portierni znajdował się mały ekran, który przekazywał obraz z kamery znajdującej się praktycznie nad moją głową. Dzięki nagraniu można by się dowiedzieć, kiedy nasz Krystiano – Alan pojawił się w akademiku i czy na pewno

przyszedł tu sam. W dodatku pozwoliłoby to ostatecznie potwierdzić, czy to on zostawił tutaj ten telefon.

Bardzo możliwe, że już poprzedniej nocy Leon poprosił o to nagranie, jednak nie zaszkodziło spytać. W końcu ekran monitoringu był jakoś 5 razy mniejszy od telewizora, na którym Królik oglądał swoje seriale, więc można było to przeoczyć. Priorytety muszą się zgadzać.

– Królik, mam jeszcze jedno pytanie – powiedziałem, znowu cofając w stronę portierni. – Masz może nagranie z monitoringu z poprzedniej nocy?

– Co wy wszyscy z tym monitoringiem? – Królik wyraźnie się zdziwił. Już wczoraj jeden z tych policjantów o to pytał. Kilka miesięcy temu ktoś ukradł kartę pamięci i nic się nie nagrywa. To pewnie ta nowa, młoda portierka i od tamtej pory nie możemy doprosić się nowej karty. Kierowniczka kazała nam się składać, bo twierdzi, że to ktoś z nas, a budżet na razie nie przewiduje takich wydatków.

Zakląłem w duchu. Faktycznie kierowniczka akademika trzymała budżet twardą ręką. Chodzą nawet plotki, że kupuje spirytus od chłopaków z dziesiątego piętra, co wskazuje, że oszczędność ma we krwi. Jak i promile. Przepraszam. Tani żart.

– Dzięki Królik. Trzymaj się i nie przejmuj się zbytnio tym samobójstwem – chciałem go jakoś pocieszyć, ale jego głowa wpatrywała się już w kolejny odcinek jakiejś telenoweli.

Kiedy znalazłem się na pierwszym piętrze, czyli już poza całkowitym zasięgiem jurysdykcji Królika, wyciągnąłem z kieszeni telefon z portierni. Był to budżetowy model Huawei, który na szczęście miał jeszcze kilkanaście procent baterii. W dodatku udało mi się go odblokować, bo ekran nie był zabezpieczony ani 6-cyfrowym kodem, ani odciskiem palca. Wystarczyło przesunąć w górę ekranu, po czym pojawiła się fabryczna tapeta z kilkoma ikonami aplikacji. Przeszedłem do książki telefonicznej, a pod literą „J” moją uwagę zwrócił tylko jeden wpis. Julia.

Tym razem wyciągnąłem już swój telefon, bo musiałem zadzwonić do Leona. Niestety od razu włączyła się poczta głosowa. Po krótkim sygnale oznaczającym, że mogę się nagrać, wziąłem głęboki oddech.

– Cześć Leon, tu Mikołaj. Możliwe, że coś mam.

Rozdział 5

„Kto nie gra i nie śpiewa, ten nie pije szampana”

Gdy wszedłem do pokoju Profesor i Tołdi leżeli na swoich łóżkach, a ich jedynym zajęciem było chyba tylko trawienie pizzy. Profesor jednak niemal natychmiast dostrzegł telefon z portierni, który położyłem na stole.

– Co to za telefon? – spytał, prostując się na łóżku, co w aktualnym stadium trawienia było zapewne równoznaczne ze zrobieniem stu brzuszków.

Kiedy opowiedziałem w jaki sposób stałem się posiadaczem tego telefonu, obaj zdążyli wypić po połowie kraftowego piwa, a następnie wpatrywali się we mnie, obrywając z tych samych butelek jedynie kolorowe etykiety.

Co ty jesteś jakąś starą wróżbiarką, że tak wszystko widzisz? – krzyknął nagle Profesor. – Jeśli to nie jego telefon, to ktoś może oskarżyć cię o kradzież. A mało już mamy kłopotów Miki?

– Mam takie dziwne przeczucie, że to jego telefon – opowiedziałem, odrzucając wszystkie możliwe wątpliwości. Podobno tak samo robią wszystkie panny młode przed ołtarzem, zanim wypowiedzą sakramentalne „tak”. Przyszli panowie młodzi nie mają żadnych wątpliwości, bo są zbyt zaaferowani tym, jak zniszczyć wszystkie zdjęcia powstałe podczas wieczoru kawalerskiego.

– Przeczucie – warknął Profesor – I to niby ma ci pomóc w odnalezieniu tego mordercy?

Wzruszyłem ramionami.

– Musimy to wszystko jakoś poukładać – odparłem i ze zrezygnowaniem usiadłem na łóżku.

Sytuacja komplikowała się coraz bardziej z godziny na godzinę. Samobójstwo, które okazało się później morderstwem, w dodatku nie wiadomo czy zaplanowanym czy spontanicznym. Spontaniczne morderstwo? Chyba trochę dziwnie to zabrzmiało. Najgorsze było jednak to, że w tej sprawie jak na razie nie było żadnego punktu zaczepienia.

Popatrzyłem na wzięty z portierni telefon, który jak na razie dawał więcej znaków zapytania, niż racjonalnych odpowiedzi. Nawet nie wiedziałem, czy faktycznie należał do Alana, a nawet jeśli, to moja rozwalona układanka rozwalała się jeszcze bardziej. Jedynym dowodem był kontakt do Julii w książce telefonicznej, czyli nie był to jakikolwiek dowód. Zdążyłem też przejrzeć skrzynkę odbiorczą i historię połączeń, które okazały się puste, jakby ktoś kasował wszystko na bieżąco. W sumie niektórzy tak robią, jeśli mają trochę zbyt zazdrosnych dziewczynę lub chłopaka. Ale z drugiej strony dlaczego Krystiano – Alan miałby mieć dwa telefony?

Przez chwilę pomyślałem, że może zadzwoniłbym do tej Julii, lecz nawet nie wiedziałem, jakbym miał zacząć rozmowę: „Hey. Znalazłem zwłoki twojego

chłopaka – samobójcy, a teraz tak sobie dzwonię pogadać, bo znalazłem taki telefon z „Julią” w kontaktach i pomyślałem, że to właśnie ty jesteś tą jego byłą dziewczyną” Bezsens.

Bez wątpienia potrzebowalem jakiegoś swiężego spojrzenia na tę sprawę, kogoś kto by mi powiedział, czy idę w dobrą stronę. Najlepiej byłoby się spytać o to byłą dziewczynę, bo podobno była dziewczyna zawsze powie ci prawdę. Szkoda tylko, że moja nie chce ze mną gadać.

– Tołdi, znalazłbyś mi jakąś foliową reklamówkę, bo muszę w coś włożyć ten telefon – powiedziałem, kładąc telefon na stole i uważając, żeby nie dotykać zbytnio ekranu.

Tołdi uniósł wysoko brwi, ale od razu mu wytłumaczyłem, dlaczego potrzebuję tej reklamówki.

– Pomyśl... – zacząłem. – Na tym telefonie robi się wszystko, dotykając ekranu. Jeśli to telefon Alana, to będą na nim jego odciski palców. Wcześniej, gdy przeglądałem ten telefon, używałem do tego celu bardziej paznokcia niż opuszki palca, żeby odciski na wyświetlaczu nie zostały zastąpione moimi.

– Lepsze odciski na wyświetlaczu, niż na broni z której kogoś zabito – zaśmiał się Tołdi, ale już po chwili podszedł do mnie, podając mi starą, jednorazową reklamówkę z logiem pobliskiego supermarketu. Jej wygląd wyraźnie zaprzeczał byciu jednorazową, ale naprawdę nie było teraz czasu na wybrzydanie. W dodatku jak coś, co rozkłada się 500 lat, ma być niby jednorazowe?

– Wasz profesjonalizm jest porażający – westchnął Profesor, jednocześnie włączając swojego laptopa i nakładając duże słuchawki, które zapewne miały za zadanie, odciąć go od rzeczywistości. Długa sesja programowania powinna pomóc mu otrząsnąć się ze zdarzeń z ostatnich 24 godzin. Jednak zanim wsiąkł do świata zmiennych, pętli i funkcji, trochę ponarzekał pod nosem na moje, jak to ujął boskie przeczucie i poradził, żebym następnym razem lepiej przyniósł do pokoju mikrofalówkę, bo nasza zaczyna się psuć. I może faktycznie miał trochę racji.

– Dobra Profesor – powiedział Tołdi – Zanim zaczniesz kodzić, rzuć mi jeszcze drugiego browara. Mikiemu też, bo on jeszcze żadnego nie ruszył.

Profesor tylko westchnął ze zrezygnowaniem, ale wiedział, że nie może się zbytnio kłócić, bo jego łóżko i biurko znajdowały się najbliżej lodówki. Otworzył ją szybkim ruchem, po czym rzucił dwie butelki w stronę Tołdiego, który złapał je z taką gracją, jakby był gwiazdą amerykańskiej drużyny bejsbolowej. Patrząc na jego bezbłędny chwyt, można było stwierdzić, że naprawdę „czuł piłkę”.

Gdy wziąłem pierwszy łyk, miałem nadzieję, że pozwoli mi się to trochę skupić, lecz zimne piwo pomaga w skupieniu zupełnie jak bilet na najlepszą imprezę w mieście włożony w pracę domową z matematyki. Z tego powodu moje myśli były jeszcze bardziej chaotyczne, dlatego aby całkowicie nie utracić trzeźwego myślenia, obiecałem sobie, że jest to dzisiaj moje pierwsze i ostatnie piwo. Chciałbym zaznaczyć, że w akademiku chyba nie istnieje trudniejsza obietnica, chociaż „obiecuję, że zaczynam się uczyć” też nie należy do najłatwiejszych.

Nagle drzwi otworzyły się z niesamowitą prędkością, a po chwili z jeszcze większą prędkością do pokoju wbiegła Ola, wymachując rękoma we wszystkich możliwych kierunkach. Była ona studentką trzeciego roku architektury, czyli znajdowała się na tym samym roku co Tołdi. Oprócz tego że plasowała się w topowej trójce najzdolniejszych osób na całym roku, wyróżniała ją jeszcze jedna wrodzona cecha, a mianowicie uroda. Jeśli zmrużyło się oczy i spojrzało pod odpowiednim kątem, wyglądała niemal jak jedna z gwiazd włoskiego kina. Tak, wiem. Trzeba było mocno zmrużyć te oczy i patrzeć pod naprawdę odpowiednim kątem, ale nadal znajdowaliśmy się w pierwszej lidze.

Wygląd Oli dostarczał jej naprawdę wielu adoratorów, ale wszyscy w akademiku wiedzieli, że Oli tak naprawdę podoba się tylko Tołdi. Wiem, że zabrzmiałoby to trochę jak z taniego romansu, ale podobno Tołdiemu podobała się tylko Ola i w dodatku oboje sprawiali wrażenie, jakby tylko oni o tym nie wiedzieli. Szkoda. Gdyby byli parą, wyglądałoby to tak, jakby „chłopak z opakowania płatków śniadaniowych” poznał „dziewczynę z opakowania płatków śniadaniowych”. Chociaż Ola byłaby raczej z opakowania w wersji dla dorosłych. Kurde. Sam bym to kupował. A swojemu dziecku dawał to słodziutkie opakowania z Tołdim.

– Miki! – krzyknęła Ola, wyrывая mnie z zamyślenia. – Nic ci nie jest? Cały akademik mówi o tobie. Podobno znalazłeś samobójcę w kuchni i pojechałeś później na komendę.

– Zawsze chciałem być sławny – odparłem z szerokim uśmiechem.

– Proszę nie zgrywaj się. Na pewno wszystko w porządku?

– Jeszcze nie musisz projektować mi trumny. Ale jeśli kiedyś będziesz, to pamiętaj. Różowa w czarne serduszka – odpowiedziałem, wciąż podtrzymując uśmiech. Ola go odwzajemniła, a następnie przytuliła mnie, używając do tego chyba całej swojej siły, bo momentalnie przypomniałem sobie, że mój kręgosłup ma już skończone trzydzieści lat.

– Jak to się wszystko dokładnie stało Miki? – spytała Ola, rozluźniając już swój uścisk miłości dla trzydziestoletnich seniorów. Nie miałem ochoty po raz kolejny opowiadać tej historii, lecz jak to mówią – dziekanowi i ładnej dziewczynie się nie odmawia, więc tylko dopiłem do końca swoje piwo i zacząłem opowieść o samobójcy z kuchni, usuwając z niej niektóre fragmenty, które wskazywały na morderstwo. Czułem się trochę, jakbym zdawał swojej mamie relację z imprezy, wycinając co najpikantniejsze szczegóły. Gdy skończyłem, Ola w ogóle nie przypominała osoby sprzed kilku minut, kiedy wbiegła do pokoju ze swoim potrójnym ADHD, lecz stała w całkowitym bezruchu, patrząc na mnie aż za bardzo otwartymi oczami. Musiałem pstryknąć kilka razy palcami, żeby się ocknęła.

– Miki... To on się zabił przez dziewczynę, bo zerwała z nim przez esemesa? – zapytała ścisłym głosem.

– A co? Podliczyłeś teraz ilu facetom wysłałeś podobnego esemesa? – roześmiałem się.

– Tak wielkich liczb nie dodasz w pamięci – wtrącił się Tołdi, który podkreślił swoje zdanie głośnym chrząknięciem, jakby chciał zakomunikować, że też znajduje się w pokoju. „Wielki zakochany” wkracza do akcji. Witamy z fanfarami.

– O cześć Tołdi. Przepraszam. Nie zauważyłam cię – odpowiedziała Ola niewinnie się uśmiechając. Ach, ten nieodżałowany „podryw na obojętność”.

– O cześć Profesor – dodała po dłuższej chwili wpatrywania się w Tołdiego. W tym przypadku początkowa obojętność była jednak szczerze nieudawana.

– Ola, rozumiem, że dzisiaj nie jest twój najlepszy dzień spostrzegawczości, ale ten pokój naprawdę nie ma stu metrów kwadratowych – rzekł Tołdi. – Ale dzisiaj ci jeszcze wybaczę. Poczuj moje litościwe serce – dodał po kilku sekundach. Dobra Tołdi. Ja tobie też wybaczę ten podryw na kretyna. Poczuj moje mroczne, trzydziestoletnie serce.

– Zapamiętam – odpowiedziała z uśmiechem Ola. – A w ogóle słyszeliście, że wszyscy chodzą do kuchni niżej?

– A myślałaś, że do naszej kuchni będą jakieś ogromne pielgrzymki? – powiedziałem, podłączając swój telefon do ładowarki. Została mi tylko jedna kreska baterii, a naprawdę nie chciałem przegapić telefonu od Leona. Następnie otworzyłem lodówkę, żeby wyjąć kolejne piwo. Czy wspominałem już coś o trudnych obietnicach?

– No to już zawsze będziemy chodzić piętro niżej? – Ola wyglądała na rozczerowaną.

– Nie musisz się zbytnio martwić – roześmiałem się – Jutro, a najpóźniej pojutrze wszystko wróci do normy i pewnie zorganizują tam pożegnalną imprezę ze świeczkami i tanim winem. Jedyne czego na pewno nie będę tam robić, to frytki.

– Całkowicie się zgadzam – rzekł Tołdi. – Chociaż ja po prostu przerzucę się na innego producenta, bo w przypadku mrożonych potraw inny producent to już całkowicie inne danie.

Ola głośno się roześmiała, odsłaniając przy tym swoje piękne zęby. Gdybym był jedną z pseudo szalonych trzynastolatek zakładających w internecie fankluby wszelkich możliwych rzeczy, założyłbym fanklub jej zębów. Bez wątpienia jej uśmiech zawsze mnie motywował, aby powiedzieć coś śmiesznego.

– Aaaaaa... Dobrze, że sobie przypomniałam – krzyknęła nagle Ola. Samorząd studencki ogłosił dzisiaj konkurs. Trzeba nagrać utwór w dowolnym stylu muzycznym i pomyślałam, że może was to zainteresuje, bo ty Miki przecież grasz na gitarze, Tołdi coś tam śpiewa, a Profesor z tego co kojarzę, bawi się elektroniką i tymi wszystkimi programami, z których ja nic nie rozumiem, więc może zrobilibyście jakiś numer. Ale teraz słuchajcie najważniejszego. Główną nagrodą jest występ przed główną gwiazdą wieczoru podczas „bitwy akademików” na juwenaliach. Podobno przewidziane są też cztery skrzynki piwa, ale to akurat nieoficjalna nagroda.

Tołdi nagle zeskoczył z łóżka i zaczął klaskać w dłonie, zupełnie jakby się okazało, że na studiach dwója też zalicza.

– Ha! Wiedziałem, że Drzazga wymyśli jakieś sensowne nagrody, za to, że załatwiłem z tymi dziobakami z samorządu, żeby to on został przewodniczącym.

Z tego co się orientowałem, to Drzazga był teraz chyba na ostatnim roku architektury i podobno jego największym marzeniem było zostać właśnie przewodniczącym samorządu studenckiego. Naprawdę nie wiem, skąd to się u niego wzięło. Może jak był mały, naoglądał się za dużo transmisji z obrad sejmu? Naprawdę nie wiem. Ale jak to mówią – każdy ma swoje fetysze.

Drzazga posiadał za to jeden dosyć cenny talent. Był geniuszem we wszystkie gry karciane. Z pokerem Texas Hold'em na czele. W poprzednim roku Tołdi stoczył z Drzazgą największą bitwę pokerową w historii akademika. Kiedy już się wydawało, że pokonał Drzazgę, ten wyjechał mu z takim układem kart, że biedny Tołdi nie znał takich przekleństw, które opisywałyby tę sytuację, a dodatkowo przegrał 5 litrów i bynajmniej nie chodziło tu o 5 litrów mineralnej gazowanej. Dla podpowiedzi dodam, że chodziło o coś w bardzo podobnym kolorze.

Lecz kiedy Tołdi dowiedział się o marzeniu Drzazgi, postanowił je urzeczywistnić za jedyne 5 litrów, czyli ich ogólny litrowy bilans wyszedł na zero. Naprawdę nie chcę wiedzieć, jak Tołdi załatwił mu tę posadę, bo ówczesną przewodniczącą samorządu była Andzelika, której zdjęcie mogłoby posłużyć za plakat widzmy z filmu „Blair Witch Project”, a gdy się z nią rozmawiało, w odbiciu jej okularów z czterocentymetrowymi szklami układało się możliwie jak najszybszą drogę ucieczki.

– To jest coś takiego jak „bitwa akademików”? – spytałem z lekkim niedowierzaniem.

– No jest, jest – odpowiedział mi szybko Tołdi. – Każdy wraca po tej bitwie do pokoju, ale rzadko o własnych siłach. Tak powinna wyglądać każda wojna.

– To napiszecie jakiś utwór?

Wzrok Oli nie pozwalał nam odmówić, więc po krótkiej wymianie spojrzeń z Profesorem i Tołdim chóralnie krzyknęliśmy:

– Ogarniemy!

Spojrzałem na swoją gitarę elektryczną, która leżała za łóżkiem. Był to białe – czarny Gibson SG, którego kupiłem jakieś dziewięć lat temu, już wtedy marząc o wielkiej karierze gwiazdy rocka. Kiedy ma się dwadzieścia jeden lat, wierzy się w takie głupie pomysły, lecz życie brutalnie je weryfikuje, chociaż w moim przypadku weryfikacja jeszcze nie nadeszła. Lub co bardziej prawdopodobne, patrzyłem na nią z zamkniętymi oczami.

Ogólnie gitarzyści od zawsze dzielą się na dwie podstawowe grupy: gwiazdy rocka i lustrzani imitatorzy gwiazd rocka. Co jak co, ale żeby dobrze wyglądać z gitarą przed lustrem, też trzeba się trochę natrudzić. Dobrze, że w domu miałem naprawdę duże lustro, naprzeciwnie którego dałem jedno z najlepszych lustrzanych koncertów w historii rocka. Niestety stadiony z lustrami jedynie w garderobach wciąż czekają.

– Ok. Mam parę riffów, to może uda nam się zrobić jakiś utwór – powiedziałem, nie spuszczaając wzroku z Gibsona.

– Połączymy rap, pop i death metal – Profesor w końcu powiedział coś z radosną miną. – Będziemy mieszać style, tak jak mieszają się zaliczenia i niezaliczenia w indeksie Mikięgo.

– Bardzo śmieszne – odburknąłem – Sesja jeszcze przede mną.

– Oceny z kolokwiiów już pokazują pewną tendencję – dodał Tołdi, a ja tylko mogłem pokręcić głową i wzruszyć ramionami.

– To ja wam moi kochani muzycy nie przeszkadzam, bo jutro to ja mam pierwsze kolokwium w tym sezonie i naprawdę nie chcę oddać czystej kartki – powiedziała Ola, powoli kierując się w stronę drzwi.

– Oj nie przesadzaj. Miki miał już dzisiaj kolokwium i naprawdę fenomenalnie mu poszło – Tołdi naprawdę przesadził z powolnym literowaniem słowa „fenomenalnie”.

– Naprawdę muszę iść. Buziaki chłopcy – rzekła Ola, zamykając za sobą drzwi, więc nawet nie zdążyliśmy nic odpowiedzieć. Jedna z moich życiowych prawd. Gdy dziewczyna mówi ci „buziaki”, to znaczy, że w ogóle nie ma ich na myśli. O buziakach się nie mówi, buziaki się daje. Jednak teraz było to mało ważne, bo mieliśmy nasz wielki przebój do zrobienia, a adresatem buziaków i tak zapewne był jedynie Tołdi.

Wziąłem do ręki Gibsona i zacząłem grać skomponowane przez siebie rify, które na razie były całkowicie nieuporządkowane.

– Dobra Miki, weź się podłącz do gitarporta, a nie grasz na sucho – powiedział Profesor, włączając program do nagrywania muzyki. Używał ich do tworzenia swoich amatorskich utworów w gatunku elektronicznym, co było trochę odległe od rocka, ale niestety w akademiku nie panowała klęska urodzaju w zakresie producentów muzycznych.

Wyjąłem gitarporta z mocno sfatygowanego opakowania i wpiąłem do niego gitarę. Był to cyfrowy symulator wzmacniaczy gitarowych. Podłącza się do tego z jednej strony gitarę zwykłym przewodem zakończonym obustronnie tak zwanym džekiem, a następnie z samego gitarporta przyłączamy się do komputera przez taki sam przewód z dodaną przejściówką. Po odpowiedniej konfiguracji można już rejestrować swoje pomysły, mając do dyspozycji najrozmaitsze efekty, od mocnego przesteru, aż po delay i flanger. Oczywiście im większe głośniki tym lepiej.

Po tym jak uporałem się z tym wszystkim i ustawiłem moc przesteru na 7/10, od razu poczułem, że gitara elektryczna została stworzona po to, żeby podłączać ją do wzmacniacza. Nawet jeśli miał to być tylko cyfrowy symulator.

– Dobra, to w jakim klimacie ma być ten numer? – zapytałem, strojąc gitarę.

– Nieważne w jakim. Byle tylko dziewczyny chciały mnie całować, kiedy go zaśpiewam. To mój jedyny wymóg, reszta się nie liczy – odpowiedział Tołdi z typową dla siebie szczerością.

– Nie ma być smętny – dodał po chwili Profesor.

– Właśnie – przytaknął Tołdi. – Dziewczyny mają być smutne dopiero wtedy, kiedy będę je rano opuszczał.

– Idealnie mi to nakreśliliście – odparłem, głośno się śmiejąc, a następnie zacząłem grać trochę szarpany riff, który wydawał mi się całkiem dobrym wstępem do naszego utworu.

– To jest spoko – krzyknęli jednocześnie Profesor i Tołdi.

– Dobra. Nagrajmy to teraz, a później zajmiemy się refrenem – rzekł Profesor, ustawiając w programie kilka opcji. – Jakie chcesz tempo metronomu do tego?

– 150 beats per minute – odpowiedziałem, wypowiadając angielskie słowa ze wschodnioeuropejskim akcentem.

– Mówisz, masz, a powiedział ci to twój osobisty Rick Rubin.

Nagrać wszystko w miarę czysto udało mi się nagrać dopiero za piątym razem, chociaż po kilku sekundach Profesor nałożył na to taki efekt, że równie dobrze pierwsze zawałone podejście brzmiałoby tak samo.

– Dobra. Teraz zagraj ten sam riff, tylko trochę go przedłużaj, a później dogramy drugą gitarę, tyle że na wysokich dźwiękach i będziemy mieli naprawdę melodyjny refren – po usłyszeniu tych słów lekko się uśmiechnąłem. Tak właśnie wygląda profesjonalizm amatorskich kapel rockowych. Zamiast powiedzenia, aby dany dźwięk zagrać półnutą, a nie na przykład ćwierćnutą, stosuje się niezastąpione „przedłużaj”. Jednak Profesor nie pomylił się w przypadku wagi melodyjnego refrenu. Pierwsza zasada rocka, lub ogólnie muzyki. Refren = melodia = (dziewczyny – ich chłopaki) + ty. W takich momentach kocham matematykę.

Refren wyszedł naprawdę fajnie, co potwierdziły świecące się oczy Tołdiego, który cały czas nucił sobie pod nosem pomysły linii melodycznej wokalu. Zwrotkę zrobiliśmy w jakieś pół godziny, kiedy trochę przerobiłem 2 riffy z ballady, którą napisałem 3 lata temu dla mojej byłej dziewczyny, więc jak widać, piosenki pisane dla byłych dziewczyn czasami się przydają, bo były dziewczyny już niekoniecznie. Na samym końcu napisałem riff, który Tołdi nazwał „dzieci z przedszkola i rytmika”, więc nie przetrwał on swojej kilkuminutowej próby czasu.

– Perkusję mogę zsampłować, ale przydałaby się tutaj jeszcze jakaś gitara basowa – westchnął Profesor.

– No jak widzisz, oprócz prawie pustej lodówki dodatkowo mamy w pokoju pół sklepu muzycznego – odpowiedziałem ironicznie, rozkładając szeroko ręce, zupełnie jakbym chciał pokazać ogrom czegoś, czego nie ma.

– Nie martw się Miki – roześmiał się Tołdi. – Może z twoją gitarą nie zawojujemy świata, ale z moim wokalem historia rocka nigdy nie będzie już taka sama.

– Czuję, że będzie całkiem podobna.

Tołdi uśmiechnął się, unosząc jedną brew.

– Dobra, może trochę przesadziłem z tym Rock and Roll Hall of Fame, ale myślę, że z tematem basu będę w stanie pomóc.

– Tak? W jaki sposób? – Profesor wyraźnie się ożywił i oderwał wzrok od monitora. Zapewnie aktualnie próbował znaleźć idealnie brzmienie werbla i stopy.

– Dajcie mi kilka minut – rzekł z dużą pewnością w głosie Tołdi, a po chwili znalazł się już za drzwiami.

Profesor wrócił do układania perkusji, a ja z powrotem wziąłem do ręki gitarę i zacząłem grać jakieś przypadkowe riffy znanych zespołów, co pozwoliło mi chociaż na chwilę zapomnieć o wydarzeniach, które zaczęły się około 24 godziny temu. Moja komórka wciąż milczała, więc Leon prawdopodobnie nadal miał wyłączony telefon. Zupełnie jak większość dzieciaków po wywiadówce lub na wycieczce szkolnej.

Spojrzałem na Profesora, który z wielkimi słuchawkami na uszach sprawiał wrażenie bycia w swoim własnym świecie, co było bardzo przydatną umiejętnością podczas mieszkania w akademiku. Dzięki temu po dwóch miesiącach przebywania razem, jak na razie obyło się bez strat w ludziach, a trzeba zaznaczyć, że trzech facetów mieszkających na kilkunastu metrach kwadratowych ze wspólną łazienką na korytarzu zahacza o tematykę filmów z cyklu survival horror.

W momencie gdy zaczęły mnie boleć opuszki palców od zbyt intensywnego grania rockowych patentów, drzwi szybko się otworzyły, po czym do pokoju wmaszerował Tołdi, trzymając w jednej ręce czarną gitarę basową, a w drugiej połowę szampana, którego etykieta wskazywała na popularny w akademiku przedział cenowy – tani, ale odważnie aspirujący do średniej półki.

– Widzę, że ktoś bardzo przyspieszył twoje tegoroczne Boże Narodzenie – rzekłem, wciąż wpatrując się na zmianę w bas i szampana. Niemal natychmiast dodałem w myślach, że Sylwester także uległ lekkiej zmianie terminu.

– Znam ten akademik lepiej, niż własny dom – roześmiał się Tołdi, delikatnie kładąc bas na moim łóżku. – Jeśli ktoś ma tutaj rzecz, która może mi się przydać, uwierz mi Miki, będę o tym wiedzieć.

– Bas to rozumiem, ale po co ci w połowie wypity szampan? – Profesor niemal podniósł ręce do góry w geście niezrozumienia.

– Szczęśliwy przypadek. Ktoś go zostawił przy drzwiach do pryszniców. Sami wiecie, co tam się czasami dzieje.

Wolałem nie wiedzieć. W końcu mam nadciśnienie, dlatego tylko przecząco pokręciłem głową.

– A ten bas? Wątpię, żeby leżał obok kurka do ciepłej wody – spytałem, a następnie wziąłem go do ręki. Niemal natychmiast zacząłem żałować, że zadałem to pytanie, bo Tołdi mógł za jego pożyczenie, obiecać coś, co nie do końca musiało się nam spodobać.

– Załatwiłem go od Drzazgi – rzekł Tołdi, siadając na łóżku Profesora.

– Od Drzazgi? – Profesor niemal się zakrztusił, mimo że aktualnie nic nie przętykał, ale miało się to już za chwilę zmienić, bo Tołdi właśnie rozlewał pozostałą zawartość szampana do szklanek stojących na biurku. – Czyli mam rozumieć, że Drzazga oprócz bycia przewodniczącym samorządu, po nocach gra na basie w jakiejś kapeli?

– Tak, właśnie tak jest. Też ciągle się zastanawiam, gdzie my popełniliśmy błąd – roześmiał się Tołdi, a następnie niemal duszkiem wypił swoją szklankę wypełnioną znalezionym szampanem.

Wzruszyłem tylko ramionami i mimo że nie jestem jakimś specjalnie utalentowanym basistą, lata gry na zwykłej, sześciostunowej gitarze nie poszły całkowicie na marne. Umiałem opanować również bas na poziomie średnio – zaawansowanym.

Nawet bez podłączania go do jakiegokolwiek wzmacniacza, brzmienie tego instrumentu było niesamowite i w ogóle się nie dziwię, czemu kobiety tak bardzo je lubią, bo nawet ja miałem ciarki na plecach po kilku zagranych dźwiękach. Kiedy jeszcze Profesor podłączył wszystko do gitarporta i ustawił głośność bliską maksymalnej, naprawdę zstąpił na mnie duch rock & rolla, a żeby go podwyższyć i utrzymać, Toldi dołał do szklanek piwo pochodzące z czteropaka przygotowanego na czarną godzinę. Chyba już coś wspominałem o jego czteropakach schowanych za łóżkiem.

Całą linię basową udało mi się zarejestrować za piątym razem, co i tak było dość dużym sukcesem, patrząc na to, że od grubych, basowych strun moje opuszki palców wyglądały tak, jakbym przez godzinę głaskał psa ubranego w czapkę z papieru ściernego. Ciekawe ile psów marzy o takim gadzecie.

Profesor w miarę szybko zmiksował wszystkie ścieżki i roboczy plik w formacie mp3 wysłał Toldiemu, który po kilku minutach z założonymi słuchawkami starał się ułożyć linię melodyczną wokalu. Jego pseudo – śpiewanie przerwał odgłos mojego telefonu.

– Cześć Mikołaj, tu Leon. Właśnie odsłuchałem twoją wiadomość. Mam nadzieję, że masz coś przydatnego, bo ja też dowiedziałem się paru rzeczy.

– No cześć – odpowiedziałem trochę poddenerwowanym głosem. – To jakoś jutro możemy się spotkać? – wołałem opowiedzieć wszystko na żywo, bo wiedziałem, że zapowiada się naprawdę długa rozmowa.

– Chyba żartujesz. Aktualnie jestem obok lotniska, więc za jakieś 10 minut jestem u ciebie – rzekł Leon tonem nieznoszącym sprzeciwu. Zupełnie jak moja mama podczas domowych porządków.

– Wiem, że jest już po północy i nie ma już korków, ale jakim cudem będziesz tu w dziesięć minut?

– Chyba nie poznałeś jeszcze magii niebieskiego światełka.

– To jest jakaś sztuczka na trzeciej randce?

Leon głośno się zaśmiał, po czym wcisnął czerwoną słuchawkę, a ja spojrzałem na zegarek i zacząłem odliczanie.

Rozdział 6

„Noc w akademiku jest dużo ciekawsza, więc zapomnij o Carpe Diem. Carpe Nox jest znacznie lepsze”

Magia niebieskiego światełka musiała być naprawdę ogromna, skoro Leon zjawił się 2 minuty wcześniej, niż zapowiadał. Wszedł do pokoju zamasyżując otwierając drzwi, całkowicie omijając część zwaną pukaniem. Naprawdę niezła pokazówka. Coś w stylu złego policjanta.

Profesor i Tołdi nie byli specjalnie zachwyceni faktem, że nasz pokój odwiedza stróż prawa i zachowywali się podobnie jak grupa piętnastolatków nakrytych przez szkolną pedagog na paleniu w toalecie swoich pierwszych papierosów. Nawet gdyby wmawiała im, że jest ich najlepszym przyjacielem i zachowa tę informację dla siebie, nigdy by jej nie zaufali. Po prostu.

Leon był ubrany w grubą, flanelową koszulę w kratę, a na to miał zarzuconą czarną skórzaną kurtkę. Jego kilkunastocentymetrowy zarost zdążył się już dorobić jednego dnia więcej, zmniejszając tym samym dystans dzielący go od tygodniowego. Aktualnie nikt raczej by nie podejrzewał, że jest on policjantem, co pewnie niejednokrotnie było jego atutem.

– Cześć wszystkim – powiedział, rozglądając się po pokoju, lecz z powodu dość ograniczonej przestrzeni, nie zajęło mu to zbyt długo. Jak nietrudno zgadnąć, Leon nie wyglądał na specjalnie zadowolonego z obecności Tołdiego i Profesora. Zdążył się już pewnie zorientować, że poranne wydarzenia z komendy zostały im dokładnie przeze mnie zrelacjonowane i akademikową wtykę o pseudonimie Miki należało teraz pomnożyć razy trzy.

– Dobra Mikołaj, jako że nie musimy się zbytnio ukrywać z twoim zadaniem, to od razu pokazuj, co masz.

Wiedziałem, że nie mam teraz czasu na żadne głupie uwagi, więc szybko sięgnąłem po reklamówkę leżącą na biurku i podałem ją Leonowi. Wykazał się on jednak większym profesjonalizmem niż ja, ponieważ zanim wyjął telefon, założył gumowe rękawiczki, które trzymał w tylnej kieszeni spodni. Mam nadzieję, że jeśli ja też będę musiał nosić takie rzeczy w tym samym miejscu, to nikt się o tym nie dowie, bo mogłoby to wzbudzić bardzo niesprzyjające skojarzenia.

– Co to za telefon? W dodatku właśnie się rozładował. Z tego co pamiętam, mówiłeś, że Alan miał jakiś inny model.

Kolejny raz musiałem opowiedzieć tę samą historię, co kilka godzin wcześniej. Leon przysłuchiwał się tej opowieści z dużym niedowierzaniem na twarzy, ale na szczęście w odróżnieniu od Profesora i Tołdiego powstrzymał się od epitetów.

Kiedy skończyłem, poobracał telefon jeszcze chwilę w dłoniach, jakby w jakiś nikomu nieznany sposób miało mu to pomóc w zidentyfikowaniu właściciela.

– To według ciebie studenci mają teraz po dwa telefony, każdy następny lepszy od poprzedniego?

– Nie wiem. Właśnie ci powiedziałem, jak go znalazłem, a sam przecież kazałeś mi zwracać uwagę na podejrzaną rzecz.

Leon głośno westchnął, a ja tylko wzruszyłem ramionami. Co miałem powiedzieć? Też nie umiałem tego racjonalnie wytłumaczyć. Zaryzykowałem z tym telefonem i mogłem teraz tylko czekać na rozwój wydarzeń. A czy przypadkiem nie każdy mężczyzna oświadczający się kobiecie nie jest w podobnej sytuacji? Też nie może przecież racjonalnie wytłumaczyć, czemu to robi. Bo ją kocha? Przecież to najbardziej wyświechtany frazes ostatnich kilku stuleci. A może dlatego, że mu się podoba? Bo będzie ładnie wyglądać na zdjęciach rodzinnych? Bo już nadszedł ten czas? Ale kobieta wcale nie ma łatwiej przy oświadczynach. Może jedynie użyć dwóch odpowiedzi, a mianowicie odpowiedzi A – „tak” i odpowiedzi B – „nie”. A gdzie jest jakaś odpowiedź C? Przecież przy pytaniu, które będzie miało wpływ na resztę życia, powinna być cholerna odpowiedź „C”, a nawet cały alfabet odpowiedzi. Także miłość i śledztwo kryminalne obejmuje tak wiele przeciwstawnych czynników, że można tutaj postępować jedynie na wyczucie.

Prawdopodobnie Leon nie lubił pracy „na wyczucie”, ale mimo tych nieskrywanych wątpliwości schował telefon do wewnętrznej kieszeni kurtki, wcześniej umieszczając go w plastikowym woreczku, co było znacznie bardziej profesjonalne niż moja wymięta reklamówka.

– Dobra Mikołaj. Wezmę ten telefon ze sobą i porównam odciski, więc zakończmy twoją zabawę w studencką wróżkę. Jeśli się okaże, że przypadkowo masz rację, to wycisnę z tego telefonu, ile się da. Galeria, kontakty, bilingi. Co wie ten telefon, ja też się dowiem.

– Dzięki – powiedziałem, lekko się przy tym uśmiechając. – A co robiłeś na lotnisku? Jakiś trop dotyczący Alana?

– Nie. Całkiem inna sprawa. Gdyby każdy funkcjonariusz miał prowadzić tylko jedno śledztwo, to musiałoby być przynajmniej dziesięć razy więcej policjantów.

– Boże uchojaj – wtrącił niemal natychmiast Tołdi.

Mimo że powiedział to dość cicho, było to jednak na tyle głośno, aby każdy z pokoju zdołał go usłyszeć.

Leon w ogóle nie przejął się tą uwagą, a może i nawet trochę się uśmiechnął. Pewnie przez kilka lat swojej pracy słyszał już takie określenia własnej osoby, że stwierdzenie Tołdiego można było by uznać nawet za skromny komplement.

– Dobra – tym razem ja się wtrąciłem. – Ja powiedziałem ci wszystko, co wiem, to może teraz ty dorzucisz mi trochę brakujących puzzli.

Leon zrobił minę niczym moja mama dyktująca mi świąteczną listę zakupów, co zawsze wymagało u niej niezwykłego skupienia. Nie można było przecież o niczym zapomnieć, jakby liczba wyjść do supermarketu podczas świąt była przez coś ograniczona. Oczywiście wszystko stało się jasne, odkąd sam zacząłem odpowiadać za organizację świąt. Każde wyjście do sklepu pachniało horrorem, wkurzonymi ludźmi i promocjami na alkohol.

– Dowiedziałem się paru rzeczy o życiorysie Alana, ale jeśli nie złapiemy jakiegoś nowego tropu, to równie dobrze moglibyśmy się bawić w przewidywanie zakończenia jakiegoś filmu, zanim zaczęlibyśmy go oglądać.

– Powiadomiłeś jego rodziców?

– I właśnie tutaj jest pierwszy problem. Oboje nie żyją od ponad 20 lat.

– Czy to jest jakaś rodzinka dinozaurów, gdzie każdy spotyka swój meteoryt stanowczo za wcześnie? – powiedziałem z wyraźną rezygnacją.

– Nie wiem Mikołaj, ale poczekaj na resztę.

Skinąłem głową, co spowodowało, że nawet Tołdi i Profesor przysunęli się bliżej, co było o tyle dziwne, że jeszcze przed chwilą traktowali Leona jak powietrze, jakby od tego zależała ich podwórkowa reputacja.

Leon wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki mały czarny notes, który otworzył na ostatniej stronie. Zupełnie jak moje licealne zeszyty, które też miały najciekawsze rzeczy dokładnie w tym samym miejscu.

– Ten nasz tajemniczy Alan Świdorski. Lat 23 – zaczął Leon. – Brak jakiegokolwiek rodzeństwa, a kiedy miał 3 lata, jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Alanem zajęła się babcia od strony matki, lecz zmarła na serce jakieś pół roku później. Pewnie źle zniosła śmierć córki i nieoczekiwany replay macierzyństwa. Limit babci i dziadków chyba już się wtedy wyczerpał, bo Alan trafił do domu dziecka. Nie znalazłem żadnych wzmianek o jego edukacji, aż do okresu studiów. Studiował dziennikarstwo, ale po mojej jutrzejszej rozmowie z dziekanem wydziału zapewne skreślił go z listy studentów.

– Twój czarny humor naprawdę coraz bardziej mnie urzeka – roześmiałem się.

– Spałem dzisiaj tylko 4 godziny. Czuję się rozgrzeszony. Co więcej...

– kontynuował Leon. – Adres jego zameldowania jest już dawno nieaktualny. Alan wynajmował pokój blisko Starego Miasta, ale mieszkał tam tylko pół roku i tutaj jak na razie ślad się urywa. Czy naprawdę wszyscy studenci mieszkający na stacjach mają taki dziwny zwyczaj zmieniania miejsca zamieszkania po każdej większej, urządzanej tam imprezie?

– Różnie to bywa – odrzekłem, szeroko się uśmiechając. – Ale teraz wychodzi na to, że jak na razie w sprawie Alana nie mamy żadnego konkretnego punktu zaczepienia – dodałem, marszcząc czoło.

– Mam nadzieję, że jutro dowiem się więcej. Teraz najważniejszą rzeczą jest znalezienie tej Julii, bo ona może być kluczem do rozwiązania tej sprawy, albo może zna kogoś, kto go posiada. W dodatku jeśli ten twój magiczny telefon to ślepy zaułek, to będziemy musieli zacząć oficjalne przesłuchania mieszkańców akademika, a uwierz mi, że ze studentami nie współpracuje mi się najlepiej, bo równanie „policja plus studenci” raczej rzadko dobrze się sumuje.

– Uwierz mi, że nikomu dobrze się nie współpracuje ze studentami – roześmiałem się, ale Leon chyba nie podłapał tego żartu, bo schował swój notes z powrotem do kurtki, a następnie wstał, co wyglądało jak zbliżające się zakończenie spotkania policjanta z trzema studentami. Czy ktoś niedawno nie wspominał czegoś o współpracy z ...? Tak, wiem. Tani żart.

– Dobra Mikołaj. Będziemy w kontakcie. Ja idę teraz wyrobić swoją zaległą normę snu, a rano dam ten telefon do analizy. Ty też najlepiej idź już spać, bo jak tak dalej pójdzie, to twoją imprezę z okazji zdobycia tytułu magistra, będzie trzeba połączyć z twoją czterdziestką.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy, ile dzisiaj spałem.

– Z tego co kojarzę, studenci nie mają jakichś specjalnych limitów – zaśmiał się Leon, a Profesor i Tołdi głośno mu zawtórowali.

– A nie możemy po prostu z tego telefonu znalezionego przez Mikiego zadzwonić do tej Julii? – zapytał nagle Profesor, który właśnie skończył przecierać czerwone i załzawione od śmiechu oczy.

– Trafna uwaga detektywie – odpowiedział mu Leon, ale z tonu jego głosu można było wywnioskować, że ta uwaga wcale nie była aż tak celna. – Chciałbym się dowiedzieć, co proponujesz, żebym jej powiedział, jeśli faktycznie Julia z tego telefonu i Julia, której szukamy, to te same osoby. „Cześć. Tu podkomisarz Leon Muszyński. Znaleźliśmy martwego twojego byłego chłopaka. Na pierwszy rzut oka to samobójstwo, ale na drugi, to już morderstwo. Wybacz nam to początkowe małe niedopatrzenie. Przepraszam, że dzwonię z jego telefonu, ale ma naprawdę świetne gierki i nie mogłem się powstrzymać. Także w przerwie między graniem, a poranną kawą, tak sobie pomyślałem, że zadzwonię. Ale w sumie nie powinnaś się nawet denerwować, bo w końcu to tylko twój były chłopak.”

Nie wiem, czy Profesor spodziewał się właśnie takiej odpowiedzi, ale jego nerwowe przygryzanie dolnej wargi raczej na to nie wskazywało.

– Dobra. Naprawdę muszę już lecieć, także dobranoc wszystkim i uważajcie na siebie w tym całym akademiku – rzekł Leon, kierując się w stronę drzwi. Wszyscy unieśliśmy dłoń w geście pożegnania, a po chwili mój oficer prowadzący znajdował się już na korytarzu.

Kilka sekund po zamknięciu drzwi Tołdi wyjął zza łóżka kolejnego czteropaka, co zaczynało być już trochę dziwną tradycją i kolejny uzupełnił zawartość szklanek. Wypiliśmy wszystko duszkiem, następnie przez chwilę siedzieliśmy w bezruchu, nie odzywając się do siebie. Tę niezręczną ciszę przerwał Tołdi.

– Miki, wpakowałeś się w niezłe gówno.

– Wiem. A najgorsze jest to, że to dopiero początek – odpowiedziałem, ściskając szklankę tak mocno, że pękła, raniąc mi przy tym prawą dłoń.

W nocy nie mogłem praktycznie zasnąć. To znaczy co jakiś czas udawało mi się zdrzemnąć na parę minut, lecz po chwili znów otwierałem oczy, jakbym przeczuwał nadejście jakiegoś niewyobrażalnie strasznego koszmaru. Było to na tyle dziwne, że przecież miałem zajęcia na ósmą, a naprawdę żaden koszmar nie może się równać ze wstawaniem na poranne zajęcia. Tołdi nawet kiedyś wspominał, że na drugim

semestrze miał zajęcia z koszykówki na 7 rano. Czy moja uczelnia jest jakąś zaginioną sekcją NBA?

Chrapanie Toldiego i Profesora oraz krzyki na korytarzu też raczej nigdy nie powodowały u mnie problemów z zaśnięciem, ponieważ odkąd pamiętam, zawsze spałem z włączoną muzyką, więc gdy tylko panowała zupełna cisza, nie było mowy, żebym zmrużył oko. Ogólnie bardzo ułatwiało to moje życie, bo jak to mówią „spanie w ciszy to przywilej jedynie dla bogaczy”.

Jednak tym razem byłem po prostu przytłoczony zbyt dużą ilością wydarzeń, których mój mózg nie mógł do końca przetworzyć, więc znajdowałem się jakby w stanie stand-by, czyli ani nie spałem, ani nie imprezowałem, ani tym bardziej się nie uczyłem. Przez moją głowę przelatywały jedynie jakieś urywki myśli, z których większość była pozbawiona jakiegokolwiek sensu.

Aby nie leżeć beczynnym w łóżku, postanowiłem wyjść na balkon, mimo tego że od kilku dobrych godzin sypał śnieg. W moim nocnym kombinezonie, czyli białej koszulce i bokserkach z nadrukowaną rodziną Simpsonów byłoby mi raczej trochę za zimno, więc ubrałem na to zimową kurtkę Profesora z wielkim futrzastym kapturem. Wybrałem ją ze względu na jedno z praw obowiązujących w akademiku – była najbardziej na wierzchu. Kiedy zobaczyłem się w lustrze, stwierdziłem, że wyglądam jak bardzo nieudana próba upodobnienia się do średnio zamożnego rapera z gminnego ośrodka kultury.

Jak najciszej umiałem, wymknąłem się z pokoju i ruszyłem w stronę drzwi, które znajdowały się na końcu korytarza. Po ich otwarciu stwierdziłem, że kurtka Profesora nawet z tym szykownym futerkiem na kapturze nie zdoła mnie ochronić przed rześkim, grudniowym powietrzem. Mimo wszystko nie zawróciłem i stojąc już na balkonie, spotkała mnie już nie pierwsza świąteczna niespodzianka, ponieważ na dworze było tak dużo śniegu, że teren wokół akademików wydawał się być idealnie czysty. Trzeba zaznaczyć, że w czwartki o piątej rano porządek był ostatnią rzeczą, jaką można było tutaj zastać. Określenie studencka środa nie wzięło się przecież z niczego.

Kiedy zaciągnąłem się powietrzem, zorientowałem się, że ma już ten specyficzny, zimowy zapach. Nie wiem jak to dokładnie określić, ale kiedy spada pierwszy śnieg, powietrze jest całkowicie inne. Wraz z upływem kolejnych dni to uczucie zanika, a wtedy czeka się już tylko na pierwsze, wiosenne powietrze, które bardzo często mylone jest z zapachem piwa i kiełbaski z grilla. Teraz jednak wpatrywałem się w najwyższe budynki miasta, których oświetlone dachy były zapewne miejscem spotkań spojrzeń innych nieśpiących ludzi.

Gdyby był to filmowy przebój, pewnie stałbym na tym balkonie wypalając już trzeciego papierosa i dopijał szklankę whisky na podwójnym lodzie, a gdybym był dzieciakiem, wyciągnąłbym gumę rozpuszczalną i czekał na ciężarówkę Coca-Coli.

W mojej obecnej sytuacji pozostał mi tylko ten nie najładniejszy już akademikowy balkon oraz wtłaczanie do płuc tego lodowatego powietrza, zamiast dymu zawierającego nikotynę. Chociaż nie ukrywam, że w takich momentach też czekam na ciężarówkę Coca-Coli. Patrząc jednak na zaśnieżoną ulicę, szczerze

wątpię, że byłaby w stanie tutaj dojechać. Jakby to ładnie ująć? Tej zimy, jak każdej zimy, zima kolejny raz zaskoczyła drogowców. Tołdi zawsze mnie ostrzega, że pod koniec każdego semestru termin oddania indeksów bywa równie zaskakujący.

Po piętnastu minutach przypomniało mi się, że zapalenie płuc nie jest znowu taką lekką chorobą, więc postanowiłem wrócić do pokoju. Opatrunki na prawej ręce były już całe czerwone od krwi, która pochodziła ze skaleczeń powstałych od ostrych krawędzi stłuczonej szklanki. Niestety plastry, które wygrzebał ze swojej kosmetyczki Tołdi, były już ostatnimi w naszym pokoju, więc byłem zmuszony użyć niezawodnego akademikowego wynalazku, czyli papier toaletowy plus taśma klejąca. Z małymi problemami wynikającymi z ciemności panujących w pokoju, wyjąłem z szafy nowe opakowanie papieru toaletowego, na którym znajdowała się podobizna szczeniaka. Nie wiem, czy to ja jestem nienormalny, ale co wspólnego z papierem toaletowym ma dwumiesięczny dalmatyńczyk. Chwilę później rozwiąłem wszelkie wątpliwości, sprawdzając w internecie cechy rasy tego psa. Moją uwagę szczególnie przykuły dwie, a mianowicie: „wrażliwość na samotność” oraz „duża łagodność”. Zapomniałem jeszcze wspomnieć o „łatwości transportu”.

Szukanie taśmy klejącej zajęło mi dużo więcej czasu i dopiero przeszukując na oślep biurko Profesora, natrafiłem na przedmiot, który swoim kształtem ją przypominał. Kolejne kilka minut poświęciłem na znalezienie jej końca, co zawsze niezmiernie mnie irytowało. Ludzkość już tak długo lata w kosmos, a nikt na razie nie wynalazł dobrego sposobu na odnajdywanie końca taśmy klejącej i jeśli przy poprzednim użyciu nie zagniemy jej na końcówce, mamy wyjęte kilka minut ze swojego życia.

Mój opatrunek nie prezentował się zbyt profesjonalnie, ale powinien wystarczyć do czasu, aż otworzą aptekę. Spojrzałem na zegarek. Była już 5:49. Nie było sensu iść spać, bo wtedy najwcześniej wstałbym gdzieś w okolicach południa. Podszedłem z powrotem do laptopa i ruszyłem myszką, żeby wyłączyć wygaszacz. Radosny dalmatyńczyk ze strony o rasach psów znów radośnie na mnie spoglądał, lecz około 6 rano nie jestem zbyt wrażliwy na takie rzeczy, więc szybko kliknąłem w ikonę strony startowej i niemal natychmiast znalazłem się na stronie wyszukiwarki Google. Chciałem spróbować łatwego sposobu, którego Leon zapewne nie sprawdził, a który jest opisywany w większości nowych powieści kryminalnych. Wstukałem wyrażenie „Alan Świdorski” do wyszukiwarki i miałem nadzieję, że natrafię na coś przydatnego. Niestety tak jak się domyślałem, trafień nie było tyle, ile by było po wpisaniu na przykład „Michael Jordan”. Znalazłem jedynie jakieś zestawienie średnich na koniec liceum, gdzie Alan figurował w środku stawki i wypowiedź dla jakiejś gazety, kiedy dziennikarz łapie kogoś na ulicy i chce, żeby powiedzieć coś na jakiś aktualnie gorący temat, na który nie ma się zazwyczaj żadnego pojęcia.

Trzeci wynik był jednak dużo bardziej interesujący, bo było to konto Alana na Facebooku. Gdyby Leon prowadził oficjalne śledztwo, jakiś policyjny specjalista od komputerów na pewno przeczesałby wszystkie portale społecznościowe, ale jako że wszystko toczyło się trochę bocznym torem, takie oczywiste działania mogły mu umknąć. Podobno gdy masz małe dzieci, to nie chcesz sprawdzać, gdzie właśnie ktoś

imprezuje, czyli w ogóle zapominasz, że coś takiego jak social media w ogóle istnieje.

Po kliknięciu w odnośnik musiałem się zalogować, lecz mój trop okazał się jak na razie nietrafiony, bo Alan, którego podsunęło mi Google, był na oko trzydziestoletnim mężczyzną, którego serce biło w rytmie disco–polo, a w dodatku sprzedawałby duszę za wygazowane piwo w plastikowym kubeczku i lekko przypaloną kiełbaskę z grilla. Uśmiechnąłem się. Wystarczyło zamienić disco–polo na rocka i wydawałem się być identyczny. Nie zmieniało to faktu, że dla mojego małego śledztwa pierwszy strzał był niestety mocno chybiony.

Wiedziałem jednak, że Google zazwyczaj pokazuje tylko jedną osobę z konkretnego portalu społecznościowego na pierwszej stronie wyszukiwania, nawet gdyby zarejestrowanych było tam sto takich Alanów Świderskich. Także tym razem użyłem wewnętrznej wyszukiwarki Facebooka.

Szok. Wzdrygnięcie na krześle. Następnie dziwne ciarki pełzające od górnej części szyi, aż do samych końców palców u stóp. Zupełnie tak samo jak w kinowym horrorze, gdzie następuje nagle spowolnienie akcji i czeka się, aż coś strasznego pojawi się nagle na ekranie. Mimo że jest się na to przygotowanym, nie ma się żadnych szans, żeby przeciwstawić się nerwowej reakcji łańcuchowej. Chociaż może z drugiej strony właśnie dlatego, że tak się oczekuje tych za chwilę, zbyt nagle i zbyt szybko wyskakujących potworów”, reakcja bywa dużo silniejsza. Właśnie przeżywałem coś identycznego, patrząc na trzecią od góry miniaturkę zdjęcia, na której widniał uśmiechnięty Alan Świderski. Ten sam Alan, którego poprosiłem o popilnowanie frytek i ten sam Alan, który nie dotrzymał tej obietnicy. I może właśnie dlatego, że tak bardzo chciałem go tutaj znaleźć, nie byłem się w stanie ruszyć przez kilkanaście sekund, bo z potworami z kinowych horrorów raczej nigdy wcześniej nie zamienia się kilku miłych słówek.

Lekko drżącą ręką skierowałem kursor na czoło Alana i kliknąłem tak mocno, że wydawało mi się, że za pomocą tej myszki nie będę już w stanie pograć w sieciowe strzelanki pokroju Counter Strike.

Z profilu Alana niestety dużo się nie dowiedziałem, bo nie umieścił tutaj zbyt wielu informacji. W dodatku znaczna ich część była pewnie widoczna tylko dla znajomych, a chyba nie miałem zbytnio co liczyć, że Alan zaakceptuje moje zaproszenie. Zauważyłem tylko, że Alan tak jak ja, jest fanem powieści kryminalnych oraz zespołów rockowych. Nie było to jednak zbytnio przydatne, bo brzmiało to jak typowy zakres zainteresowań ludzi wieku 20+ i 30–. Jego znajomi nie byli chyba jeszcze świadomi tego, że Alan nie żyje, bo nie spostrzegłem żadnych smutnych wpisów z obowiązkowym zniczem na końcu. Zabawne. Nikt nie napisze ci na twoim profilu trzech znaków, a mianowicie: [*] i twoje życie w internecie trwa w najlepsze.

Przeszedłem do galerii, w której znajdowały się jedynie dwa zdjęcia i znów zbyt mocnym kliknięciem powiększyłem pierwsze z nich, które wcześniej było miniaturką przy wyszukiwaniu. Przez chwilę wpatrywałem się w twarz Alana i wspomnienia powróciły z niewyobrażalną prędkością, jakby wszystko działo się co najmniej

wczoraj. Dopiero po chwili się zorientowałem, że przecież wszystko wydarzyło się właśnie wczoraj. Detektyw Miki. Tak, to właśnie ja.

Alan na zdjęciu miał krótsze włosy i dużo mocniejszą opaleniznę, co pewnie było skutkiem otaczającego go krajobrazu, wskazującego na jakiś kraj leżący zbyt blisko równika. Niestety pod spodem nie zauważyłem żadnego podpisu, więc nie byłem w stanie określić, jakie to państwo. Musiało być tam jednak aż nazbyt uroczo, bo uśmiechnięty Alan w koszulce z podobizną Boba Marleya i w krótkich spodenkach wyglądał tak żywo, że przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że drzwi od mojego pokoju zaraz się otworzą i wejdzie on równie uśmiechnięty i ubrany w pidżamę z napisem „przedświąteczna niespodzianka”. Zamiast tego usłyszałem tylko Tołdiego, którego conocna, poranna godzina chrapania miała się właśnie rozpocząć.

Szybko zapisałem zdjęcie na pulpicie, a następnie kliknąłem w hiperłącze z napisem „dalej”, tym razem oszczędzając już trochę myszkę. Kolejne zdjęcie zostało zrobione w tej samej scenerii i zapewne w tym samym czasie, lecz z jednym małym wyjątkiem. Na tym zdjęciu Alan nie był sam. Był z dziewczyną. W dodatku tym razem pod zdjęciem był podpis – „Z Julią na wakacjach. Roztapiamy się od słońca”.

– Miki w pięknym stylu powraca do gry – powiedziałem cicho do siebie, również zapisując to zdjęcie na pulpicie.

Rozdział 7

„Podobno przyszłą żonę najlepiej poznać w bibliotece. Szkoda, że tak rzadko tam bywam”

Jednak trochę przesadziłem ze swoim detektywistycznym powrotem do gry, ponieważ na profilu Alana nie znalazłem żadnego powiązania z Julią. Nie udało mi się poznać jej nazwiska, nie wspominając już o innych informacjach. Alan nie miał jej w znajomych, czyli pewnie była zwolenniczką czysto analogowego sposobu poznawania ludzi. Albo usunęła go z tego grona zaraz po tym, jak z nim zerwała. To brzmiało także całkiem prawdopodobnie.

Byłem strasznie zawiedziony, że wciąż nie mogę odnaleźć jej personaliów, chociaż byłem już tak blisko. Oczywiście przeszukałem też pozostałe social media, wpisując wszystkie możliwe konfiguracje słów „Alan Świderski” oraz „Julia”, jednak kiedy znalazłem się na rosyjskich portalach społecznościowych, stwierdziłem, że nie ma to większego sensu. Przecież nie wpiszę też do Google słowa „Julia”, bo da to tysiące wyników powiązanych ze sobą, jak ja i ogólnokrajowe zrzeszenie matematyków. Również napisanie do wszystkich znajomych Alana z Facebooka, z prośbą o podanie jakiegokolwiek kontaktu do Julii, byłoby bez sensu. Gdybym napisał jakąś ściemę, wyszedłbym na psychola, który szuka konkretnej dziewczyny przez internet, a gdybym napisał prawdę, wyszedłbym na psychola, którego jarają były dziewczyny trupów. W obu przypadkach zostanie psycholem było nieuniknione.

Trochę zrezygnowany otworzyłem w Photoshopie zdjęcie, na którym Alan i Julia wyglądali na niesamowicie szczęśliwych w tej tropikalnej scenerii. Zresztą chyba każdy w takiej scenerii jest szczęśliwy, nawet gdyby był tam całkowicie sam. Plaża + woda + słońce + alkohol w all inclusive mają niesamowicie leczniczy wpływ na człowieka.

Powiększyłem zdjęcie trzykrotnie, tak że na ekranie pozostała sama Julia. Co tu dużo mówić. Była piękna. Na pierwszy rzut oka wyglądała tak, jakby poznała się z Alanem na plakacie magazynu mody, jednak po dłuższym wpatrywaniu się w nią, stwierdziłem, że to trochę inny typ urody. Rodzinny typ urody. Czyli taki, że gdy pierwszy raz widzi się taką dziewczynę, oprócz oczywistych zwierzęcych instynktów, budzą się głęboko ukryte ojcowskie odruchy. Ma się ochotę stworzyć z taką dziewczyną rodzinę wielodzietną, nawet jeśli nie byłaby zbyt przekonana do tego pomysłu.

Julia była ubrana w czarne bikini w białe groszki, które idealnie podkreślało jej niemal perfekcyjną figurę. Ogólnie chyba nie ma bardziej szczerzej rzeczy niż bikini. Wszelkie niedoskonałości są od razu potęgowane, lecz doskonałości są, jakby to powiedzieć... jeszcze doskonalsze.

Przesunąłem obraz w górę, jeszcze trochę go powiększając, tak że widziałem teraz tylko samą twarz. Chociaż jeszcze na chwilę zmniejszyłem wszystko, żeby rzucić okiem na bikini, ale raczej nie dlatego, że podobał mi się wzór w retro groszki.

Bardzo zdziwił mnie fakt, że pomimo tego, że Julia była brunetką o ciemnej karnacji, miała błękitne oczy. Nie chciałbym wyjść na taniego romantyka, żeby porównywać je do niebieskiej tafli oceanu lub innych, mniej lub bardziej oklepanych tekstów. W akademiku wygrałoby raczej określenie, że oczy Julii były koloru niebieskiej wódki rozrobionej pół na pół ze Sprite. Za to Toldi zawsze nazywa takie dziewczyny: „skóra z mahoniowego blatu, oczy z denaturatu”. A Profesor chyba nawet nie wie, że istnieją dziewczyny o ciemnej karnacji i niebieskich oczach.

Moją uwagę zwróciły jeszcze włosy spięte w nieco fantazyjny sposób, tworząc przy tym naprawdę udany „artystyczny nieład” (mój „artystyczny nieład” niestety rzadko bywa taki artystyczny) oraz niesamowicie ładne zęby. Przy pięknych włosach i uśmiechu moja wewnętrzna asertywność spada do minus dziesięciu.

Zanim zamknąłem zdjęcie, wcześniej je wydrukowałem, przy okazji mordując poziom tuszu w drukarce. Do końca nawet nie wiem, po co mi takie wydrukowane zdjęcie, ale zazwyczaj tak robią w filmach kryminalnych. Zamiast przykleić je do tablicy korkowej, która też zawsze znajduje się w takich filmach, poskładałem je cztery razy i wsunąłem do portfela pomiędzy legitymację studencką i prawo jazdy, czyli aktualnie dwa najważniejsze dokumenty w moim życiu. Julia nie mogła znaleźć bardziej elitarnego miejsca w moim portfelu, bo przegroda z pieniędzmi rzadko bywa aż tak elitarna.

Niestety moje nocne odkrycia były na tyle męczące, że oczy zaczęły mi się samoistnie zamykać. Tak właśnie kończą się zarwane nocki. Miałem do wyboru dwie rzeczy. Prysznic albo krówki. Wybór był aż nazbyt oczywisty.

Otworzyłem jedną z moich szuflad i wyciągnąłem zamknięte jeszcze opakowanie krówek. Ogromne ilości glukozy zawarte w tych cukierkach stawiają mnie lepiej na nogi, niż niejedna kawa. Oficjalnie dodaję krówki do mojej kulinarnej listy najlepszych rzeczy na świecie. Zaraz obok pizzy, burgerów oraz dużej dolewki coli.

Po zjedzeniu całego opakowania w niecałe dziesięć minut, mój mózg przeszedł na zdecydowanie szybsze obroty. Sprawdziłem jeszcze maila. Login „Miki_20” był już faktycznie trochę przestarzały, ale jakoś nie miałem czasu tworzyć nowego. Na pewno istnieją dużo gorsze sposoby odmładzania się.

Wśród tony spamu znalazłem dwie wiadomości przesłane poprzez serwis z ogłoszeniami lekcji gry na gitarze. Dwóch nastolatków chciało zostać kolejnymi Jimi Hendrixami. To dobrze, bo w tym miesiącu pieniądze bardzo mi się przydadzą. Wigilia i Sylwester są przecież dwoma najdroższymi dniami w roku, ale więcej pieniędzy i tak wydam pewnie w Sylwestra. Chyba nie muszę tłumaczyć czemu. Dobra. Wytlumaczę. Jeśli przeznaczą się więcej pieniędzy na Wigilię niż na Sylwestra, to znaczy, że przeszło się na stronę dorosłości bez możliwości powrotu. A jak na razie starałem się tego uniknąć.

Wysłałem szybko wiadomości do nowych adeptów gitary z możliwymi terminami lekcji w przyszłym tygodniu, a następnie wyłączyłem komputer. Podczas zamykania systemu rzuciłem jeszcze okiem na prawy dolny róg ekranu, żeby sprawdzić godzinę. Była 6:30. Ostatnia pora, żeby wziąć długi, nawet godzinny prysznic. W akademiku czasami zapomina się hasła typu „oszczędzaj wodę”, a ja naprawdę uwielbiam brać prysznic. Oczywiście jeszcze bardziej uwielbiam brać go z osobą towarzyszącą, ale teraz musiałem zadowolić się samym sobą, jakkolwiek głupio by to brzmiało.

– Jak to nie ma pączków? – zapytałem podniesionym głosem, chociaż większość uznałaby to za krzyk. Sprzedawczyni obdarowała mnie groźnym spojrzeniem, lecz mój wzrok nadal wygrywał w tym pojedynku.

– Szef wczoraj zapomniał zamówić. Czy to naprawdę taki problem? – odpowiedziała równie podniesionym głosem, co pewnie większość również uznałaby za krzyk.

Czy był to problem? Owszem był. Ekspedientka w dodatku była nowa i chyba nie do końca zdawała sobie sprawy, po jak cienkim lodzie teraz stąpa. Ja i poranny pączek z marmoladą to połączenie tak nierozzerwalne, zupełnie jakby było częścią starożytnej przepowiedni. W dodatku ekspedientka zdążyła się już pokłócić z trzema osobami stojącymi przede mną, a teraz ja miałem być jej nieszczęśliwym numerem cztery. Mimo dużej chęci podjęcia rękawicy i wdania się w ogromną pączkową kłótnię, wybrałem zamiennik, czyli drożdżówkę z budyniem. Oczywiście natychmiast pogorszył mi się humor, bo drożdżówka w moim świecie nigdy nie będzie równać się pączkowi, ale te straty zrekompensowałem sobie puszką coli.

Opuszczając sklep, natychmiast poczułem świąteczny klimat. Zima była już niemal w pełni, na co wskazywały zalegające wszędzie ogromne ilości śniegu i temperatura oscylująca wokół siedmiu stopni poniżej zera.

Wypełniłem płuca mroźnym powietrzem i musiałem się trochę pospieszyć, żeby zająć dobre miejsce na wykładzie z historii architektury. Na wykładach jest zupełnie jak w kinie, ostatnie rzędy są najbardziej oblegane. Miałem mało czasu, dlatego wysłałem esemesa do Lucego, czyli mojego najlepszego kumpla z grupy, po czym ruszyłem w kierunku centrum wykładowego.

Lucy tak naprawdę nazywał się Adam Maczewski, a jego ksywa „Lucy” była modyfikacją licealnego pseudonimu „Lucyfer”, który zawdzięczał członkostwu w subkulturze metalowców, słuchających najbardziej ekstremalnych odmian tej muzyki. Aktualnie po jego ubiorze nie można było stwierdzić żadnych śladów jego „wcześniejszego życia”, ponieważ ubierał się według mnie aż nazbyt modnie, zupełnie jakby codziennie czytał Vouge’a do porannej kawy. Ostał się jedynie pseudonim, ale jak już wspominałem, był on zmodyfikowany, ponieważ „Lucy”

wiele osób wymawiało jak brytyjskie żeńskie imię, czytając „c” jako „s”, jednak ja obstawałem przy polskiej wersji.

Lucy miał około 190 cm wzrostu, rude włosy, jasne, niebieskie oczy i dużo piegów na twarzy, czyli wyglądał jak pierwsza w kolejce ofiara plażowego słońca. Jego życiowe motto mówiło, że: „każda kobieta w swoim życiu musi spędzić noc z rudowłosym mężczyzną”. Ciekawa teoria, ale jako że był całkiem przystojny, bardzo lubił pomagać wszystkim kobietom w spełnianiu tego niecodziennego marzenia. Wolałem się tylko nie domyślać z jakim skutkiem.

Lucy dodatkowo był tak zwanym spadochroniarzem, czyli powtarzał rok. Zdarza się tak, jeśli studenckie życie okazuje się trochę zbyt przytłaczające. Jednak nie przejmował się tym zbytnio, bo twierdził, że w końcu jakoś trzeba przedłużyć sobie młodość, a w dodatku według niego to ja byłem w tym niekwestionowanym mistrzem.

Kiedy wszedłem do sali wykładowej, od razu spostrzegłem Lucego siedzącego w środku przedostatniego rzędu. Teraz jedna z głównych zasad wykładowych. Należy unikać ostatniego rzędu, ponieważ gdy jakiś profesor zbyt poważnie traktuje swój przedmiot, może nastąpić małe przesiedlenie, powodujące, że ostatni stają się nagle pierwszymi, ale na szczęście przedostatni bardzo rzadko stają się drugimi. Jeśli ktoś jeszcze studiuje, ta bezcenna rada była gratis.

Trochę zajęło mi dotarcie do wybranego miejsca, bo musiałem przecisnąć przez siedzących już tutaj studentów. Nie było to proste, ale kiedy w końcu tego dokonałem, Lucy uśmiechnął się szeroko i powiedział:

– Co tam Miki? Akademik jeszcze nie wykończył twojego starczego organizmu?

– Dobrze się konserwuję – odparłem, przybijając mu żółwika, po czym starałem się wygodnie rozsiąść na krzeselku, które zdawało się mieć określenie „wygodny” na liście słów zakazanych.

– Kiedy u was jakaś świąteczna imprezka? Chyba nie zapomnieliście o tej akademikowej tradycji?

Uśmiechnąłem się.

– Tołdi z Drzazgą organizują w następnym tygodniu, czekaj, jak to nazwali – „Wielką Akademikową Wigilię” – powiedziałem to z wyraźną dumą w głosie. – Miejsce imprezy to całe piąte piętro – moja duma od razu zrobiła się jeszcze większa.

– Yeah! Jak Tołdi z Drzazgą robią imprezę, to nawet nie sprawdzam, czy są jakieś inne imprezy w tym czasie.

W ogóle mnie to nie zdziwiło. Lucy był stałym bywalcem imprez w akademiku, bo rok temu sam był jego mieszkańcem. Niestety już tam nie mieszkał z prozaicznego powodu. Wyrzucili go. Lucy został trzy razy wpisany do czarnej książki kierowniczk, co było równoznaczne z natychmiastową eksmisją, ale dzięki Lucemu dowiedzieliśmy się, że coś takiego jak czarna księga w ogóle istnieje. Tak przykra sytuacja ani trochę go jednak nie załamała. Znalazł jakąś dorywczą pracę, wynajął pokój i może tym razem uda mu się skończyć pierwszy rok (mam nadzieję,

że razem ze mną). Lucy zwykł także mawiać, że może wyrzucili go z akademika, ale akademika z niego nigdy nie wyrzuca.

– Jeszcze impreza na piątym piętrze. Piętro najładniejszych dziewczyn, czyli idealna lokalizacja – wciąż podniecał się Lucy, lecz profesor Karwacki od historii architektury rozpoczął właśnie wykład, uciszając wszystkich wystudiowanym ruchem ręki. Ta niezręczna cisza trwała na szczęście tylko 10 minut, po czym powróciliśmy do rozmowy.

– W ogóle słyszałem, że stałeś się nieudanym ratownikiem samobójców – szepnął Lucy, ale po chwili powrócił do normalnego tonu głosu, bo profesor Karwacki zachowywał się, jakby istniały dla niego tylko trzy pierwsze rzędy, także nasz był dla niego praktycznie niewidzialny.

– Dziwna sprawa – westchnąłem. – Ogólnie wolałbym o tym nie gadać, ale może dla ciebie zrobię wyjątek.

– Tylko mi nie mów, że po tym jak nie uratowałeś samobójcy, stałeś się nagle wrażliwy i chowasz to wszystko w swoim czarnym serduszk? – zapytał z szyderczym uśmiechem Lucy.

– Ile do końca wykładu?

– Godzina dziesięć – odpowiedział, lecz tym razem z czymś całkowicie przeciwnym do jakiegokolwiek uśmiechu.

– Dobra. To mam trochę czasu, żebyś się przekonał, jak bardzo stałem się wrażliwy.

– Czyli muszę teraz powiedzieć, że nie mogę się doczekać, bo inaczej zaraz się tutaj rozpłacziesz?

– Oczy mi już wyschły i zabrakło łez – odparłem, próbując to zaśpiewać w stylu taniej, popowej piosenki.

– Zapewne – roześmiał się Lucy. – Dobra, zaczynaj.

Opowiedzenie całej historii zajęło mi jakieś 20 minut, ponieważ starałem się nie omijać żadnych fragmentów, jak to było w przypadku, gdy opowiadałem to wszystko Oli. Ogólnie umówiliśmy się z Tołdim i Profesorem, że nie będziemy nikomu mówić całej prawdy, pomijając całkowicie część z policją, lecz naprawdę nie jestem zbyt dobry w dotrzymywaniu obietnic.

Gdy kończyłem mówić o tym, jak Leon zabrał ze sobą telefon znaleziony przeze mnie portierni, a teraz czekam na wyniki odcisków palców i nie wiem, czy mam się jakkolwiek angażować w to śledztwo, Lucy zaczął marszczyć czoło w geście niedowierzania, lecz po chwili rzekł:

– Pokaż mi lepiej zdjęcie tej Julii.

Szybko wyjąłem zdjęcie z portfela i podałem je Lucemu, który na szczęście po dwudziestominutowym streszczeniu wiedział o tym, że wydrukowałem je podczas nocnego przeszukiwania internetu i nie musiał zadawać stosownego pytania, dlaczego noszę je w portfelu. Przez dłuższą chwilę przyglądał się fotografii, a gest niedowierzania znowu powrócił na jego czoło.

– Przesada. Jaka ładna. Dobrze, że już wolna.– powiedział, cały czas wpatrując się w zdjęcie.

- Co jak co, ale twoja wrażliwość zawsze pozostanie taka sama – zakpiłem.
- Musisz mi wybaczyć. Jestem rudy.
- Tak wiem. Zaraz zaczniesz mi opowiadać, że twoim największym sukcesem w szkole było to, że nie miałeś ksywy „Rudy”.

Lucy zaczął się głośno śmiać, ale najwyraźniej profesor Karwacki nie podzielał jego dobrego humoru, ponieważ kazał Lucemu podać nazwisko, które natychmiast zanotował w swoim czarnym zeszycie (czy wszystkie tego typu rzeczy zawsze muszą być czarne?). Tym sposobem „spadochron” Lucego stawał się coraz bardziej gotowy do otwarcia i oddania drugiego skoku w kierunku powtarzania pierwszego semestru, także do końca wykładu musieliśmy być cicho, a ja z nudów zacząłem nawet słuchać opisu różnic pomiędzy kolumnami doryckimi, jońskimi i korynckimi. Przyznaję, że był to błąd. Naprawdę chyba odkryłem lekarstwo na bezsenność.

Gdy wykład w końcu się skończył, Lucy posłał niezbyt milutkie spojrzenie profesorowi Karwackiemu, lecz szybko szturchnąłem go w ramię, bo nie chciałem, żeby wykładowca jeszcze jakoś dodatkowo oznaczył go w swoim mrocznym zeszycie. Chociaż Lucy pewnie byłby dumny gdyby obok swojego nazwiska miał czarne serduszko, pentagram albo trzy szóstki.

– Dobra – zagadnąłem go, kiedy byliśmy już w holu. – Co myślisz? Jak twoim zdaniem mam się teraz zachować?

– Wykraść ten zeszyt i zniszczyć kartkę z moim nazwiskiem. Prawdziwi przyjaciele tak robią.

Parsknąłem śmiechem. Jeśli profesora Karwackiego cokolwiek podnieca w życiu, to może to być tylko ten czarny zeszycik. Na bank nawet z nim sypia.

– Chodziło mi raczej o to, czy mam pomagać Leonowi w tym śledztwie, czy tylko statystować – dodałem po chwili.

– Wiadomo. Chyba nie myślałeś, że przejąłem się tym, że mnie zapisał.

– Sam nie wiem. Ja bym się trochę wkurzył.

– Proszę cię Miki. W tamtym roku byłem w nim zapisany trzy razy, będąc tylko na dwóch wykładach. W ogóle jestem zażenowany, że Karwacki nie pamięta mojego nazwiska – powiedział Lucy, literując słowo „zażenowany”. – Dziewczyny zawsze pamiętają moje nazwisko, a zwłaszcza wtedy, gdy co najmniej trzy razy wpiszę im się do zeszyciku – dodał po chwili z mimowolnym uśmiechem.

– Nie wątpię.

– Ale wracając do tego Leona, to chyba się nie wywiniesz, bo powiedzmy sobie szczerze, ma na ciebie dość solidnego haka. Gdybym ja miał coś takiego na kogoś, to do końca życia nie musiałbym sprzątać w domu.

Roześmiałem się.

– Dobra, teraz czas na przyziemne sprawy – rzekł nagle Lucy. – Jakie mamy dzisiaj zajęcia?

Wyjąłem telefon i włączyłem plik pdf z planem zajęć.

– Analiza formy, projektowanie i geometria wykreślna.

– Chodźmy. Czas umierać – rzekł Lucy, poklepując mnie po plecach.

Wzruszyłem ramionami i przyśpieszyłem kroku. Czas przeprosić się z edukacją. Kolejny raz.

– Dlatego zapamiętajcie to raz na zawsze. W geometrii wykreślnej wszystko jesteście w stanie rozwiązać za pomocą transformacji – to zdanie profesora Chmielewskiego było ostatnim na dzisiejszych ćwiczeniach. Mimo że naprawdę go lubiłem, półtora godziny słuchania o rzutniach, kładach i punktach przebicia nie pozostawiło obojętnym mojego systemu nerwowego. Najchętniej położyłbym się spać. Najpierw musiałem jednak spakować swój zestaw młodego kreślarza składający się z kilku ołówków o różnej grubości, gumki chlebowej, cyrkla i dwóch ekier. Po wrzuceniu wszystkiego do torby w losowej kolejności spojrzałem na Lucego, którego mina była pełna emocji, jak dwie linie równoległe, które nigdy się nie przetną.

– Dobrze, że już koniec na dzisiaj – rzuciłem, wstając i kierując się w stronę wyjścia.

– Dzięki za informację „Captain Obvious” – roześmiał się Lucy, który w przeciwieństwie do mnie, nie musiał nic pakować, bo od początku semestru nie odwiedził jeszcze sklepu plastycznego i większość ćwiczeń wpatrywał się w moje średniej jakości próby przerysowywania zadań z tablicy.

Gdy znaleźliśmy się na korytarzu, reszta naszej grupy umawiała się na wieczorne piwo i planszówki, a w razie możliwości powtórzenie zadań na poprawę z mechaniki ogólnej. Mimo że nie było jeszcze wyników z kolokwium, ja i kilkanaście innych osób znało już swoją ocenę. Tak, ten przedmiot wyzwala magiczne zdolności jasnowidzenia. Już miałem się zapytać, gdzie i o której się spotykamy, gdy telefon w mojej kieszeni zawibrował. Kiedy sprawdziłem, kto dzwoni, poczułem niemiłe ukłucie w żołądku. To był Leon.

– Cześć Mikołaj. Nie przeszkadzam? – w słuchawce odezwał się znajomy głos.

– Właśnie skończyłem zajęcia.

– To dobrze się składa. Masz dzisiaj trochę czasu o szesnastej?

Spojrzałem na Lucego, który czekał na mnie, aż skończę rozmawiać, żeby później wkręcić się na imprezę z planszówkami i mechaniką ogólną. Za pomocą ruchu warg przekazałem mu dwa słowa: „policja” oraz „Leon”, od razu uniósł on do góry oba kciuki na znak, że rozumie. Albo życzy mi szczęścia.

– O szesnastej? – powtórzyłem pytanie, jednocześnie sprawdzając godzinę na zegarku. Była 15:23. – To zależy, gdzie musiałbym podjechać.

– Kojarzysz burgerownię „Dziki Dzik”?

– Pytanie – roześmiałem się. – W dziedzinie burgerów już dawno mógłbym robić doktorat. W Dziku spokojnie mogę być o szesnastej. A czego konkretnie się dowiedziałeś? Coś z telefonem z portierni?

– Nie wiem, jak to możliwe, ale ten telefon naprawdę mógł należeć do naszego Alana. Część odcisków pasuje.

– Założę się, że reszta należy do Królika, bo nie znam bardziej ciekawskiej osoby.

– Niestety jego odcisków nie było w bazie, żeby to potwierdzić.

Zmrużyłem oczy, a Leon kontynuował.

– Sprawdziłem numer Julii z telefonu i na szczęście był na abonament. Dzięki temu poznałem adres jej matki, bo to na nią był zarejestrowany telefon. Niedawno odwiedzili ją moi kumple z zaprzyjaźnionego patrolu i okazało się, że Julia wyprowadziła się pół roku temu, żeby zamieszkać z chłopakiem. Chyba znasz jego magiczne imię?

– Nasz kochany Alan. A masz adres tej Julii?

– Wiadomo. Odznaka to bardzo dobry wyzwalacz prawdy. Dobra, ja muszę załatwić jeszcze jedną rzecz, a obgadamy za niedługo wszystko w Dziku. Jakbym się spóźniał, zamów mi burgera z podwójnym serem plus frytki i cola.

– Widzę, że podobnie widzimy dzisiejszy obiad – roześmiałem się. – Do zobaczenia – dodałem i się rozłączyłem. Przez chwilę wpatrywałem się w ludzi z mojej grupy, którzy przekrzykiwali się, jaki alkohol piją podczas dzisiejszego wieczoru. Nagle doskoczył do mnie Lucy, pytając się, co chciał ode mnie Leon i czy będę dzisiaj na wspólnym uczeniu się. Roześmiałem się. Trzy ostatnie słowa powinny być wzięte w ogromny cudzysłów. Na pytanie o imprezę odpowiedziałem, że nie wiem, ale na pewno dam mu znać, a jeśli chodzi o Leona, to dopiero się czegoś dowiem po nadchodzącym spotkaniu. Lucy wzruszył ramionami i powiedział, że bym go tylko nie oszukał, bo potrzebuje kompana do whisky dzisiejszego wieczoru, a następnie ruszył w stronę dziekanatu, bo miał tam coś do załatwienia. Na uwagę, że przecież dziekanat jest czynny do 13:00, zaniósł się głośnym śmiechem i skwitował, że takie godziny otwarcia są dla przestraszonych pierwszaczków. Zupełnie takich jak ja. Tym razem to ja wzruszyłem ramionami i spojrzałem na zegarek. Była 15:27.

– Chyba czas iść już na przystanek – powiedziałem do siebie, a następnie ruszyłem w stronę wyjścia, mając już w głowie wizualizację nadchodzącego burgera.

Z podwójnym serem.

Z frytkami.

I colą.

Mimowolnie przyspieszyłem kroku.

Rozdział 8

„Z imprezowaniem jest jak z jazdą na rowerze.
Raz się nauczysz...”

Jazda zatłoczonym autobusem zdawała się być naprawdę ogromnym dostarczycielem adrenaliny. Przecież to istny raj dla wszelkiego typu zboczeńców, kieszonkowców i kilku emerytów, którzy z szeregu miejsc siedzących kochają tylko jedno konkretne krzeselko i dopóki na nim nie usiądą, nie zaznają spokoju swojej duszy. Jeśli oni w ogóle mają duszę, bo wcześniej nie sprzedali jej za dożywotni bilet miesięczny. Dlatego naprawdę nie rozumiem, po co ludzie skaczą ze spadochronem, bo przecież taki sam efekt daje jednorazowa podróż na końcowy przystanek jedną z najbardziej uczęszczanych linii. Na szczęście mój zimowy obóz przetrwania trwał tylko 5 minut i gdy wysiadłem z autobusu, to jedyne na co miałem ochotę, to ukraść komuś samochód. Zupełnie jak w serii gier „Grand Theft Auto” – podejść do kogoś stojącego na światłach, wyrzucić go ze środka i później ścigać się z autobusami.

Jakoś odgoniłem nerwowe myśli o kradzieży samochodu, po czym przeszedłem na drugą stronę ulicy i po przejściu kilkudziesięciu metrów zauważyłem jaskrawy neon z kreskówkową podobizną dzika. Około metr wyżej znajdował się również neonowy napis, który układał się w słowa „Dziki Dzik”, co było jednoznacznym dowodem, że trafiłem w dobre miejsce.

Przeszedłem przez oszklone drzwi i momentalnie znalazłem się w innym świecie. W takim gdzie zapach roztopionego sera na kotlecie brzmi jak twój najlepszy przyjaciel. Zdjąłem czapkę i poluźniłem trochę kurtkę, a następnie grzecznie ustawiłem się w kolejce. Przede mną znajdowała się grupa nastolatków, spośród których jedna miała bluzę z przystojnym aktorem grającym w najnowszym filmie o wampirach.

W skrócie kilka zasad tworzenia takich filmów. Po pierwsze należy zatrudnić najbardziej przystojnych aktorów i najładniejsze aktorki, nawet jeśli ich gra byłaby tak przekonująca jak wątróbka oraz kaszanka z cebulą sprzedawane jako najlepszy afrodyzjak. Także jeśli ktoś by pomyślał, że może jest wampirem, ale jest niezbyt wyszukanej urody, to nie jest żadnym wampirem. Jest po prostu brzydki. Po drugie akcję należy osadzić w liceum. W takim razie czy wampiry są takimi kretykami, że mając po 500, a nawet 2000 lat wciąż zasuwać do liceum? Po trzecie należy umieścić w filmie kolejną atrakcyjną aktorkę nie – wampira, która zakochuje się w najprzystojniejszym z wampirów i w czwartym sezonie, jeśli to serial lub w czwartej części, jeśli to film, postanawia też stać się wampirem. Osobiste pytanie do tej postaci. Naprawdę chcesz całe życie chodzić do liceum?

Nie zdążyłem dojść do czwartej zasady tych filmów, bo z zamyślenia wyrwał mnie głos ekspedientki.

– W czym mogę pomóc? – spytała, a następnie szeroko się uśmiechnęła.

– Co za pytanie – pomyślałem. – Przyszedłem tutaj zjeść burgera, który powiększy przestrzeń zajmowaną przez moje ciało we wszechświecie i dodatkowo skróci moje życie o kilka minut. Rozejrzałem się po menu rozpisany na tablicy, które oprócz zabawnych nazw i ilości dodatków oferowało praktycznie to samo. Duża bułkę z równie dużym kotлетem pośrodku. Oczywiście w ogóle mi to nie przeszkadzało.

– Poproszę dwa burgery „Sir Dzik” z frytkami i colą – kreatywność copywriterów zaskoczyła nawet mnie. Jako że Sir Dzik zawierał podwójną porcję sera chyba naprawdę zasługiwał na tytuł szlachecki.

Wziąłem drewniany breloczek z napisem 14 będący numerem mojego zamówienia i usiadłem naprzeciwko okna, żeby mieć widok na ulicę, a nie na ludzi, którzy pod koniec jedzenia mają te spanikowane miny, bo orientują się, że właśnie wykorzystali swój dzienny limit kaloryczny, a za niecałe dwie godziny znowu będą głodni. Nie oceniam. Rozumiem.

Spojrzałem na zegarek. Była 16:07, czyli Leon powinien być tutaj już od siedmiu minut, jednak studencki kwadrans był pewnie znany także w szeregach policji. W oczekiwaniu na burgera i Leona przejrzałem na telefonie lokalne wiadomości, natrafiając na krótka wzmiankę o samobójczej śmierci w moim akademiku. Na szczęście wpis nie był zbytnio szczegółowy i kończył się klasycznym „policja oraz władze uczelni ze względu na dobro rodziny ofiary odmawiają jakiegokolwiek komentarza w tej sprawie”. Głęboko nabrałem powietrza, kiedy zdałem sobie sprawę, że Alan nie miał żadnej bliskiej rodziny, więc aktualnie ja byłem jedną z dwóch osób zainteresowanych rozwiązaniem zagadki jego śmierci. Aby odgonić te myśli, wszedłem na stronę z memami, gdzie większość zawartości składała się z kotów, głupich filmików i natarczywych reklam. Przepadłem tam na kilkanaście dobrych minut, gdy nagle zorientowałem się, że obok mnie przystanęły dwie osoby. Jedną z nich była kelnerka, która trzymała w rękach dużą tacę z dwoma zestawami „Sir Dzik”, a drugą osobą był oczywiście Leon.

– Mimo że się spóźniłem, jestem chyba na czas – powiedział, przejmując zamówienie od kelnerki i posyłając jej szeroki uśmiech. – Ja się tym najlepiej zaopiekuję – dodał, a kelnerka czerwieniąc oczywiście odwzajemniła jego uśmiech, następnie życzyła nam smacznego i zabrała drewniany breloczek z numerem zamówienia. Myślę, że nie potrzebowaliśmy specjalnych życzeń, aby nam smakowało, bo po krótkim przywitaniu znaleźliśmy się w krainie płynącej tłuszczem, serem i pustymi kaloriami. Zjedliśmy większość niemal bez słowa, co jakiś czas biorąc po dużym łyku coli, a ja stwierdziłem, że właśnie jakiś dietetyk popełnił samobójstwo albo szuka innych osób, aby popełnić zbiorowe.

– To co robimy z tą Julią? – zapytałem w końcu, a Leon wyjął z kieszeni skórzany notes, z którego wypadła mała, żółta karteczka. Przesunął ją w moją stronę i dopiero wtedy zobaczyłem, że jest na niej coś napisane.

– Julia Kowalonek – przeczytałem na głos, a następnie spojrzałem na adres, który znajdował się poniżej. – To przecież tylko pięć minut stąd – dodałem.

– Właśnie dlatego umówiliśmy się tutaj, bo po naszym spotkaniu będziesz mógł ją odwiedzić.

– Myślałem, że odwiedzimy ją razem? – odparłem, intonując to w taki sposób, aby było jednocześnie zdaniem oznajmującym i pytaniem. Niektóre mamy tak samo intonują zdanie „Chyba nie chcesz iść na tę imprezę”, chociaż one dodają do tego dużą szczyptę trybu rozkazującego.

Moje pytanie musiało się okazać dosyć ważne, bo Leon odłożył końcówkę swojego burgera, którą miał już prawie przy ustach, po czym zaśmiał się ironicznie.

– Po pierwsze muszę za niedługo podjechać na komisariat, a po drugie to ty pracujesz dla mnie, więc poudawajmy, że to ja ustalam zasady.

– Myślę, że sam argument numer dwa by wystarczył, żeby mnie przekonać – odparłem, odwzajemniając ironiczny uśmiech. – Dobra, ale w takim razie co ja mam jej w ogóle powiedzieć?

– Najpierw musisz sprawdzić, czy w ogóle będzie chciała z tobą rozmawiać.

– Myślisz, że mój urok osobisty tego nie udźwignie?

– Pomyślmy. Jeśli rozegrasz to tak, jak wymyśliłem i pomimo że będzie to najlepsza z możliwych opcji, możesz napotkać kilka problemów. Zaznaczam, że kontynuuję numerację, także po trzecie, stwierdziłem, że powiesz tej całej Julii po prostu prawdę. Wszystko. No prawie wszystko. Zaczynając od tego, jak spotkałeś Alana w kuchni, który jeszcze wtedy był Krystianem, jak spotkałeś go drugi raz w tym samym miejscu z magiczną kropką na czole i w końcu jak spotkałeś dobrego duszka – policjanta, czyli mnie, który pomimo dowodów wskazujących na ciebie, postanowił dać ci szansę zabawienia się w prywatnego detektywa. Rozumiesz? Nie masz nic ukrywać, bo według mnie ta Julia tego nie zrobiła, ale może naprawdę sporo wiedzieć, więc musi zdawać sobie sprawę, na czym stoimy. Teraz zaczynam tę część z problemami, czyli po czwarte, Julia może w ogóle nie chcieć z tobą gadać i stwierdzić, że przysłał cię Alan, który jak dobrze wiemy, leżakuje sobie aktualnie w kostnicy i jedyne, co byłby w stanie wysłać, to zaproszenia na swój własny pogrzeb. Jeśli oczywiście ładnie by się uśmiechnął do patologa. Po piąte, nawet jeśli Julia dopuści cię do słowa, może ci w nic nie uwierzyć, także na punkt cztery i pięć przygotowałem małą niespodziankę.

Leon sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął dużą, szarą kopertę, z której po chwili wysunął trzy zdjęcia i rzucił je w moją stronę. Były to fotki prosto z imprezy Alana w kostnicy, więc raczej nieprędko wrzuci je na portale społecznościowe. Nie przyglądałem się im zbyt długo, tylko szybko schowałem je do koperty, jednocześnie przełykając głośno ślinę.

– Co dalej? – spytałem, patrząc wymownie na Leona, bo wiedziałem, że nie wyczerpał on jeszcze tematu.

– Załącznik do punktu cztery i pięć, czyli użyj tych zdjęć, kiedy nie będziesz mieć już naprawdę nic do stracenia.

– Jak super combo w grze wideo?

Leon wzruszył ramionami.

– Nazywaj to, jak chcesz. Niestety z doświadczenia wiem, że takie rzeczy mają bardzo losową skuteczność. Na oko jakieś 50/50. Także użyj ich w naprawdę ostatecznym wypadku – Leon przeliterował słowo „ostatecznym”. – Po szóste musisz pokazać, że współpracujesz z policją, ale tak naprawdę nie masz z policją nic wspólnego. Wiem, że brzmi to trochę dziwnie, ale jak pokażesz, że osobiście zależy ci na złapaniu mordercy Alana, a w dodatku masz dostęp do policyjnych metod działania, możesz wzbudzić jej zaufanie.

– Czyli mam być taką prostytutką, która jest niepoprawną romantyczką?

– W dodatku z koszulką Unicefu – Leon zarechotał.

– Dobra. Mniej więcej już wszystko rozumiesz, czy mam teraz wymyślić jakiś punkt numer siedem? – spytał po chwili, tym razem zabierając się za końcówkę swoich frytek.

Skinąłem głową w geście, że wystarczy już mi tych policyjnych porad. Postanowiłem też przemilczeć fakt, że w portfelu mam wydrukowane zdjęcie Julii, bo tak naprawdę mogłem mieć wydrukowane zdjęcie jakiejś modelki z instagrama i byłoby to niemal tak samo pomocne w śledztwie. Ciekawiła mnie tylko jedna rzecz.

– A wyciągnąłeś już jakieś rzeczy z tego telefonu, który znalazłem? – zapytałem, wysoko unosząc brwi. – I pewnie zdziwiło cię, że odciski pasują.

Leon skinął głową.

– Zdziwiło, ale widziałem już bardziej nieprawdopodobne rzeczy. Wykaz wszystkich wiadomości i zdjęć będę mieć na biurku jutro wieczorem, ale kosztowało mnie to naprawdę dużą flaszkę. Problem będzie z bilingami, bo wszystko idzie drogą nieoficjalną, ale na szczęście mam zaprzyjaźnionego kumpla, który mi z tym pomoże. A żeby była równość we wszechświecie, to będzie to najwcześniej za dwa dni i będzie mnie to kosztować metaforycznie ujmując... jakieś dziesięć flaszek.

Zmarszczyłem czoło. Dziesięć flaszek. W ogóle istnieją takie przysługi?

– W dodatku wątpię... – kontynuował Leon. – ...żebyśmy wycisnęli dużo informacji z tego telefonu, bo gdyby był taki ważny, to Alan raczej nie dałby go w zastaw w portierni. Udało mi się załatwić numer, który podał przy rejestracji na uczelnię, więc mój znajomy też go sprawdzi, ale uwierz mi, jeśli ktoś ma coś do ukrycia, to ma zawsze telefon na kartę i możemy mieć wielkie nic z tych bilingów. Same dokładne godziny rozmów z numerami. Bez żadnych nazwisk.

Jeszcze mocniej zmarszczyłem czoło. Właśnie w taki sposób marnuje się dziesięć flaszek.

Leon dopił swoją colę, także zrozumiałem, że nasze spotkanie powoli dobiega końca. Ja za chwilę wybierałem się na następne, które oprócz tego, że miało odbyć się z ładną dziewczyną, nie miało żadnych innych plusów. Podsumujmy. Musiałem jej powiedzieć, że jej były chłopak popełnił samobójstwo, które okazało się morderstwem, a wszystko nastąpiło po tym nieszczęsnym esemesie od niej. Znajdźcie mi lepszy temat na pierwszą randkę. I jeszcze to przeświadczenie, że traci się bezpowrotnie szansę na randkowanie z byłym.

Leon oparł się wygodnie i skrzyżował ręce na piersi, czyli w ogólnoświatowym geście wszystkich matek zarządził koniec imprezy. Następnie wstał, zasunął krzesło

i głośno chrząknął, jakby zaraz miał powiedzieć coś ważnego i tym razem przeczucie wcale mnie nie zmyliło.

– Powodzenia. Gdybyś to zawalił, to pamiętaj, że wiem, gdzie mieszkasz – rzekł i uśmiechając się jak rekin, przybił mi żółwika.

Po takich słowach mi również pozostało tylko niewinnie się uśmiechnąć.

Po wyjściu z Dzika skierowałem się do przejścia podziemnego, którego ściany były pokryte bardzo amatorskim graffiti. Nie obraziłbym się, gdyby Bóg zesłał do tego miejsca Banksy’ego, który uczyniłby z tego obskurnego miejsca małe dzieło sztuki. Bo kto jak kto, ale on powinien wiedzieć, jak wygląda Banksy. I mieć do niego numer telefonu.

Kiedy z powrotem znalazłem się na powierzchni, zorientowałem się, że do budynku, w którym prawdopodobnie mieszka Julia, zostało mi około 300 metrów. Nie było zbytnio czasu, żeby w głowie układać różne możliwości scenariusza rozmowy, bo do tego potrzebowałbym dystansu przynajmniej 10 kilometrów.

Stałem pod budynkiem, który wydawał mi się tym właściwym, ale dla pewności wyciągnąłem karteczkę od Leona i przeczytałem adres na głos. Zgadzał się z tym napisanym na tabliczce obok wejścia do klatki. Postanowiłem poczekać na kogoś, kto będzie akurat wychodzić. Nie mogłem tak po prostu wybrać numeru mieszkania na domofonie i się przedstawić albo skłamać, bo przecież powszechnie wiadomo, że dużo łatwiej spławić kogoś przez domofon, niż sprzed własnych drzwi. Spojrzałem na zegarek. Powoli zbliżała się 17:00, także część mieszkańców zapewne wróciła niedawno z pracy, a na część z nich czekał pewnie pies, który od kilku godzin widział już tylko na żółto.

Tym razem moje przeczucie mnie nie zawiodło. Po kilku minutach z klatki wyszedł mops z różową obrozą, a za nim podążała jego różowa pani. Przytrzymałem drzwi, a właścicielka psa nawet mi podziękowała, za to mops głośno mnie obszczekał, zupełnie jakby poznał się na moim fortelu. Przez chwilę jeszcze przyjrzałem się temu dziwnemu psu, który paradoksalnie wyglądał na całkiem ładnego, mimo że miał taki pysk, jakby kilka dni temu zderzył się czołowo z ciężarówką. Niestety u ludzi nie do końca to tak działa.

Będąc już na klatce, wbiegłem po schodach, omijając co drugi albo nawet co trzeci stopień i dość szybko znalazłem się na trzecim piętrze, ale równie szybko z mojego wyczynu zdało sobie sprawę serce, które ustawiło puls na około 160. Trzydziestka to nie rurki z kremem, tylko zbliżające się żylaki i powolna śmierć. Odczekałem chwilę żeby odsapnąć, a następnie stanąłem naprzeciw drzwi, na których widniał numer ”7”.

– Oby siódemka okazała się szczęśliwa – powiedziałem do siebie, naciskając przycisk dzwonka, chwilę wcześniej zamykając oczy.

- Chwila. Już otwieram – odpowiedział kobiecy głos ze środka.
- No to zaczynamy – rzekłem znowu do siebie, tym razem utrzymując oczy aż zbytnio otwarte.

Rozdział 9

„Dobro jest przereklamowane, a zło jest akurat na promocji.
Jak tu nie kochać zimowych wyprzedaży?”

Nie zdążyłem nawet poprawić włosów, żeby trochę podrasować dobre, pierwsze wrażenie, bo drzwi zaczęły się już otwierać. Zdążyłem tylko pomyśleć, że jeśli pierwsze wrażenie zawiedzie, to drugie, napędzane opowieścią o samobójczym morderstwie będzie równie samobójcze, co zdanie „nie mam ochoty na melanz, lepiej się pouczmy” wypowiedziane podczas imprezy w akademiku.

Kiedy drzwi całkiem się otworzyły, bez cienia wątpliwości mogłem stwierdzić, że przede mną stoi Julia. Może nie miała tak mocnej opalenizny, jak na zdjęciu w moim portfelu, lecz było to całkiem normalne, skoro właśnie zaczynała się zima. Oczywiście istnieją dziewczyny, które w środku zimy wyglądają, jakby czciły boga słońca w łóżku z lampami – czytaj solarium, ale na szczęście Julia do nich nie należała. To, co całkowicie zgadzało się ze zdjęciem, to to, że Julia była niesamowicie piękna i miała spięte włosy w ten sam artystyczny sposób. Jednak zanim cokolwiek powiedziałem, miałem chwilowe zawieszenie umysłu, zupełnie jakby mój mózg mówił do mnie: „nie myśl przez chwilę, a ja sobie popatrzę”. Na szczęście nie trwało to zbyt długo, i z powrotem „wyczułem język w ustach” (swoją w swoich, wiem, że to nudne).

– Cześć – wykrztusiłem przez zaciśnięte zęby, więc moja radość z odzyskania sprawności umysłu była niestety trochę przedwczesna.

– Cześć. Znamy się? – zapytała Julia, unosząc wysoko brwi.

– Chodzi o Alana.

– Jesteś jego znajomym, tak? Z tego co pamiętam z ostatniej rozmowy z Alanem, to powiedział mi, że przyjdzie po swoje rzeczy jutro. Oczywiście możemy zaraz do niego zadzwonić i wydam ci jego rzeczy już teraz – powiedziała Julia, trochę zbyt mocno intonując słowo teraz.

– Nie przyszedłem tutaj po jego rzeczy. Chodzi o samobójstwo, lecz... – tutaj chciałem dodać „...nie do końca, ale to skomplikowana historia”. Julia przerwała mi w pół zdania, a jeśli wcześniej zbyt mocno zaintonowała słowo „teraz”, to tym razem głośnym krzykiem zaintonowała niemal każde słowo.

– Słuchaj. Jeśli przysłał cię Alan, żeby mnie straszyć tym, że popełni samobójstwo, jeśli do niego nie wrócę, jak to już kiedyś miało miejsce, to weź mu przekaz, że nie będę kolejny raz bawić się w negocjatora samobójców, bo negocjatorzy samobójców dostają chociaż jakieś pieniądze, a ja jako wypłatę dostanę tylko kilka nieprzespanych nocy.

– W aktualnej sytuacji najdroższy negocjator nie zarobiłby nawet na trzy bułki – powiedziałem niewyraźnie i raczej bardziej do siebie, więc Julia chyba nie do końca to usłyszała.

– Dobra. Daję ci pięciu minut – oznajmiła już trochę zrezygnowana. – Powiesz mi to, co masz do przekazania, a ja po tych pięciu minutach powiem ci, że się na nic nie zgadzam, a ty sobie pójdiesz. Umowa stoi?

Chciałem już powiedzieć „mama ci nie mówiła, że bywasz milutka?”, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem.

– Tak w ogóle to jestem Mikołaj – rzekłem, dodając do tego najlepszy uśmiech z puli moich najładniejszych uśmiechów. Miałem nadzieję, że uratuje on dobre wrażenie numer trzy. Ku mojemu zdziwieniu Julia odwzajemniła uśmiech. Także mam, dziękuję ci, że mam zęby po tobie.

– Julia – powiedziała już oficjalnie i wyciągnęła dłoń w moją stronę. Uścisnąłem ją nie za mocno, cały czas starając się podtrzymywać uśmiech. – Chcesz herbaty? – spytała po chwili.

– Czyli nie wierzysz, że wyrobię się w pięć minut?

– Czy niedopita herbata jest w tym kraju przestępstwem?

Znowu chciałem powiedzieć „mama ci nie mówiła, że bywasz milutka”, ale Julia po chwili się roześmiała i zaprosiła mnie do środka.

Jeśli wcześniej nie wiedziałem, jak wygląda jelonek Bambi, który dowiaduje się, że były cięcia budżetowe i następna część filmu nie będzie kręcona, to właśnie się dowiedziałem. Tak jak kazał Leon, opowiedziałem Julii całą historię, nie omijając absolutnie niczego. Z każdą minutą mojej opowieści oczy Julii robiły się coraz większe, na końcu zamieniając ją w tego nieszczęsnego jelonka Bambi. Z jej milczenia zdążyłem wywnioskować, że element w którym sama występowała, był prawdziwy, czyli to ona dzwoniła do Alana w nocy kilka minut przed śmiercią. Najlepszy nocny telefon zaufania jaki znam. Wszystkie tajemnice, które powiesz podczas takiej rozmowy, nigdy nie wyjdą na światło dzienne.

W dodatku podczas opowiadania tego wszystkiego zasychało mi gardło tak mocno, że zdążyłem wypić aż trzy kubki herbaty, a dobrze wiedziałem, że taka rozmowa powinna się raczej odbyć przy dużym lub nawet bardzo dużym piwie, a nie przy herbacie z miodem i cytryną.

– Powiedz mi, że to tylko taka mało śmieszna zagrywka Alana – wykrztusiła nagle Julia, kończąc tę niezręczną ciszę, która od kilku minut była przerywana tylko naszym głośnym przełykaniem herbaty. Oczywiście chwilę wcześniej spróbowała zadzwonić do Alana, lecz natknęła się na pocztę głosową. Zdawałem sobie jednak sprawę, że ta historia nadal brzmi bardzo nieprawdopodobnie, ale byłem na to przygotowany. Po wyjęciu z szarej koperty trzech zdjęć i podaniu ich Julii, poczułem

jak przez chwilę wzrasta sprzedaż chusteczek higienicznych na świecie. Julia płakała i trzęsa się na zmianę, lub może robiła to wszystko naraz. Jednak najgorsze było to, że nie wiedziałem jak się zachować, bo przecież nie byłem niczemu winny, a byłem tylko posłańcem złych wieści. Najgorsza fucha. A tak w ogóle: „Leon, twoje niespodzianki naprawdę niesamowicie działają na kobiety”.

– Teraz już mi wierzysz, że to nie jest mało śmieszna zagrywka Alana? – spytałem, kiedy Julia odrobinę się uspokoiła.

– Naprawdę nie wiem, co o tym wszystkim myśleć – rzekła cicho, a kiedy sięgała po swój kubek z herbatą, jej ręka trzęsa się tak bardzo, że szybko ją cofnęła. Tak jak myślałem, bez przynajmniej jednego piwa ta rozmowa będzie przypominać depresyjną pogawędkę z małą ilością słów.

– Mam skoczyć po jakieś piwo? – zapytałem, dopijając do końca kolejny kubek herbaty.

– Nie trzeba...

– Na pewno? Myślę, że piwo mogłoby tutaj trochę pomóc – wtrąciłem.

– Nie trzeba... nigdzie iść. – powiedziała Julia, rozcierając łzy na policzkach

– Mam dwa piwa w lodówce.

Uśmiechnąłem się i zażartowałem, że w akademiku zrobiłaby furorę, na co Julia też lekko się uśmiechnęła, wchodząc w tak zwany stan „uśmiech przez łzy”, czyli całkowite rozstrojenie emocjonalne kobiety. Mężczyźni czegoś takiego nie doświadczają, bo dwie emocje naraz to po prostu za dużo na męski umysł. Czasem nawet jedna emocja to za dużo, a później wszyscy się dziwią, że są rozwody. Psycholog Miki, tak to właśnie ja.

Bez słowa otworzyłem lodówkę i wyjąłem dwa zimne piwa. Julia wypila trzy czwarte butelki za jednym razem, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że chwilowo rozstrojone emocjonalnie dziewczyny mają różne, nietypowe supermoce.

– I ty Mikołaj zajmujesz się tą sprawą, bo dowody wskazują na ciebie. Ale według tego policjanta wypuściliby cię po kilku dniach w areszcie, jednak dopiero po przeprowadzeniu badań śladu prochu na dłoniach? A w zamian za ominięcie tych kilku dni w więzieniu musisz mu pomóc w tym śledztwie? – zapytała po chwili Julia, dopijając do końca swoje piwo, a ja dopiero się zorientowałem, że swojego nawet nie ruszyłem. Skinąłem głową i powoli zacząłem nadrabiać swoje piwne zaległości.

– Można tak powiedzieć – odparłem, biorąc kolejnego łyka, co i tak nie miało żadnego porównania do tempa Julii.

– Ale ja naprawdę nie wiem, jak miałabym ci pomóc.

Uniosłem brwi.

– Alan nie zachowywał się ostatnio jakoś dziwnie? Nie miał jakichś nowych, dziwnych znajomych? Nie zwierzał się z czegoś? Ktoś mu groził? – spytałem i od razu zdałem sobie sprawę, że w moim pytaniu było stanowczo za dużo pytań.

– Teraz to już sama nie wiem – odpowiedziała cicho Julia, a ja doskonale wiedziałem, co ma na myśli. Aktualnie była pewnie w takim szoku, że nawet nadprogramowe wyniesienie śmieci przez Alana, mogłoby się jej wydawać podejrzane. Nie chciałem też na razie poruszać tematu, czemu ich związek się

rozpadł, bo byłoby to równie urocze, jak ustawione na wannie znicze, zamiast świeczek podczas romantycznej kąpieli. W ramach dygresji, to dodajmy do tego jeszcze wannę w kształcie trumny i krew zamiast wody i mam kolejne osobiste pytanie do postaci z punktu numer trzy z moich rozważań o filmach z wampirami. Naprawdę chciałabyś się tak kąpać?

– A ta rana po lewej stronie czoła? To naprawdę twoja robota? – spytałem Julii i po chwili stwierdziłem, że to pytanie też bez problemu można byłoby zaliczyć do serii z tych najbardziej uroczych. Julia momentalnie się zaczerwieniła, a następnie skinęła głową.

– Tak jakoś wyszło. Ostatnio naprawdę mocno się kłóciliśmy, więc to rozstanie wisiało w powietrzu już od jakiegoś czasu.

Nawet nie chciałem się dowiadywać, od jakiego czasu wisiała w powietrzu ta rana na głowie, lecz i tak musiałem jakoś to skomentować.

– Ale żeby wałkiem do ciasta? – lekko krzyknąłem, dodając do tego uśmiech, którego użyłem przy drzwiach wejściowych, bo mama zawsze mi powtarza, żeby używać tylko sprawdzonych rzeczy. – Ale jakby co, to uprzedzam. Nie jestem aktualnie głodny – dodałem.

Julia kolejny raz się uśmiechnęła, tym razem z mniejszą ilością łez, więc albo piwo zaczęło działać albo szok powoli zaczął już ustępować. W końcu ile można opłakiwać swojego byłego, skoro niektóre kobiety nawet by się cieszyły z zamordowania swojego eks i chciałyby się umówić na randkę z tym, który to zrobił.

– Dobra. Mam jeszcze kilka pytań. Wszystkie są tak samo ważne, więc zacznę losowo. Wiem, że już o to pytałem, ale czy jak rozmawiałaś wtedy z Alanem, te kilka minut zanim go zamordowano nie był jakiś zdenerwowany, nie powiedział czegoś, co mogłoby nas na cokolwiek naprowadzić? – znowu użyłem za dużo pytań w jednym pytaniu. Jeśli ktoś myśli, że ten, co pyta, nie błądzi, to się grubo myli. Ten co pyta, po prostu nic nie wie.

– Naprawdę nie mam pojęcia, jak to teraz zinterpretować – Julia zmarszczyła czoło. – Alan był zdenerwowany, ale pewnie dlatego, że mu powiedziałam, aby się wyprowadził.

– Wcześniej jeszcze zerwałaś z nim przez esemesa – wtrąciłem, na co lekko się zaczerwieniła.

– No tak... To nie było zbyt mądre. Trochę wypiałam i po prostu wysłałam mu tę głupią wiadomość. Zerwanie jak w podstawówce, nie?

– Co ty. W podstawówce następnego dnia musiałaś się pokazać po prostu z nowym chłopakiem, bo kto się wtedy przejmował, żeby kończyć „związki”. Zaczynało się nowy i twój eks już wiedział, o co chodzi. W podstawówce raczej nikt nie kojarzył, co to trójkącik.

Julia pierwszy raz dzisiaj głośno się roześmiała, całkowicie odsłaniając swoje niezwykle ładne zęby. Boże, co ja bym dał, żeby zostać jej dentystą. Nawet tylko te co półroczne kontrole. Z moich dentystycznych marzeń wyrwała mnie jednak moja pierwsza wirtualna pacjentka, kontynuując swoją odpowiedź.

– Później wypiliśmy jeszcze więcej, no i zadzwoniłam do niego, żeby powiedzieć, że ma się wyprowadzić. Dzwonienie po pijaku do świeżo – byłego to już chyba poziom liceum, co?

Tym razem ja się roześmiałam.

– To już chyba poziom „całe dorosłe życie”.

Momentalnie zakląłem w duchu. Rozmawiałem ze skandalicznie ładną dziewczyną, a naszym jedynym tematem był jej były chłopak. A to że czasami doprowadzałem ją do uśmiechu, nie było w żadnym razie szczęściem w nieszczęściu, a raczej typowym większym nieszczęściem w i tak już dużym nieszczęściu. Pokazywało tylko, jak fajnie mogłoby być w innych okolicznościach. Musiałem jednak o tym zapomnieć i kontynuować ten najgorszy wywiad miesiąca.

– A ten telefon, który Alan zostawił w portierni? Widziałaś, żeby używał dwóch telefonów?

– W ogóle nie miałam pojęcia o tym drugim telefonie. Musiał go od kogoś dostać, pożyczyć... – w tym momencie Julia zrobiła dłuższą pauzę – ... albo po prostu go przede mną ukrywał.

Zapewne – westchnąłem. – A masz może jakiś pomysł, dlaczego przedstawił mi się jako Krystian? Wiem, że można nie lubić swojego imienia, ale bez przesady.

– Wiem, że się powtarzam, ale naprawdę nie znam odpowiedzi na te pytania – powiedziała Julia, spoglądając na lodówkę, jakby miała nadzieję, że znajduje się tam jeszcze jedno piwo. Studenci w akademiku często mają bardzo podobne marzenia i tak jak w tym przypadku ostatnie dwa piwa zostały już opróżnione.

– Nie wiem, czy to ma jakikolwiek związek... – dodała po chwili Julia, odrywając wzrok od lodówki. – ... ale jeden z jego znajomych ma na imię Krystian, a jak sam wiesz, Alan wychował się w domu dziecka i nigdy nie miał zbyt wielu znajomych. Zawsze miał w sobie taki dziwny dystans do ludzi, co nawet mi się podobało. Wiesz, w czasach gdy ludzie na Facebooku mają po tysiąc znajomych, on miał raptem kilkanaście osób. Ale naprawdę nie mam pojęcia, czemu miałby się podawać akurat za Krystiana, chociaż jeśli chcesz, mogę dać ci jego numer.

– Okej. To zapisz mi numer do tego Krystiana. Może on będzie coś wiedział – powiedziałem, a Julia wzięła z parapetu plik żółtych, samoprzylepnych karteczek i na jednej z nich napisała numer telefonu, sprawdzając go wcześniej na swoim telefonie.

– A broń? Wiedziałaś, że ma pistolet? – zapytałem, ale momentalnie się zorientowałem, że było to o jedno pytanie za dużo. Julia wybuchnęła płaczem, chociaż wydawało mi się, że ten punkt programu został już dawno opanowany. Kurde. Mogłem jej zostawić nawet to drugie piwo.

– Mikołaj, ja chyba go w ogóle nie znałam... – rzekła cicho Julia, próbując opanować swoje chwilowe roztrzęsienie.

– Też mi nowość i wielkie odkrycie – pomyślałem ironicznie, niemal sylabizując w głowie każde słowo. Gdyby dziewczyny dobrze znały swoich chłopaków, to związki trwałyby maksymalnie tydzień albo w ogóle by się nie zaczynały.

– Dobra. Ja będę już lecieć, bo i tak chyba więcej już nic nie wymyślimy – skłamałem, bo miałem w zanadrzu jeszcze kilka pytań, ale mogło to trochę poczekać. – Zapisz sobie mój numer i gdybyś sobie coś przypomniała, to daj mi znać – dodałem, nie zdając sobie do końca sprawy, że zabrzmiałem jak z taniego serialu kryminalnego. Przepraszam. Bardziej jak z serialu kryminalnego bez jakiegokolwiek budżetu.

– Okej – odparła Julia. – Ale jest jeszcze coś. Jeśli miałabym wskazać osobę, która najlepiej znała Alana, to była by to jego wychowawczyni z domu dziecka – pani Karolina. Może ona będzie coś wiedzieć, bo Alan wciąż ją regularnie odwiedzał. – Julia w ostatniej chwili zmieniła słowo „odwiedza” na „odwiedzał”, dodając tylko tą jedną mroczną literkę, która z całego zdania czyniła czas przeszły.

„Tyle jest warte nasze życie. Jedną literkę na końcu czasownika” – pomyślałem, co natychmiast wywindowało mnie na okładkę czasopisma „Najbardziej banalne teksty, które dzisiaj usłyszysz i które chciałby ukraść Paulo Coelho”.

Chciałem się jeszcze spytać o numer telefonu do pani Karoliny, ale Julia ubiegła moje pytanie.

– Nie mam do niej żadnego telefonu, ale mogę ci podać adres tego domu dziecka. Pani Karolina często jest tam nawet do 22:00.

Skinąłem głową i Julia dopisała adres na żółtej karteczce poniżej numeru do Krystiana. Nie chciałem już mówić, że ten adres mógłbym wziąć od Leona, bo przecież lepiej dostać tą samą rzecz od ładnej dziewczyny niż od trzydziestoletniego policjanta. Julia przesunęła karteczkę w moją stronę, a ja po przeczytaniu adresu i użyciu swojego wewnętrznego GPS’a, stwierdziłem, że w niedługim czeka mnie wycieczka na drugi koniec miasta. Ciekawe w jakie rejony zaprowadzi mnie wycieczka do Krystiana?

Uniosłem wzrok i spojrzałem na Julię. Jeśli wcześniej płakała lub się uśmiechała, to teraz w ogóle nie było tego widać. Zupełnie jakby wyczerpała ilość dostępnych środków na koncie jakichkolwiek emocji. Nie wiem, czy dostatecznie dobrze znam się na ludziach, ale w tym momencie byłem niemal pewny, że Julia nie miała żadnego pojęcia, co się stało z Alanem. Spojrzałem jeszcze raz na żółtą karteczkę. Dwa imiona. Oba na literę „k”. Dodałbym jeszcze jedno słowo na „k”, które aktualnie mógłbym bez przerwy powtarzać w myślach. Przyszedłem tutaj po jakieś odpowiedzi, a miałem teraz chyba ze trzy razy więcej pytań i dwie nowe osoby pretendujące do tytułu o najgorszy wywiad miesiąca.

Wstałem i powoli zacząłem iść w stronę wyjścia. Zatrzymałem się obok drzwi i moją uwagę przykuł duży, oprawiony plakat przedstawiający Trenta Reznora, czyli muzyka odpowiedzialnego za zespół Nine Inch Nails.

– Lubisz Nine Inch Nails? – spytałem, cały czas wpatrując się w plakat.

– Kochałam, ale to było w liceum. Wiesz... Do dzisiaj lubię posłuchać, ale to już nie to samo. W liceum jakoś inaczej wchłania się muzykę, jeśli wiesz, o co mi chodzi – odparła Julia, także spoglądając na Trenta.

Uśmiechnąłem się, bo dobrze wiedziałem, co ma na myśli. W liceum często się wydaje, że muzyka jest jedynym, prawdziwym przyjacielem.

– Lubię też ich logo. Kiedyś nawet chciałam je sobie wytatuować, ale to było właśnie chyba w liceum – Julia głośno się roześmiała.

Momentalnie przywołałem w myślach ten ich prosty, ale jakże genialny znak graficzny. NIN, czyli pierwsze litery z każdego słowa nazwy. I jeszcze to jedno lustrzane „N”.

Przeniosłem wzrok z plakatu z powrotem na Julię. Dzisiejsza rozmowa pozostanie w niej pewnie na długo, bo sprawiała wrażenie, że po moim wyjściu parokrotnie przesłucha utwór Nine Inch Nails pod tytułem „Hurt”. Początek pierwszej zwrotki pasował teraz do niej aż nazbyt idealnie. Naprawdę polecam sprawdzić.

– Powodzenia Mikołaj – powiedziała cicho Julia, kiedy zacząłem otwierać drzwi.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – odpowiedziałem i tym razem zdałem sobie sprawę, że jeśli kilka minut zabrzmiałem jak z taniego kryminału, to teraz swojej odpowiedzi nie miałem do czego porównać, bo chyba już nie robią tak tanich melodramatów.

Kiedy znalazłem się na klatce schodowej, jeszcze raz rzuciłem okiem na żółtą karteczkę, którą wciąż trzymałem w dłoni. Krystian czy pani Karolina? Kogo z tej dwójki wybrać na kolejny wywiad?

Rozdział 10

„Życie jest jak Woodstock. Wchodzisz za darmo, ale dalej musisz radzić sobie sam”

Jak to często w życiu bywa i tym razem życie wybrało za mnie, ponieważ kiedy spróbowałem połączyć się z Krystianem, odezwała się jego poczta głosowa. Miałem nadzieję, że Krystian, w przeciwieństwie do Alana, może kiedyś włączy telefon. Ten drugi mógł teraz jedynie dzwonić na międzymiastowe z Nieba do Piekła albo na odwrót. Wszystko zależało od tego, gdzie wylądował. Na szczęście tam łatwo zapamiętać kierunkowe.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła 18:30, czyli jeśli Julia miała rację, to mogłem odwiedzić panią Karolinę w przeciągu około trzech godzin. Zakładałem w duchu na samą myśl o tej długiej podróży, lecz wiedziałem, że mnie to nie ominie, dlatego szybkim krokiem ruszyłem w stronę przystanku autobusowego. Przechodząc drugi raz przez to obskurne przejście podziemne, z przykrością musiałem stwierdzić, że Banksy nadal się nie pojawił.

Kiedy byłem około 200 metrów od przystanku, dostrzegłem podjeżdżający autobus. Moje serce (metaforycznie i fizycznie) mówiło „nie”, mój rozum mówił „nie”, moje nogi mówiły „nie”. Nawet moi rodzice powiedzieliby „nie”, ale ja na przekór temu wszystkiemu postanowiłem poczuć namiastkę olimpijskiego sprintu na 200 metrów. Będąc na sto pięćdziesiątym metrze, niemal słyszałem, jak moje serce wspomina coś o śmierci klinicznej, a rozum jeszcze szybko dodaje, że jestem głupim naiwniakiem o duszy pseudo – sportowca, bo autobus właśnie odjechał. Potruchtałem jeszcze 30 metrów i zatrzymałem się, rozkładając ręce w geście zrezygnowania.

Wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego, ponieważ autobus po przejechaniu kilku metrów zatrzymał się i tylne drzwi otworzyły się specjalnie dla mnie. Spóźniony prezent od Boga na trzydzieste urodziny? Bo Szatan pewnie podstawiłby czarne Porsche, ale za to z pustym bakiem i bez papierów. W życiu nic nie dają za darmo, nawet jeśli na pierwszy rzut oka tak to wygląda.

Przeszedłem przez trochę zatłoczony autobus by podziękować kierowcy. Znajdując się praktycznie tylko pół metra od niego, rzuciłem najbardziej szczere dzięki, jakie moje gardło było w stanie z siebie wydobyć. Kierowca szeroko się uśmiechnął, bo zapewne zdawał sobie sprawę, że właśnie uratował mnie przed zawałem.

Opadłem ze zmęczenia na najbliższe wolne miejsce i przymknąłem oczy. Czekala mnie trzydziestominutowa podróż, więc mogłem się trochę zdrzemnąć. Nie martwiłem się zbytnio o to, że przegapię przystanek, bo i tak wysiadałem na końcowym. Przed zapadnięciem w sen broniła mnie jednak jakoś dróg na

przedmieściach, które z każdym kolejnym kilometrem robiły się coraz bardziej wyboiste.

Wyciągnąłem telefon i wszedłem na stronę internetową domu dziecka, w którym mieszkał Alan. W dzisiejszych czasach chyba wszystko ma swoją stronę internetową, ale najgorzej jest chyba wtedy, gdy strona domu dziecka jest czyjąś stroną domową. Bardzo smutne oraz ironiczne zestawienie dwóch słów.

Po przejrzeniu całej witryny, włączając w to historię, galerię i numer konta, na który można wpłacać charytatywne datki, lekko szturchnął mnie kierowca, przypominając, że znajdujemy się już na końcowym. Podziękowałem mu za drugie uratowanie życia, po czym opuściłem autobus.

Natychmiast poczułem się, jakbym znalazł się na przedmieściach przedmieść. Nie było tutaj praktycznie nic, oprócz kilku domów, które i tak wyglądały na opuszczone. Główna i jedyna droga prowadziła do ogromnego budynku będącego właśnie sierocińcem. Z tego co zapamiętałem ze strony internetowej, to powstał on tutaj jakieś 40 lat temu, kiedy miliarder, do którego należał ten dom, na chwilę przed śmiercią zapisał go miastu z klauzulą, żeby utworzyć w nim dom dziecka. Podobno była o to niezła zadyma, bo nie zapisał nic swoim trzem córkom, które później klóciły się o ten dom w sądzie. Naprawdę nie wiem, jakie imprezy musiały tutaj urządzać, że staruszek aż tak się wkurzył.

Będąc jakieś 20 metrów od głównego wejścia drogę przebiegł mi biały kot. Nie byłem pewny, czy to szczęśliwy znak, czy po prostu czarny kot stwierdził, że stopień pecha też ma swoje granice i w pewne rzeczy lepiej się nie pakować.

Kiedy w końcu stanąłem przed wielkimi drewnianymi drzwiami, zorientowałem się, że nie ma tutaj żadnego dzwonka, tylko starodawnie wyglądająca kołatka. Zapewne była całkiem niezłą pułapką dla chłopaków wracających z monopolowego podczas imprez u trzech sióstr pominiętych w testamencie.

Zastukałem trzy razy, a z racji tego, że było już ciemno wyglądałem jak... Tak. Jak z najtańszego horroru świata. Po około trzydziestu sekundach drzwi się otworzyły i stanął w nich chłopiec wyglądający na jakieś 14 lat. Nosił on okulary z grubymi oprawkami i jeszcze grubszymi szklami, co sprawiało, że jego oczy wyglądały, jakby chciały zrobić się większe od głowy. Postacie japońskiej mangi poczuły konkurencję.

– Słucham? – spytał chłopiec, robiąc gest unoszonych brwi, lecz same brwi nadal były zasłonięte przez grube oprawki.

– Cześć. Zostałem może panią Karolinę? – odpowiedziałem w formie pytającej. Kurde. Czy kiedyś nie było takiego teleturnieju?

– A kim pan jest? – ponownie spytał chłopiec, a jego brwi cały czas walczyły, aby wyjść poza granicę oprawek.

– To ja jestem detektywem w tej historii i powinienem mieć na to swój mały monopol – pomyślałem, ale oszukałem swoje myśli i powiedziałem, że jestem przyjacielem, bo tak się mówi w filmach, jeśli się kogoś w ogóle nie zna.

Chłopiec przypatrywał mi się przez dłuższą chwilę, niczym bramkarz w jakimś drogim lokalu, a po swojej pomyślnej weryfikacji powiedział, że pani Karolina jest w swoim pokoju na górze.

– A ten pokój ma jakiś numer czy coś? – spytałem.

– Pozna pan po kolorowych drzwiach – odparł dzieciak, a następnie wbiegł do środka, znikając w jakimś bocznym korytarzu.

Kiedy sam znalazłem się wewnątrz, rozpościerał się przede mną ogromny hol, a na jego środku znajdowały się szerokie schody prowadzące na pierwsze piętro. Naprawdę powoli zaczynałem żałować, że nie mogłem wziąć udziału chociaż w jednej z tych „siostrzanych” imprez.

Będąc na początku schodów, spostrzegłem, że z prawej strony przygląda mi się grupka dzieci. Kiedy spojrzałem w ich stronę, zachichotały i uciekły do jakiegoś pokoju. Od razu przypomniało mi się, jak to fajnie było być dzieckiem, kiedy można było się roześmiać i uciec od prawie każdego problemu, lecz po chwili zdałem sobie sprawę, że to przecież osierocone dzieciaki i nieważne jak szybko będą biegać, i tak będzie im ciężko uciec od tego całego bagna.

Gdy znalazłem się na piętrze, od razu zrozumiałem, o co chodziło chłopcu w okularach. Wśród kilku drzwi jedno były szczególne, to znaczy pokryte niezliczoną ilością laurów z okazji dnia matki, walentynek i urodzin. Najnowsze kartki urodzinowe życzyły szczęśliwych 67 – ych, tym samym pierwszy raz od mojej trzydziestki poczułem się strasznie młodo. Przypatrując się tym wszystkim ładnym i trochę mniej udanym kartkom, nie usłyszałem, że ktoś stanął kilka metrów za mną.

– Rzadko odwiedzają mnie tutaj koneserzy sztuki – rzekła starsza pani, sympatycznie się uśmiechając.

Nie było wątpliwości, że była to pani Karolina. Mimo że kartki urodzinowe twierdziły, że ma 67 lat, to wyglądała najwyżej na 60. Była może trochę przysadzista, ale na pewno nie gruba. Należy pamiętać, że był to komplement w stosunku do pani Karoliny, której pasował image sympatycznej babci, jednak młodsze kobiety nigdy nie wybaczą stwierdzenia „Jesteś przysadzista, ale na pewno nie gruba”. Naprawdę nigdy.

– Dzień dobry. Pani musi być.... panią Karoliną – odpowiedziałem, próbując zrobić uśmiech na najbardziej kochającego wnuczka świata.

– A pan jest?

– Mikołaj Zarzeczny – odparłem, wyciągając rękę w jej stronę, chociaż wiem, że w ramach *savoir – vivre*’u ona powinna zrobić to pierwsza. Sympatyczne starsze panie jednak zawsze wybaczą takie wpadki. Naprawdę zawsze.

– Karolina Jeziorska – odpowiedziała, znowu sympatycznie się uśmiechając oraz odwzajemniając uścisk dłoni. – Co pana sprowadza do mnie, panie Mikołaju?

– Niestety niezbyt wesoła sprawa, ale myślę, że dosyć ważna – tym razem zrobiłem minę na najbardziej smutnego wnuczka świata.

– Osobiście dzielę ważne sprawy na jednego, dwa lub trzy papierosy naraz? Który poziom reprezentuje pańska?

– Jest tu blisko jakaś hurtownia? Bo chyba będziemy potrzebować minimum trzech kartonów.

Pani Karolina tak szybko otworzyła drzwi, że słabiej przyklejone laurki głośno zatrzepotały.

– Zapraszam do środka. Mam trochę zapasów.

Patrzyłem na panią Karolinę, która właśnie kończyła swojego piątego albo szóstego papierosa. Do trzech kartonów było jeszcze daleko, ale trzy paczki spokojnie były w jej zasięgu. Przeniosłem wzrok na opakowanie leżące na biurku, w której znajdowały się jeszcze trzy papierosy i każdy, niczym finalistki wyborów miss świata, wołał, żeby go wybrać. Pani Karolina była jednak bardziej dobroduszną niż jury konkursowe, ponieważ w ciągu dziesięciu minut wybrała je wszystkie. Podsumowując. Podczas opowiadania po raz kolejny mojej historii o Alanie i dziesięć minut po niej, spaliła dziewięć papierosów, a jeśli mówiła prawdę o swoich zapasach, wynik nie był jeszcze zamknięty.

Po chwili zamknęła okno, a następnie z powrotem usiadła naprzeciwko mnie, rzucając jeszcze okiem na porozrzucane na biurku zdjęcia z sekcji zwłok Alana. (Tak. I tym razem bez tej niespodzianki się nie obyło). Schowała zdjęcia do szarej koperty, a następnie sięgnęła ręką w stronę paczki papierosów, lecz w połowie drogi zorientowała się, że przez ostatnie 40 minut miała bardzo podwyższone spalanie. W przeciwieństwie do Julii nie płakała ani nie trzęsła się. W końcu miała przecież 67 lat. W takim wieku komedia romantyczna pod tytułem „Cztery wesela i pogrzeb” zmienia się w „Cztery pogrzeby i rozwód”.

– To czego pan ode mnie oczekuje? – spytała, a ja odetchnąłem w duchu, bo w końcu ktoś przerwał tę niezręczną ciszę.

– Odpowiedzi. Informacji. Czegokolwiek, co mnie przybliży do końca tej historii, bo porównując to do filmu w kinie, aktualnie jestem gdzieś w połowie reklam. I w dodatku zapomniałem kupić popcorn.

– I myśli pan, że ja mogę cokolwiek pomóc?

– Julia tak twierdzi. To znaczy powiedziała, że pani jest jedną z niewielu osób, które znały Alana najlepiej.

– Ach Julia. Nie znam jej za dobrze, ale z tego co pamiętam, to niezwykle piękna dziewczyna. W dodatku sprawiała wrażenie bardzo rodzinnej osoby, a to chyba najbardziej potrzebna cecha u kobiet, które spotykają się z mężczyznami wychowanymi w domu dziecka.

Przełknąłem ślinę. Najwidoczniej pani Karolina nie miała żadnego pojęcia o akcji z wałkiem do ciasta. Chociaż to może jest nawet trochę rodzinne? Niedzielne wypieki czy coś w tym rodzaju.

– Naprawdę nie przypomina sobie pani czegoś, co mogłoby mi pomóc?

– Nie wiem. Widziałam Alana ostatni raz około dwa tygodnie temu. To, że dał mi inne czekoladki niż zwykle, raczej panu nie pomoże – rzekła pani Karolina z lekkim uśmiechem, który pomimo tego że był trochę wymuszony, nadal był sympatyczny.

Uśmiechnąłem się w ten sam wymuszony, ale nie wiem, czy tak samo sympatyczny sposób. W jednym z wielu seriali kryminalnych na innym rodzaju czekoladek zostałaby pewnie oparta cała fabuła, ale w tym przypadku było to nic nieznaczącą bzdurą.

– A jego rodzina? Naprawdę nikt go tutaj nie odwiedzał? Przecież każdy ma jakąś dalszą rodzinę, która wpada chociaż raz do roku.

Pani Karolina wstała i ściągnęła nową paczkę papierosów z półki z książkami. Przez chwilę przeszła mi przez głowę myśl, że wygląda to jak usprawiedliwienie typu – „wiem, że dużo palę, ale chociaż czytam książki”.

– To dom dziecka. Tutaj naprawdę rzadko ktoś kogoś odwiedza. A zwłaszcza ktoś z rodziny – rzekła pani Karolina, zaciągając się papierosem. Z moich osobistych i bezsensownych wyliczeń był to już dziesiąty. – Chociaż... – powiedziała pomiędzy jednym a drugim wypuszczeniem dymu. – ... zanim Alan się stąd wyprowadził, kilka razy odwiedziła go tutaj jego daleka ciotka. Dokładnie jej nie pamiętam, bo było to jakieś trzy lata temu, a przy takiej ilości dzieci i rzeczy, które trzeba przy nich spamiętać, mózg zaciera inne zbędne informacje. Z tego co kojarzę, to mam chyba nawet gdzieś jej zdjęcie. Zrobiłam je Alanowi na pamiątkę, a on zawsze zapominał je zabrać. Możemy podejść do archiwum, ale...

– To, że przyniesie pani to zdjęcie, raczej mi nie pomoże – wtrąciłem.

– Jest pan bystry panie Mikołaju.

– To akurat czasem pomaga.

Pani Karolina uśmiechnęła się. Nadal wyglądało to na trochę wymuszony uśmiech, ale na pewno odrobinę mniej, niż kilka chwil wcześniej.

– Jedyne co mogę zrobić, to dać panu całą teczkę Alana z archiwum. Wiem, że może sprawiam wrażenie, jakby jego śmierć nie wstrząsnęła mną tak bardzo, jak powinna, ale niech pan pamięta, że jeszcze dzisiaj będę się widzieć z wieloma swoimi podopiecznymi. Oni nie mogą zobaczyć jakiegokolwiek smutku we mnie, bo i tak mają go już nadmiar w sobie. Popłaczę sobie, kiedy położę się spać, czyli około dwudziestej trzeciej. I to tylko pięć minut, bo muszę się wyspać. Dzieci nie mogą zobaczyć, że jestem w słabszej formie.

Lekko się wzdrygnąłem, bo dawno nie słyszałem czegoś tak smutnego i prawdziwego naraz.

– Ale chociaż Bóg wymyślił papierosy – rzekła pani Karolina sięgając po kolejnego dostarczyciela nikotyny. To był już jedenasty, czyli praktycznie drużyna piłkarska „Marlboro United”.

– A później Szatan wymyślił akcyzę – odparłem, a pani Karolina pierwszy raz, odkąd dowiedziała się o śmierci Alana, wybuchnęła naprawdę niemal szczerym i nieskrępowanym śmiechem. – Bóg chciał to jeszcze naprawić sklepami wolnocłowymi na lotniskach, ale to już nie to samo – dodałem.

– To przejdzie się pan ze mną do archiwum? – spytała pani Karolina, powoli wstając z krzesła, jakby chciała pozostawić mi te kilka sekund na podjęcie decyzji.

– Oczywiście. Ale... – przeciągnąłem.

Pani Karolina uśmiechnęła się.

– ...to, że pójdzie pan ze mną, raczej mi w niczym nie pomoże. Dziewczyny muszą za panem szaleć, panie Mikołaju.

Czy takie urocze babcie kiedykolwiek się mylą?

Przeszliśmy szybko do zachodniego skrzydła budynku, mijając po drodze kilkoro dzieci, które po zaśpiewaniu piosenki albo powiedzeniu wierszyka dostawały czekoladowego cukierka od pani Karoliny. Show business jest naprawdę wszędzie.

Po chwili znaleźliśmy się przed dużymi, staro wyglądającymi drzwiami, które pani Karolina otworzyła równie wiekowym kluczem. Kiedy weszliśmy do środka, zobaczyłem rzędy szafek, na których nalepione były kolejne litery alfabetu, zupełnie jakby konkretna litera sponsorowała określoną szafkę. Czy przypadkiem podobnego motywu nie było w Ulicy Sezamkowej? Dzisiejszy odcinek sponsorowała literka „M” i cyferka „6”. Stęskniłem się za młodością i Ciasteczkowym Potworem.

Pani Karolina podeszła do tej z literą „S” i zaczęła kartkować znajdujące się w niej koperty. Po jakiejś minucie trzymała w dłoni trochę pożółkłą kopertę z napisem „Alan Świderski”. Wyjęła zawartość, która składała się z dokumentów i kilku zdjęć.

– To jest ta daleka ciotka, która odwiedziła Alana parę razy krótko przed jego wyprowadzką – powiedziała, podając mi jedną z fotografii.

Gdy spojrzałem na zdjęcie, przez moje ciało przeszedł mimowolny dreszcz.

– Czy nie obrazi się pani, gdy poproszę panią o papierosa? – spytałem, słysząc w myślach jej dzisiejsze słowa: „ale na szczęście Bóg wymyślił papierosy”. Wydawały mi się teraz najmądrzejszymi na świecie.

Znowu spojrzałem na zdjęcie, na którym był Alan z tą kobietą. Swoją ciotką i jednocześnie sprzątaczką z mojego akademika. Panią Barską.

Rozdział 11

„Wybór pomiędzy sercem a rozumem jest wyborem pomiędzy
super mocnym mięśniem z impulsem elektrycznym,
a dziwną galaretką”

Przez chwilę wpatrywałem się w szafkę z literą „S” i próbowałem poskładać pędzące myśli. Czy to wszystko mogło być takie proste? Pani Barska, czyli ciotka Alana. Czy to ona go zabiła? Niektóre elementy zaczynały pasować, ale niektóre robiły się jeszcze trudniejsze, zupełnie jakbym zamienił puzzle 1000 elementów na puzzle 5000, czyli miałem więcej informacji, ale dużo trudniej było to wszystko poukładać. Dalej nie wiedziałem, co Alan robił w nocy akademiku, a jeśli wersja z panią Barską była tą właściwą, to co ona tam robiła? I jaki miała motyw, żeby zabić kogoś ze swojej dalekiej rodziny, skoro kilka lat temu odwiedziła go nawet parę razy w domu dziecka. Ale brak odcisków palców na broni (oprócz moich) idealnie pasował. Bo kto jak kto, ale sprzątaczką ma zawsze przy sobie gumowe rękawiczki.

– To chce pan tego papierosa? – spytała nagle pani Karolina, a ja dopiero się zorientowałem, że czekała z wyciągniętą paczką już pół minuty.

– Jasne. Ale to sprawa na co najmniej trzy papierosy.

Pani Karolina na moment się uśmiechnęła.

– Właśnie tak myślałam.

– Tak łatwo mnie przejrzeć? Myślałem, że jestem bardziej tajemniczy, bo podobny kobiety to kochają.

– Kobiety kochają przystojnych i sympatycznych. Same mają już tyle tajemnic, że im w zupełności wystarczy. To kim jest ta ciotka Alana?

– Pracuje w moim akademiku jako sprzątaczką.

– I myśli pan, że to ona go zabiła?

– Nie wiem – odparłem, sięgając po papierosa. – Ale wiem, że właśnie wygrała spotkanie ze mną.

Pani Karolina podeszła do okna i otworzyła je szybkim ruchem ręki. Wyciągnęła z kieszeni zapalniczkę i po kilku sekundach końcówki naszych papierosów intensywnie się żarzyły.

– Jeśli okaże się, że to ona... – powiedziała spokojnym głosem – ... proszę dać mi znać. Chcę wiedzieć, kto go zabił.

– Widzę, że mamy podobne marzenia – odparłem, a następnie zaciągnąłem się papierosem, co spowodowało u mnie lekki kaszel. Praktycznie nie palę, więc dym papierosowy nie jest zbyt dobrze tolerowany przez mój organizm. Ale w zamian każdy papieros kojarzy mi się z gówniarskimi próbami palenia w szkole podstawowej. Tak. Już chyba kiedyś coś wspominałem o głupich sposobach odmładzania się.

Pani Karolina usiadła nagle na parapecie, a ja zrobiłem to samo, kolejny raz przenosząc się do młodzieńczych czasów, tym razem do licealnego popalania w toalecie. To już cały jeden poziom wyżej.

– Wie pan czego się boję panie Mikołaju?

Uniosłem brwi, kolejny raz się zaciągając, lecz na szczęście tym razem nie doznałem żadnego ataku kaszlu. Pani Karolina westchnęła, głośno wypuszczając dym, ale po chwili zmieniła jego kierunek, także się zaciągając. Gdyby ktoś patrzył na tę scenę z boku, zapewne by stwierdził, że to wszystko wygląda odrobinę komicznie. Trzydziestolatek i prawie siedemdziesięcioletnia kobieta, którzy poznali się niecałą godzinę temu, siedzą na parapecie w domu dziecka i palą papierosy.

– Jak ja mam przygotować te wszystkie dzieci do życia w tym popapranym świecie... – zaczęła. –...gdzie one na starcie mają już minus sto punktów. Zresztą co ja mówię. Minus tysiąc, jeśli nie minus milion. Kojarzy pan bajkę o Kopciuszku albo o Dziewczynce z zapalkami?

– Tak. Złote przeboje dzieciństwa.

– Niech pan sobie teraz wyobrazi, że gdyby to działo się w dzisiejszych czasach, to Kopciuszek zgubiłby paczkę prezerwatyw, a Dziewczynka z zapalkami byłaby potrzebna tylko do odpalania papierosów.

Wybuchnąłem mimowolnym śmiechem.

– Co do Kopciuszka to mogę się zgodzić, ale zamiast Dziewczynki z zapalkami wystarczyłaby tylko pani.

Tym razem pani Karolina się roześmiała, a ja zacząłem się zastanawiać, czy porównanie odnośnie kopciuszka było trafne. Bo niby jak mieliby jej szukać na podstawie tych prezerwatyw? Lubiła jakiś nietypowy smak? Na szczęście zachowałem te przemyślenia dla siebie.

Nagle się zorientowałem, że mój papieros to już praktycznie sam filtr, więc wyrzuciłem go przez okno, co nie umknęło uwadze pani Karoliny, która natychmiast skarciła mnie wzrokiem. Pozostało mi się tylko uśmiechnąć i wzruszyć ramionami. Pani Karolina po chwili zrobiła to samo w identycznej kolejności, czyli wyrzuciła przez okno dopalonego papierosa, uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. Było to tak śmiesznie i jednocześnie urocze, że przez chwilę nawet zapomniałem, po co tutaj przyszedłem i czego się dowiedziałem.

– A wie pani może, o której mam autobus? – spytałem, przypominając sobie, że przecież muszę jeszcze zadzwonić do Leona i wszystko mu opowiedzieć, lecz postanowiłem to zrobić w czasie drogi na przystanek.

Pani Karolina sprawdziła godzinę na swoim telefonie, a następnie zrobiła kwaśną minę.

– Dochodzi dwudziesta, więc ma pan autobus za jakieś 40 minut. O tej godzinie kursują one tutaj naprawdę rzadko. Dom dziecka nie jest jakąś szczególną atrakcją dla ludzi z centrum.

Już chciałem spytać o kolejnego papierosa, lecz pani Karolina mnie uprzedziła.

– To może spalimy po jeszcze jednym, a później pomoże mi pan w świetlicy włączyć jakąś bajkę dzieciom? Zawsze mam problem z tym DVD i rzutnikiem.

– Pod jednym warunkiem. Nie każe mi pani włączyć Kopciuszka ani Dziewczynki z zapalkami w swoich dziwnych wersjach.

Pani Karolina zachichotała, a po chwili trzymała w jednej ręce paczkę papierosów, a w drugiej zapalniczkę.

Zeszliśmy na dół i od razu spostrzegłem grupkę dzieci, które czekały obok drzwi do świetlicy. Kiedy się zbliżyliśmy, zaczęły się przekrzykiwać, że ciężko było zrozumieć, o co im chodzi.

Pani Karolina szepnęła mi na ucho, że po prostu są podekscytowane nieznanym gościem i zaleciła mi potwierdzać wszystko, co o mnie powie albo chociaż nie zaprzeczać. Następnie przedstawiła mnie jako przyjaciela z bardzo daleka, który przyjechał w odwiedziny. Zaznaczyła, aby się ładnie zachowywać, chociaż już zaczynałem mówić, że nie trzeba, lecz pani Karolina uciszyła mnie wzrokiem. Dzieci na chwilę się uspokoiły, ale pamięć krótkotrwała u dzieci jest jeszcze bardziej krótkotrwała niż u dorosłych, więc po jakichś 30 sekundach krzyki rozpoczęły się na nowo.

Wszedłem do świetlicy, przepuszczając przed sobą dzieciaki, które chciały zająć jak najlepsze miejsce. Zupełnie odwrotnie niż na wykładach profesora Gucwy, miejsca z przodu były najbardziej oblegane. Pani Karolina wskazała mi szafkę, gdzie stało DVD, a po kilku minutach wszystko, łącznie z rzutnikiem, było gotowe do wyświetlenia filmu. Brakowało tylko najważniejszego. Samego filmu. To znaczy znajdowało się ich dużo w kartonie, który stał obok DVD, ale przy tylu dzieciach najtrudniejszy jest zawsze wybór tego właściwego.

Po kilkusekundowym przewertowaniu zawartości kartonu wybrałem dwa. Nieśmiertelny „Król Lew” oraz „Batman: Animated Series”. Kiedy pokazałem płytę z Królem Lwem dziewczynki krzyknęły w geście zachwytu, a większość chłopców pewnie by zaczęła gwizdać, gdyby posiadali taką umiejętność. Na razie ograniczyli się do basowego buczenia. Kiedy pokazałem płytę z Batmanem, reakcja była odwrotna.

Spojrzałem na panią Karolinę, żeby mi jakoś pomogła, ale kiedy napotkałem jej wzrok, wszystko zrozumiałem. Uśmiechnąłem się tylko i poruszyłem wargami, jakbym mówił „jest pani straszna”. Przecież ona na pewno nie ma żadnych trudności z obsługą DVD i rzutnika, tylko ma problemy z wyborem odpowiedniego filmu. Jak łatwo zauważyć, postanowiła w prosty sposób rozwiązać ten problem.

Dzieci nadal kłóciły się, kto jest lepszy, Simba czy Batman, a znowu zwróciłem się w stronę pani Karoliny, która cicho powiedziała „dasz radę”. Wziąłem głęboki oddech i rozpocząłem swój chytry plan.

– Niestety moi drodzy nastąpił tutaj poważny konflikt interesów, więc mamy nikłe szanse na dogadanie się. Ale chciałbym wam wyraźnie zaznaczyć, że jeżeli

z dziewczynami będziecie kłócić się tylko o to, jaki film obejrzeć, to będziecie najszczęśliwszymi mężczyznami świata. I mimo że wydaje się wam to niewyobrażalnie głupie, to już za kilka lat się o tym przekonacie.

– Ale filmy dla dziewczyn są takie gejowskie – krzyknął nagle jeden z chłopców, ale nie nacieszył się zbyt długo swoim komentarzem, bo pani Karolina kazała mu wyjść i przez 10 minut przemyśleć swoje zachowanie. Szczerze wątpiłem, że przez tyle czasu można nagle zmienić swój gust filmowy. Kiedy chłopiec znalazł się za drzwiami, niektóre dzieciaki próbowały się dowiedzieć, co to znaczy „gejowski”, ale pani Karolina ukróciła rozprzestrzenianie się tej informacji.

– A ma pan dziewczynę? – spytał po chwili chłopiec w grubych okularach, ten sam, który otworzył mi drzwi wejściowe.

– Aktualnie nie. Pewnego razu to ja postanowiłem wybrać film i...

Nie zdążyłem dokończyć, bo dzieci łącznie z panią Karoliną wybuchnęli śmiechem, a drużyna chłopców zgodziła się w końcu na Króla Lwa. Zaznaczyli jednak, że to ostatni raz. Nawet nie wiedzieli, jak bardzo się mylą, ale przynajmniej mogłem teraz spokojnie włączyć film.

Kiedy miałem już wychodzić na autobus, do sali weszła dziewczynka z gitarą, wyglądająca na jakieś 12 lat. Miała kręcone blond włosy i duże, jasne oczy. Wyglądała niemal jak postać z muzycznej kreskówki.

– Mogłabym coś zagrać? – spytała, ale prawie wszyscy chłopcy chóralnie krzyknęli: „Oglądamy teraz”.

– Teraz to niemal zarząd kółka filmowego – pomyślałem ironicznie.

Dziewczynka spuściła głowę i odwróciła się w stronę drzwi, aby opuścić salę. Pierwsze koncerty nigdy nie są łatwe.

Pani Karolina powiedziała, żeby poczekała na korytarzu, bo zaraz do niej przyjdzie. Zerwałem się z krzesła i szepnąłem, że się tym zajmę. Uniosła jedną brew w geście zdziwienia, ale się zgodziła.

Wyszedłem na korytarz. Dziewczynka siedziała na schodach, cicho coś grając.

– Cześć. Jestem Mikołaj.

– Święty Mikołaj? – spytała, unosząc wzrok.

– Nie do końca. Na takie szlachetne tytuły trzeba sobie zapracować. Przyjmijmy, że po prostu Mikołaj. A ty jak masz na imię?

– Anastazja.

– Ładne imię. A co grasz?

– „Nothing else matters” Metallici. To znaczy początek.

Uśmiechnąłem się. Najprostszy patent na gitarze w historii rocka wymagający użycia tylko pustych strun. Jednak później nie jest już tak łatwo.

– Lubisz Metallicę?

– Kocham. I jeszcze Red Hot Chili Peppers – odpowiedziała Anastazja, wyraźnie pogodniej.

Kurde. Czy podczas studniówki nie miałem jakiejś jednonocnej przygody z dzieckiem w skutkach? Przecież właśnie taka byłaby moja córka. Grająca na gitarze i kochająca Metallicę oraz Red Hot Chili Peppers.

– A umiesz jakąś inną piosenkę?
– Tylko kilka podstawowych chwytów. Niestety nie mam nauczyciela.
– Ale zakładam, że kojarzysz „Californication” Red Hotów i pewnie chciałabyś się nauczyć.

Anastazja skinęła głową, więc przez następne kilkanaście minut wymienialiśmy między sobą gitarę. Ja pokazywałem jej kolejny motyw „Californication”, a ona próbowała go powtórzyć. W pewnym momencie pani Karolina wychyliła głowę zza drzwi, ale machnąłem jej ręką, że wszystko jest pod kontrolą. Kiedy Anastazja opanowała „Californication”, przeszliśmy do „Otherside”, a później do kontynuacji intra „Nothing else matters”, chociaż to okazało się jeszcze trochę za trudne.

Czas upłynął tak szybko, że drzwi świetlicy nagle się otworzyły i wybiegła z nich cała grupa młodych adeptów kółka filmowego. Dzieciaki wbiegły szybko po schodach, całkowicie nas ignorując. Anastazja oprócz nieudanego koncertu sprzed godziny, odczuła właśnie, co to znaczy granie do kotleta. Uwierzcie mi. Jestem w tym całkiem niezłym specjalistą.

Po chwili podeszła do nas pani Karolina, która oznajmiła Anastazji, że już najwyższa pora iść spać. Przybiłem jej żółwika i powiedziałem, żeby codziennie ćwiczyła utwory, bo można je bardzo łatwo zapomnieć. Anastazja uśmiechnęła się nieśmiało, wzięła gitarę pod pachę i pobiegła do góry nucąc refren „Otherside”.

– Nie wiedziałam, że pan gra.
– E tam. Taki ukryty talent. Niektórzy mówią, że nawet bardzo ukryty.
Pani Karolina uśmiechnęła się.
– To może jeszcze ostatnia fajeczka, zanim pójdzie pan na autobus?
– Nie śmiałbym oponować.
– Ale to już musimy wyjść na zewnątrz.
– Palenie przy tych mrocznych drzwiach z kołatką, będzie jedną z najbardziej romantycznych rzeczy, jakie mi się ostatnio przytrafiły.
– Tak czułam, że się panu spodobały.

– Słodka jest, co? – spytała pani Karolina, próbując zapalić papierosa, co było utrudnione przez padający śnieg i mocny wiatr.

– Anastazja? Bardzo. Aż się dziwię, że nikt do tej pory jej nie adoptował. Nie chcę żeby to zabrzmiało trochę arogancko, ale takie dzieci raczej nie powinny mieć problemu ze znalezieniem rodziców na tym całym rynku adopcyjnym.

– Była już u dwóch rodzin zastępczych, ale ma poważny problem zdrowotny. Wrodzoną wadę serca. Jeśli nie znajdzie się dawca, to specjaliści dają jej około 21 lat życia.

– To jakby czekać na śmierć w swoje najlepsze urodziny.
Pani Karolina westchnęła.

– Niestety trochę tak. Co jakiś czas znajdują się ludzie, którzy chcą ją adoptować, przychodzą tutaj, starają się zaprzyjaźnić, ale później rezygnują. Oczywiście chodzi o to chore serce. Nawet nie chcę wiedzieć, jak ona to przeżywa. Dobrze, że pan Władek, nasz ogrodnik, załatwił jej tę gitarę. Zaczęła grać niedawno, na razie nie idzie jej jakoś niesamowicie, ale ma chociaż zajęcie. W domu dziecka to bardzo ważne.

Zaciągnąłem się papierosem i w głowie zaświtała mi pewna myśl.

– Oglądała pani „Szkolę rocka”?

Pani Karolina przecząco pokręciła głową.

– Nie przypominam sobie.

– Bardzo upraszczając fabułę, jest to film o nauczycielu, który w ramach zajęć w szkole tworzy zespół rockowy – powiedziałem, naginając odrobinę fakty, bo tak naprawdę jest to film o fałszywym nauczycielu. Reszta opisu jednak się zgadzała.

– Może zrobiłbym coś podobnego tutaj?

– Zespół rockowy tutaj? W domu dziecka?

– A czemu nie? Na pewno nie tylko Anastazja tu na czymś gra, a jeśli nawet, to na pewno uda się załatwić używany sprzęt i zachęcić kilka innych dzieciaków stąd, aby zainteresowały się instrumentami. I rock and rollem – dodałem, szeroko się uśmiechając.

Pani Karolina zamilkła na chwilę, a ten czas wykorzystała na dostarczenie swojemu organizmowi trochę nikotyny.

– Wstępnie się zgadzam. Wiem, że osoby ze starszych grup coś tam grają i myślę, że mogą być zainteresowani – odpowiedziała. – Ale proszę pamiętać, że jeśli pan nagle zrezygnuje po miesiącu, to może się skończyć wyładowaniem gitary na pańskiej głowie. I to naprawdę niezbyt miłym.

Uśmiechnąłem się.

– Mam nadzieję, że nie będzie pani zawiedziona. I nie będę musiał przychodzić tutaj w kasku. Moglibyśmy zacząć w najbliższą sobotę.

– Dobrze, umówmy się na tą sobotę. Proszę do mnie napisać esemesa dzień wcześniej – pani Karolina w tym momencie podyktowała mi swój numer telefonu. – I skończmy już z tym pani, pani, pani – dodała. – Nie wypiliśmy co prawda Bruderszafta...

– ... ale spaliliśmy wspólnie trzy papierosy – wtrąciłem. – To też całkiem spora zażyłość.

– Także Mikołaj, bardzo przepraszam, że trochę opóźniłam twój autobus.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Dobra, dobra. Idź już, bo za niedługo naprawdę nie będziesz miał jak wrócić. Powiem ci w tajemnicy, że nocne autobusy raczej się tutaj nie zapuszczają.

Po tym jak się pożegnaliśmy, Karolina zniknęła za tymi mrocznymi drzwiami, a ja ruszyłem w stronę przystanku. Śnieg zaczynał padać coraz mocniej, więc naciągnąłem szalik na nos, przez co wyglądałem jak zaginiony pseudo ninja. Nie

miałem rękawiczek, także odłożyłem w czasie telefon do Leona, mając nadzieję, że w autobusie będzie trochę cieplej, chociaż nie było to znowu takie pewne.

Podczas drogi rozmyślałem znowu o pani Barskiej, a później o tym wszystkim, co zobaczyłem w domu dziecka. Doszedłem do wniosku, że może nie stałem się lepszym człowiekiem o jeden procent, ale o jeden promil na pewno. Poprawa o jeden promil skojarzyła mi się od razu z piwem, na które nabrałem strasznej ochoty po tym dziwnym dniu. Nagle po lewej zobaczyłem ledwo oświetlony sklep, który według jednego z napisów zajmował się sprzedażą alkoholu. Jak to mówią: „w reklamie bardzo liczy się content”.

Otworzyłem szklane drzwi, które głośno zaskrzypiały. Podeszedłem do lady, za którą stał starszy mężczyzna, który wyglądał, jakby dostał tę pracę za doświadczenie przebyte z własnym asortymentem.

– Co podać? – warknął niemiło przez zęby.

– Właśnie się tak zastanawiam... – odpowiedziałem, rozglądając się po lodówkach, w których stało wiele rodzajów trunków. Mój wzrok zatrzymał się na butelkach piwa o smaku tequili, czyli bardziej soku o mocy 6 procent alkoholu, ale stwierdziłem, że właśnie tego mi teraz trzeba.

– Poproszę jedno piwo tequilowe – powiedziałem, jednocześnie szukając drobniaków w kieszeni.

– Przecież to piwo jest takie gejowskie – odparł facet, z wciąż tym samym niemiłym grymasem na twarzy.

– Chyba już dzisiaj gdzieś to słyszałem.

– Co?

– Nieważne.

– To jak będzie w końcu?

Uśmiechnąłem się.

– W takim razie poproszę dwa.

Nie wiem czemu, ale moja odpowiedź dosyć mocno go rozwścieczyła. Zanim podał mi dwie butelki, najpierw splunął na podłogę i przez kilka sekund rozcierał to butem. Przyjemniaczek. Nie ma co.

Już miałem wychodzić ze sklepu, kiedy poczułem vibracje w mojej prawej kieszeni. Wyciągnąłem telefon i spojrzałem na wyświetlacz. To był Leon. Po chwili zastanowienia wcisnąłem zieloną słuchawkę.

– Cześć Leon – zacząłem. – Wiem, że zabrzmiał to strasznie głupio, ale właśnie miałem do ciebie dzwonić.

Rozdział 12

„Każdy ma taką godzinę w ciągu dnia, że chciałby rzucić
wszystko i grać tylko na konsoli. Żart.
To na pewno nie godzinka”

Opowiedziałem w skrócie Leonowi, czego się dowiedziałem w domu dziecka i że jak najszybciej powinniśmy porozmawiać z panią Barską.

– Może być to trochę problematyczne – odparł cicho, ale i tak wydawało mi się, że ludzie stojący na przystanku słyszeli to niemal tak samo wyraźnie jak ja.
– Przecież nie podejdziesz do niej, kiedy będzie myła korytarz i spokojnym głosem obwieścisz: „Cześć, słyszałem, że dorabiasz jako rodzinny zabójca, a ja bardzo nie lubię swojego wujka”. To trzeba rozegrać jakoś inaczej, bo jak na razie mamy tylko jedną słabą poszlakę.

– To co proponujesz?

– W jakich godzinach pracuje ta cała Barska?

– Hmm... – zastanowiłem się. – Jakoś od 7:00 do 10:00. Nikt by dłużej nie wytrzymał w tym miejscu. Zapewniam cię. Później podobno sprząta jakiś inny budynek, ale zupełnie nie mam pojęcia który.

– Dobra. – rzekł Leon nadal tym spokojnym, denerwującym głosem. – Ja załatwię jeszcze dzisiaj jej adres, a jutro dokładnie o ósmej rano ją odwiedzimy.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałeś, ale o ósmej rano, to ona będzie zajęta dezynfekcją mojego akademika.

– I o to mi właśnie chodzi. Zrobimy małe włamanie.

Odszedłem kawałek od przystanku, żeby ludzie stojący obok nie mieli dalszej możliwości przysłuchiwania się tej rozmowie.

– Jakie małe włamanie Leon? Co to w ogóle jest małe włamanie? Kradniesz rzeczy mniejsze od 3 centymetrów? – próbowałem powiedzieć szeptem, lecz nie do końca mi się udało. – Nie mamy już dosyć kłopotów?

– Mikołaj! Musimy przeszukać jej dom i znaleźć jakieś dowody lub coś, co pomoże nam je znaleźć. Bo w przeciwnym wypadku, jeszcze raz ci powtarzam, nic na nią nie mamy. A nasze śledztwo biegnie bocznym torem i nie mogę wystąpić o oficjalny nakaz przeszukania.

– Dobra. Niech ci będzie, ale wiedz, że nie do końca mi się to podoba.

– Spokojnie. Jeśli trafimy do więzienia, będziesz pierwszym, który wytatuuje mi na ramieniu najtańszym atramentem zdanie: „a nie mówiłem.”

– Naprawdę dawno nikt mnie tak nie pocieszył – odparłem ironicznie.

– Spokojnie, Miki – rzekł ze zrezygnowaniem Leon. – Przecież włamujesz się z policjantem. To prawie legalne.

– Zupełnie jak zabijanie z misiem przytulanką?

– Coś pomiędzy.

– Coś pomiędzy – powtórzyłem cicho do siebie, powoli wciągając lodowate powietrze.

– Dobra. Muszę zaraz kończyć – powiedział Leon. – Myślę, że załatwienie tego adresu nie będzie zbyt dużym problemem, więc jutro o 7:30 będę pod twoim akademikiem.

– Nie mogę się doczekać.

– Oj nie denerwuj się tak. Będzie dobrze – Leon głośno się roześmiał, ale po chwili słyszałem już tylko sygnał zakończonej rozmowy.

Schowałem czerwone od zimna dłonie do kieszeni i zacząłem się zastanawiać, czy sprawy nie idą trochę za daleko. Najgorsze było to, że Leon miał rację. Nic nie mamy na Barską. Nawet nie wiem, czy była w akademiku, kiedy Alan został zamordowany. Przeszukanie jej domu było chyba jedynym rozsądnym wyjściem, a że nie można było tego zrobić bez części zwanej włamaniem, to już zupełnie inna sprawa. Niedawno usłyszałem, że kiedy kończysz trzydziestkę powoli stajesz się bandytą. Jak widać, dosyć szybko wystartowałem.

Nagle w oddali zobaczyłem reflektory zbliżającego się autobusu, co spowodowało niemałe poruszenie na przystanku. Na szczęście udało mi się niemal idealnie trafić na miejsce zatrzymania się tylnych drzwi, dlatego zająłem swoje ulubione miejsce – na końcu pod samym oknem. Nie sprawdzałem nawet godziny, bo nie miało to już najmniejszego sensu, tylko oparłem głowę o szybę i spróbowałem zasnąć. Zanim przymknąłem oczy, odpisałem jeszcze Lucemu, że dzisiaj odpadam. Nie miałem siły na imprezę, a w dodatku byłem umówiony z Leonem na 7:30.

Nie miałem pojęcia, czy to dobry wybór, ale czasami trzeba pozwolić pewnym rzeczom płynąć, a przy okazji trzeba się też zaopatrzyć w niezłą motorówkę. Mam nadzieję, że Leon jest taką motorówką albo chociaż skuterem wodnym.

Wchodząc na teren kampusu, spojrzałem na wielki, podświetlany zegar przymocowany do dachu uczelni. Wskazywał 23:20. Wspaniale. Spotkanie z Leonem potrwało jedyne siedem godzin i dwadzieścia minut.

Ruszyłem w stronę swojego akademika, mijając po drodze grupki studentów, którzy kierowali się w przeciwnym kierunku, czyli w stronę przystanku autobusowego. Kiedy ma się dwadzieścia kilka lat, centrum wraz z znajdującymi się tam klubami, nawołuje do siebie każdego wieczoru. Od środy do soboty włącznie. Dzisiaj był czwartek, czyli imprezowy tydzień trwał w najlepsze.

Minąłem rzędy ławek, które były ustawione obok kamiennych pieców grillowych. Aktualnie nieużywanych, bo wszystko było przykryte grubą warstwą śniegu i czekało na lepsze, wiosenne dni. Chociaż patrząc na to z perspektywy ławek, wiosenne dni bywają dla nich znacznie gorsze.

Szybkim ruchem otworzyłem drzwi od akademika, niemal widząc jak ciepłe powietrze ze środka miesza się z tym z zewnątrz. Na portierni siedziała Mądra Krystyna i po minimalnym uniesieniu wzroku, wcisnęła przycisk, tym samym wpuszczając mnie do środka. Wjechałem windą na trzecie piętro i przez chwilę miałem nawet ochotę zobaczyć, jak prezentuje się kuchnia, ale stwierdziłem, że zrobię to dopiero jutro. Nie jestem przesądny, ale lepiej odczekać minimum trzy dni od śmierci Alana. Czy to jednak oznacza, że jestem przesądny?

Stałem przed drzwiami swojego pokoju i powoli nacisnąłem klamkę. Drzwi drgnęły, więc któryś z moich współlokatorów musiał być w środku. Brak jakiegokolwiek światła oprócz włączonego monitora po lewej stronie pokoju łatwo rozwiązał tę zagadkę. W środku był tylko Profesor.

Wcisnąłem dwupozycyjny przełącznik i momentalnie pokój został pokryty mocnym światłem, które według mnie było nawet zbyt jasne. Pewnie dlatego, aby chronić przed zaśnięciem podczas nauki do wszelkich zaliczeń i egzaminów. Toldi jednak zawsze mówi, że podczas nauki bywają takie chwile, że nawet dwa metry od Słońca byłoby za ciemno.

Profesor szybko odwrócił się w moją stronę na krześle, a nagle światło nie spowodowało u niego typowego zmrużenia oczu, ponieważ jego źrenice były już wystarczająco zmniejszone od wpatrywania się w rozświetlony monitor.

– Wiem, że można lubić burgery, ale bez przesady – rzekł, ironicznie się uśmiechając.

– Skąd wiesz, że byłem w Dziku? – spytałem, siadając na łóżku.

– Lucy nas odwiedził.

Westchnąłem. Wszystko było teraz jasne.

– A gdzie Toldi?

– Pomyśl detektywie.

Przez krótką chwilę wpatrywałem się w okno, za którym spadały tysiące płatków śniegu, łącząc się na ziemi, tworząc grubą pokrywę śnieżną.

Uśmiechnąłem się.

– To było łatwe. Lucy wyciągnął go na imprezę z planszówkami, whisky i mechaniką ogólną.

– Brawo – krzyknął Profesor i miał już zaklasnąć w dłonie, ale nagle z tego zrezygnował, jakby przypomniał sobie, że jest zbyt leniwy na taki przypływ emocji.

– A ty Miki gdzie naprawdę byłeś? I co chciał Leon?

Opowiedziałem Profesorowi całą historię ze wszystkimi szczegółami, a on wraz z rozwojem fabuły coraz mocniej zaciskał palce na klawiaturze. Jeśli w ogóle istnieje coś takiego jak „zaciskanie palców na klawiaturze”.

– I myślisz, że to Barska? – spytał.

– Nie wiem. Wydaje się to nawet pasować, ale dla mnie ona nie wygląda na morderczynię.

– Wiesz po czym poznać złodzieja?

Uśmiechnąłem się. To też było proste.

– Że nie wygląda na złodzieja – odparłem.

– Już nawet nie chce mi się mówić „brawo”, bo zbyt w siebie uwierzysz.

Wzruszyłem ramionami.

– Dobra. Ja idę wziąć prysznic, a później spać – powiedziałem, chociaż druga połowa zdania była bardziej ziewana, niż mówiona.

Profesor popatrzył w prawy, dolny róg monitora, sprawdzając godzinę, a następnie szeroko się uśmiechnął.

– To ja w takim razie idę na imprezę.

– Kółko informatyków podbija świat? – zaśmiałem się, lecz nie do końca mi to wyszło, bo tym razem całe zdanie było ziewane.

– Jeśli podbojem świata nazwiesz kupno pięciu piw przez każdego, jak to ująłeś, członka kółka informatyków, to faktycznie podbijamy świat. Razem z tłumem innych ludzi na całym świecie z tej samej strefy czasowej, którzy też za niedługo zakupią browar.

– Co za ironia. Cały świat podbija cały świat.

Profesor lekko się uśmiechnął, po czym wyłączył komputer, wcześniej zapisując cztery razy pod rząd aplikację, nad którą pracował. Czy naprawdę każdy robi? Jakby nie wierzył, że jedno zapisanie programu wystarczy.

Wziąłem do ręki swoją gitarę i zacząłem grać utwór, którego roboczą wersję nagraliśmy wczoraj. W tym czasie Profesor kilka razy się przebierał, szukając idealnego stroju na wieczorną imprezę. Wszystko razem wyglądało trochę jak tani modowy spot z przygrywanym do tego soundtrackiem. Chciałbym powiedzieć, że tani spot, ale z soundtrackiem za grube miliony, lecz na razie wszystko było bezcenne. Niestety w tym sensie, że darmowe.

Kiedy Profesor wyszedł, wyjąłem z szuflady czyste bokserki i ręcznik, dobrałem do tego kosmetyczkę, a następnie ruszyłem w kierunku łazienki. Bokserki były prezentem od mojej mamy na dwudzieste dziewiąte urodziny. Pamiętam, że do środka były włożone dwie stówy i stwierdziłem wtedy, że muszę być naprawdę niezłą tancerką go – go. Na to wspomnienie szeroko się uśmiechnąłem. To było tylko rok temu, a wydawało się być całą wiecznością. Nie zmieniało to faktu, że nadal powinienem być niezłą tancerką go – go.

Wchodząc do łazienki, zorientowałem się, że nikogo nie ma w środku, czyli mogłem wybrać swoją ulubioną kabinę pod samym oknem. Podobno dobudowali ją dwa lata temu i swoim standardem znacznie przewyższała trzy pozostałe. Tym razem wziąłem krótki prysznic, na przemian ciepłą i zimną wodą, bo ostatnio przeczytałem, że w ten sposób poprawia się krążenie krwi w mózgu. Tak. W mojej aktualnej sytuacji chwytałem się wszelkich sposobów na zwiększenie swoich szans w znalezieniu zabójcy Alana. Już tylko czekałem, aż zacznę wydzwaniać do wrózek i znachorów.

Kiedy kładłem się do łóżka, włączyłem do snu swoją playlistę w serwisie Spotify. Uwielbiam zasypiać przy muzyce, jednak jest to możliwe tylko wtedy, gdy jestem sam w pokoju. Ostatnimi czasy był to dość duży luksus.

Zanim położyłem głowę na poduszce i zamknąłem oczy, nastawiłem w telefonie budzik na 7 rano. Cztery pięciominutowe drzemki oczywiście były wliczone w cenę.

Otworzyłem powoli oczy, a prosta melodia budzika natychmiast awansowała na pierwsze miejsce wśród moich najbardziej znienawidzonych utworów na świecie. Rozejrzałem się po pokoju. Łóżko Toldiego nadal było puste, w przeciwieństwie do łóżka Profesora, które było wypełnione chyba nawet w stu dwudziestu procentach.

Wybrałem w swoim telefonie opcję „stop” zamiast „drzemka”, co naprawdę sporo mnie kosztowało. Głośno sturlałem się na podłogę, a następnie zrobiłem trzydzieści pompek. Nic tak nie budzi jak poranne pompki, bo jeśli nie zachowa się odpowiedniej koncentracji, można po prostu zginąć.

Szybko się ubrałem, a zanim włożyłem czarne, skórzane buty za kostkę, poprzedziłem to narciarskimi skarpetami. Otworzyłem szafkę, szukając jakiejś kawy, lecz kilka ziarenek na spodzie puszki nie dawało najmniejszych szans na przeżycie tego poranka. Zakląłem w duchu, kiedy nagle zaczął dzwonić mój telefon. To był Leon.

– Jeśli mi powiesz, że wstawałem na darmo, zacznę rozpatrywać kolejne morderstwo. A później ukradnę ci całą kawę z domu – powiedziałem, nawet nie czekając, aż się odezwie.

– Spokojnie. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że mam już adres i będę o 7:30. Będiesz mógł ukraść Barskiej całe zapasy kawy.

– Bardzo zabawne. Zacząłem się też zastanawiać, co jeśli ktoś z jej rodziny będzie w domu. Mąż, dzieci?

– Normalni ludzie to nie studenci i są o tej porze w pracy lub w szkole – zaśmiał się Leon. – Ale i tak najpierw sprawdzimy, czy ktoś jest w środku. Po prostu zadzwonimy domofonem.

– Bardzo ciekawe. A jak ktoś nas zobaczy? Kojarzysz takie przemiłe babcie o ksywie snajper?

– I co z tego, że ktoś nas zobaczy. Wiesz, co miałem na myśli, mówiąc małe włamanie? Że nic nie ukradniemy. Najwyżej dowody, a wątpię, żeby morderca zgłaszał na policję skradzione dowody, które go obciążają.

– Dobra – westchnąłem. – Ale w takim razie mam jedną prośbę. Kupisz mi kawę? Bo wątpię, żeby kawa Barskiej była obciążającym dowodem, więc raczej nie będziemy mogli jej ukraść.

Leon głośno się zaśmiał.

– Jasne. Do zobaczenia.

Spojrzałem na wyświetlacz mojego telefonu. Była 7:10. Zdrzemnąłem się jeszcze na chwilę, a melodia mojego budzika utrzymała pierwsze miejsce na liście najbardziej znienawidzonych utworów. Dodatkowo kolejny raz się przekonałem, że kładzenie się na 5 minut też jest na szczycie. Tylko innej listy. Najbardziej zdradliwych rzeczy na świecie.

Wyszedłem z akademika i natychmiast poczułem różnicę temperatur. Słońce dopiero zaczynało wschodzić, więc było dosyć widno i nawet zalegający wszędzie śnieg nie poprawiał tej sytuacji. Samochód Leona stał zaparkowany przed samym wjazdem do kampusu. Miał zapalone światła, a silnik jak zwykle chodził trochę za głośno, przez co cały pojazd wydawał się trochę trząść. Otworzyłem drzwi od strony pasażera, a gdy wsiadłem, szybko je zamknąłem, żeby nie wpuszczać zimowego powietrza do środka.

– Spóźniłeś się 5 minut – rzekł Leon, powoli ruszając.

– To i tak duży sukces. Uwierz mi.

– W nagrodę masz dwie kawy na tylnym siedzeniu.

Odwrociłem się. Faktycznie stały tam dwie kawy w styropianowych kubkach z nadrukowanym logiem stacji benzynowej. Już czułem ten pomieszany zapach kawy i przypieczonych parówek od hot - dogów.

– Dwie dla mnie? A ty nie chcesz?

– Ja już jestem po trzech – oznajmił Leon z nieukrywaną dumą.

– Dzięki, ale naprawdę chciałem tylko jedną.

– Wiesz jakie mamy ulubione powiedzenie na komendzie?

– Fuck the police?

Leon głośno się zaśmiał.

– Mówimy, że jedna kawa to gra wstępna i dopiero od dwóch zaczyna się prawdziwa zabawa.

Wzruszyłem ramionami.

– Ale to dotyczy się też do wielu innych rzeczy – dodał po chwili. – Na przykład jedna flaszka to gra wstępna, a od dwóch dopiero zaczyna się zabawa.

– Naprawdę urocze jest to wasze policyjne kółko filozoficzne. U mnie w akademiku by powiedzieli, że dwie flaszki to dopiero wzięcie numeru telefonu.

Obaj wybuchnęliśmy śmiechem, lecz równocześnie zakończyło to ten temat. Następne piętnaście minut jechaliśmy w całkowitym milczeniu, a ja nawet wypilem tę drugą kawę. Faktycznie dawno się tak nie bawiłem.

Spojrzałem za okno. Na zewnątrz śnieg padał tak mocno, że wycieraczki samochodu nie radziły sobie z jego ilością. Jeśli taka pogoda utrzyma się do Bożego Narodzenia, to św. Mikołaj naprawdę nie ma po co wychodzić z domu razem z tym wiecznie pijanym reniferem – Rudolfem Czerwononosym. Teraz nawet dzieciaki w podstawówce wiedzą, od czego ma się czerwony nos. Że niby oświeśla on drogę św. Mikołajowi? Alkoholicy od zawsze wymyślali najlepsze wytłumaczenia.

Kiedy w końcu podjechaliśmy pod budynek, w którym według Leona mieszkała Barska, na dworze było już całkowicie jasno, ale przez tę śnieżycę widoczność była mocno ograniczona. Bardzo mnie zdziwiło, że cały teren był otoczony drewnianym

płotem. Zupełnie jak na ogromnych placach budowy. Obok metalowej furtki znajdowała się żółta tabliczka, lecz była ona niemal całkowicie zasłonięta przez grubą warstwę białego puchu. Wysiadłem z samochodu i kilkoma ruchami ręki starłem zalegający śnieg. Przeczytałem trzykrotnie czerwony napis i za każdym razem równie mocno kląłem w duchu. Na tablicy było napisane: „Nie wchodzić. Budynek przeznaczony do rozbiórki.”

Rozdział 13

„W zimę jest tak długo ciemno, żeby można było dłużej spać.
Dlaczego nikt tego nie uwzględnia?”

Otworzyłem drzwi samochodu, lecz tym razem nie zamknąłem ich za sobą zbyt szybko, jakbym chciał, żeby trochę zimnego powietrza naleciało do środka. Albo może chciałem wprowadzić trochę dramaturgii. Sam nie wiem.

Leon zdążył się już zorientować, że nasza poranna wycieczka nie będzie należeć do udanych.

– Co jest? – spytał.

– Budynek przeznaczony do rozbiórki. I wygląda na to, że od dłuższego czasu, więc wątpię, że znajdują się tu jakiekolwiek dowody.

– Niech to – krzyknął Leon, uderzając w kierownicę.

– To co robimy? – zapytałem, jednocześnie cofając fotel na taką odległość, że praktycznie mogłem rozprostować nogi.

– Musimy jakoś załatwić jej aktualny adres, tylko teraz nie mam pomysłu, jak to zrobić szybko i nieoficjalnie.

Uśmiechnąłem się, bo wpadł mi do głowy pewien pomysł.

– Wiesz kto jest największym plotkarzem w akademiku?

To było tak proste, że aż sam musiałem na to odpowiedzieć.

– Ogólnie portierzy. Szczególnie Królik.

– Ten gruby koleś, który myśli, że jest zaginionym członkiem Sex Pistols?

– Właśnie. Jeśli ktoś z akademika może wiedzieć, gdzie mieszka teraz Barska, to może być tylko on. Muszę jedynie wymyślić, jak go podejść.

Spojrzałem na zegarek. Była 8:15.

– Ale mogę to zrobić najwcześniej o 10:30. Muszę mieć pewność, że Barskiej nie będzie już wtedy w akademiku – dodałem.

– To odwieźć cię tam teraz? – spytał Leon, a następnie zaczął zawracać, używając do tego prawie całej powierzchni chodnika.

– Tak. Przekimam do tej 10:30, bo... – spojrzałem na dwa puste kubki.

– ... ta twoja kawa jest jakaś przereklamowana.

– Dobra. Jakbyś coś wyciągnął od tego Królika, to daj mi znać.

– Jasne – odpowiedziałem, a następnie oparłem głowę o fotel, zwracając głowę w stronę bocznej szyby. Śnieg padał, tak jak padał, a Rudolf Czerwononosy pewnie nadal był na melanzu.

Podczas jazdy wpatrywałem się w krajobraz za oknem, patrząc jak płatki śniegu rozbijają się o szybę trochę zbyt szybko jadącego samochodu. Ogólnie czułem się dość podobnie. Jak płatek śniegu rozbijający się o szybę, mający jeszcze na uwadze, że w każdej chwili mogą przyjść dodatnie temperatury.

W radiu leciały stare przeboje pop, a mi zdawało się, że znam je od początku swojego życia. Zupełnie jakby były grane w kółko na porodówce. Na szczęście Leon chyba przyszedł na świat w tym samym szpitalu, więc po chwili zmienił stację na taką, której dziennikarze urodzili się chyba na koncercie rockowym. Stare przeboje pop zostały zastąpione rockowymi klasykami, a cała droga powrotna była już czystą przyjemnością.

Tym razem Leonowi udało się trafić na otwarty szlaban i zatrzymał się pod samym akademikiem.

– Dam znać, jak uda mi się wyciągnąć ten adres od Królika – powiedziałem, wychodząc z samochodu.

– Jesteśmy w kontakcie – odparł Leon i ruszył pewnie w kierunku komisariatu. Założyłem, że w radiu Chris Rea zaczął właśnie śpiewać swoje „Road to hell”.

Tak jak myślałem, na portierni siedział Królik, lecz na razie tylko głupkowato się do niego uśmiechnąłem. Musiałem poczekać do 10:30, żeby mieć pewność, że Barskiej nie będzie już w akademiku. Królik wpuścił mnie do środka ze swoją kamienno – zaspianą miną. Nie od dzisiaj tajemnicą poliszynela jest informacja, że nienawidzi on porannych dyżurów.

Kiedy dotarłem na trzecie piętro, spróbowałem otworzyć drzwi od pokoju. Były zamknięte, czyli Tołdi nadal nie wrócił z imprezy, a Profesor nadal nie wstał, co akurat było łatwe do przewidzenia. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła 9:00. Wygrzebałem klucze z kieszeni i wszedłem do środka. Zanim zdjąłem kurtkę, otworzyłem jeszcze na chwilę okno, bo Profesor działał jak odświeżacz powietrza o zapachu alkoholu albo wymiennik powietrza tlen – browar. Obie wersje były aż za bardzo prawidłowe.

Zanim ustawiłem na telefonie budzik na 10:30, sprawdziłem plan zajęć. Właśnie zaczynał się wykład z geometrii wykreślnej, ale dzisiaj profesor Chmielewski będzie musiał się obyć bez mojej osoby. Wątpię, żeby mocno to przeżywał. Miałem tylko nadzieję, że ktoś wpisze mnie na listę.

Położyłem głowę na poduszce i wydawało mi się, że zasnąłem, zanim moja głowa zdążyła jej dotknąć.

Gdy usłyszałem budzik, natychmiast sturlałem się z łóżka, lecz tym razem ominąłem tę wersję z trzydziestoma pompkami. Druga seria pompek w ciągu dnia już na pewno by mnie zabiła.

Zanim poszedłem do Królika po aktualny adres Barskiej, musiałem znowu przewietrzyć pokój, bo Profesor wciąż działał jak wymiennik powietrza, lecz na szczęście jego moc przerobowa wyraźnie spadała. Po kilku minutach zamknąłem okno, ubrałem trampki, w których chodzę po akademiku, a następnie wyszedłem

z pokoju i ruszyłem schodami na dół. Miałem plan, który mógł wydawać się trochę naiwny, ale wierzyłem, że na Królika powinien wystarczyć.

Kiedy zobaczyłem go na portierni, sprawiał wrażenie, jakby mógł oddać wszystko za rybią zdolność spania z jednym okiem otwartym. Zupełnie jak większość studentów.

– Cześć Królik – powiedziałem z szerokim uśmiechem, który wyszedł tak sztucznie, że nie dostałbym za niego nawet roli statysty w tanim serialu.

– Co jest Miki? – zapytał Królik, lekko unosząc brwi.

– Mam sprawę, a tylko ty możesz mi pomóc.

Pierwsza porcja tanich komplementów została wylana, a moja strategia obejmowała dwie duże porcje plus deser.

– No to dlatego się pytam. Co jest Miki? – powtórzył znacznie dosadniej Królik.

– Chodzi o to, że dzisiaj rano pożyczyłem od pani Barskiej stówę i powiedziała, że jeśli jej nie będzie, kiedy wrócę, to mam jej odnieść tę kasę do domu, bo będzie jej dzisiaj potrzebować. Podała mi adres, ale ja oczywiście go zapomniałem. Wspominała coś jeszcze, że niedawno się przeprowadzała, bo jej budynek przeznaczono do rozbiórki.

Wiedziałem, że moja historia jest mocno naciągana. Jednak zdawałem sobie sprawę, że niemal każdy człowiek w swoim życiu pożyczał kiedyś pieniądze w bardzo dziwnych miejscach, dziwnych okolicznościach i od jeszcze dziwniejszych ludzi. Dlatego wiele minusów mojej historii powoli zamieniało się w plusy.

– Także potrzebuję tego adresu... – kontynuowałem. – ... a pani Barska, tak jak wszyscy w akademiku, najbardziej lubi ciebie, więc jesteś jedyną osobą, która może znać jej nowy adres.

Patrzyłem jak kolejne komplementy rozplływają się po ciele Królika, ale nadal nie byłem pewny, czy to zadziała.

– Na pewno mówisz prawdę Miki? Pożyczyłeś stówę od pani Barskiej i teraz potrzebujesz jej adresu? Na pewno nie chcesz ze swoimi kumplami zrobić jej jakiegoś głupiego żartu?

– Głupiego żartu pani Barskiej? – niemal krzyknąłem. – Przecież to dobry duszek akademika. Bez niej wszyscy byśmy zginęli – dodałem, podkreślając słowa „wszyscy” oraz „zginęli”.

Królik się uśmiechnął, ale w taki dziwny, ironiczny sposób. Już chciałem użyć deseru z komplementów, lecz nagle mój kulinarny plan rozpadł się na drobne kawałki. Naprawdę nie miałem co liczyć na napiwek.

– Chętnie bym ci pomógł, ale pani Barska jest od poniedziałku na urlopie – powiedział Królik, a ironiczny uśmieszek przez dłuższą chwilę nie schodził z jego twarzy.

Przygryzłem dolną wargę.

– Wspaniale. Moja cukiernia ogłasza dzisiaj huczne zamknięcie – pomyślałem, a dolna warga zaczynała mnie coraz bardziej boleć.

Przez chwilę wpatrywałem się w Królika i nie miałem żadnego pojęcia, co mam mu teraz powiedzieć. Wyszedłem na całkowitego kłamcę, a to naprawdę bardzo utrudnia wchłanianie się komplementów, nie mówiąc już o deserku.

Pozostały mi dwie opcje. Albo powiedzieć mu całą prawdę, lecz wątpię, żeby chciał on ze mną gadać już po pierwszym usłyszeniu słowa „morderstwo”. Mogłem też powiedzieć mu okrojoną prawdę, lecz przedstawić ją w taki sposób, w jaki pokazywane są sceny dla dorosłych w filmach o piątej popołudniu. Bez zbytnich szczegółów. Miałem już wybrać tę drugą opcję, kiedy w mojej głowie pojawiła się możliwość numer trzy.

– Dobra, Królik – powiedziałem, lekko się nachylając. – Dasz mi ten adres, a ja powiem ci, kto zrobił imprezę na piątym piętrze miesiąc temu, przez którą miałeś tak przechłapanie u kierowniczk. Przy okazji gwarantuję ci, że nie zostanie to wykorzystane w jakikolwiek zły sposób przeciwko pani Barskiej.

Kierowniczką akademika od trzech lat była Sarnowska. Mimo że nawet wydawała się w porządku, to z racji sprawowanego stanowiska, nikt jej... nie lubił. Królik był ostatnio u niej na świeczniku, ponieważ nie zareagował na rozsypanie kilkudziesięciu worków z piaskiem na korytarzu piątego piętra, czyli nie zapobiegł tak zwanej „plaży party”. Tylko jak można czemuś zapobiec, jeśli trzy godziny wcześniej znajduje się pod biurkiem przekupne w walucie czystej 0,7 i od razu zamienia się w kantor. Nie trzeba dodawać, że wymiana płynów nastąpiła po bardzo dobrym kursie. W ten sposób Królik nie miał żadnych szans na jakąkolwiek reakcję, a kiedy na plaży zrobiło się zbyt gorąco i w ruch poszły gaśnice znajdujące się na wszystkich piętrach, nie był w stanie zamienić się w ratownika panującego nad sytuacją. Stawiam stówę, że przez kilka lat nie wybierze się na jakąkolwiek plażę. A ja do końca życia będę żałować, że akurat w ten weekend nie było mnie w akademiku, bo kiedy oglądam zdjęcia z tej imprezy, mój stan bardzo niebezpiecznie zahacza o depresję.

Królik uniósł wzrok i przez chwilę zaczął zbyt szybko mrugać oczami, jakby jego mózg miał problemy z przetworzeniem informacji, którą przed chwilą usłyszał.

– Dobra Miki – rzekł po kilkunastu sekundach. – Ale dajesz mi nazwisko tej osoby teraz i dodatkowo obiecujesz, że nie zrobisz nic złego pani Barskiej.

– Zgadzam się, ale na te nazwisko musisz chwilę poczekać – odparłem, a następnie odszedłem na kilka metrów. Nie wiedziałem, kto zorganizował tę imprezę, ale dobrze znałem kogoś, kto musi to wiedzieć. Tołdi.

Wybrałem jego numer i musiałem poczekać chyba siedem sygnałów, zanim odebrał. Typowa przypadłość dla ludzi po melanżu.

– Halo – odezwał się w słuchawce zachrypnięty, ale znajomy głos.

– Cześć Tołdi, tu Miki. Potrzebuję szybko jednej informacji.

– A nie może to poczekać do wieczora? – głos Tołdiego chrypiał coraz bardziej. Nie zaskoczyło mnie to jakoś szczególnie, bo zapewne wstał kilka sekund temu.

W tle słyszałem też kilka niezrozumiałych odgłosów, które zapewne należały do ludzi budzących się z imprezowego letargu. Mała dygresja. Na studenckich imprezach istnieją trzy opcje poranku. Pierwsza, która oceniam na 5 procent szans. Budzisz się z półnągą koleżanką z równoległej grupy i nie pamiętasz połowy imprezy. Druga – jakieś 2 procent szans. Budzisz się z dwiema koleżankami, których w ogóle nie kojarzysz, a ostatnia rzecz jaką pamiętasz to słowa „z ciocią się nie napijesz?”. Trzecia i najbardziej prawdopodobna, bo wyceniam ją na 93 procent. Budzisz się w pokoju z czterema studentami politechniki. Dwóch jest obrzyganych, jeden jest cały pomazany flamastrami, a ty znajdujesz w majtkach zmiętą paczkę papierosów. W dodatku nic nie pamiętasz.

Wolałem nie pytać Tołdiego, do której grupy aktualnie należy.

– Muszę się tylko dowiedzieć, kto zorganizował plaża party.

– Która edycję?

– To były jakieś inne edycje?

– Wybacz. Zapomniałem, że mieszkasz w akademiku dopiero dwa miesiące. Ale może najpierw mi powiesz, po co ci ta informacja?

– Chodzi o Alana. To znaczy bardziej o jego samobójstwo – powiedziałem, przeciągając słowo samobójstwo, żeby oznaczało morderstwo. Przez chwilę poczułem się jak naprawdę kiepski słownik synonimów.

– Myślisz, że Alan popełnił samobójstwo, bo ominęła go ostatnia edycja plaża party?

– Kurde Tołdi – syknąłem. – Przecież dobrze wiesz, że Alan popełnił samobójstwo z pomocą osób trzecich i dobrze wiesz, że nie dzwoniłbym do ciebie, gdyby to nie było ważne.

Tołdi westchnął.

– No to będziemy mieli problem.

– Nie wiesz, kto to zorganizował? – spytałem z nutą zawodu w głosie.

– Wiem aż za dobrze. Ja to zorganizowałem.

Przygryzłem dolną wargę, która tym razem zaboląła mnie dwa razy mocniej. Niech to. Potrzebuję dziewczyny i całonocnych pocałunków, które mi to rozmasują.

Kątem oka spojrzałem na Królika, który cały czas się we mnie wpatrywał, ale na szczęście był zbyt daleko, by cokolwiek słyszeć. Jednak dla pewności odszedłem kilka kroków dalej.

– Przecież mieszkamy razem w pokoju. Jak to możliwe, że nie wiedziałem, że to organizujesz?

– To było na początku listopada i nasza integracja nie była na takim poziomie. Zresztą dwa tygodnie wcześniej już marudziłeś, że nie będzie cię w tamten weekend.

Wziąłem trzy głębokie wdechy, chociaż zdawałem sobie sprawę, że nie pomoże mi to zbyt w aktualnej sytuacji. Przecież nie mogę powiedzieć Królikowi, że to Tołdi. Przeszkodziłbym w jego karierze najślawniejszej osoby w całym akademiku. Po raz kolejny przygryzłem wargę i znowu nabrałem powierza, a następnie wytłumaczyłem Tołdiemu, dlaczego potrzebuję nazwisko organizatora. Kiedy skończyłem, nastała niezręczna cisza, jakbym ja nie mógł wydusić z siebie słów „to

co robimy?” albo „mamy przechlapane”, a Tołdi nie umiał ubrać w słowa „nie mów Królikowi, że to ja”.

– Powiedz Królikowi, że to Drzazga.

– Jak Drzazga? – niemal krzyknąłem, ale zasłoniłem usta dłonią, jakbym nadal nie ufał odległości, która dzieliła mnie od Królika.

– Po prostu. Powiedz mu, że to on.

Zacząłem się zastanawiać, czy to na pewno dobry pomysł mieszać w to Drzagę, który w tym przypadku był całkowicie niewinny. Chociaż może nie do końca. Dobrze pamiętam zdjęcie z tej imprezy, na którym trzyma on dwie gaśnice i dwie butelki whisky. Różniły się tym, że gaśnice były wtedy prawie pełne, a butelki niemal puste. Oczywiście kilka zdjęć później gaśnice dogoniły butelki, a na korytarzu pełnym piany można było się już tylko poruszać na dmuchanym, różowym flamingu. Nadal miałem jednak wątpliwości, czy mogę wydać Drzagę Królikowi. Jednak Tołdi przekonał mnie jednym zdaniem.

– Królik wziął niedawno sporą pożyczkę u Drzazgi. Plus kilka litrów spirytusu. Że tak powiem na zeszyt.

– Jesteś geniuszem Tołdi.

– Nie przesadzaj. Po prostu czasami ktoś musi się poświęcić, nic o tym nie wiedząc.

– Wydaje mi się, że też powinienes rozważyć założenie kółka filozoficznego – powiedziałem, jednocześnie się śmiejąc, przez co prawie nie dało się mnie zrozumieć.

– Co ty gadasz Miki?

– Nieważne. Dobra Tołdi, muszę kończyć – odparłem, a następnie szybko się rozłączyłem. Ścisnąłem mocno swój telefon. Może na razie szczęście nie do końca mi sprzyja, ale ma teraz dużą szansę, żeby się poprawić.

Podszedłem do Królika, który wyraźnie się niecierpliwił.

– Nie można było dłużej? – warknął.

Uśmiechnąłem się tak szeroko, że boląca warga kolejny raz dała o sobie znać.

– Musiałem poświęcić kilka osób, które nic o tym nie wiedziały.

Królik machnął ręką, jednocześnie wzruszając ramionami, czyli użył ogólnościowego znaku oznaczającego – „nic mnie to nie obchodzi”. Wiedziałem, że Królik nie nadawałby się do żadnego kółka filozoficznego.

– Dobra Miki. Kto to był? – spytał z coraz większym zniecierpliwieniem w głosie.

– Najpierw adres – odparłem stanowczo.

Wiedziałem, że jeśli Królik dowie się, że to Drzazga, może nie dać mi adresu pani Barskiej. Jak to mówią: „nie zadzieraj ze swoim bankiem, bo mogą ci tylko podnieść oprocentowanie”. A Drzazga na pewno ma bardzo delikatną taryfę promocyjną.

– Myślisz, że jestem głupi? – syknął Królik, kiedy usłyszał, że to on pierwszy ma przekazać swoją informację.

– Nie. Nie jesteś głupi – odparłem, jednocześnie sylabizując myślach zdanie, że nie powinienem tyle kłamać.

– Dobra. Mam pomysł – rzekł Królik, a następnie rozdarł leżącą obok niego kartkę papieru na mniej więcej dwie równe części. Jedną przesunął w moją stronę.

– Napisz nazwisko. Ja napiszę adres. A później wymiana z ręki do ręki.

– Królik, ty chyba naprawdę oglądasz za dużo gangsterskich filmów w tej kanciapie – powiedziałem, próbując się nie uśmiechać, cały czas mając na uwadze bolącą wargę.

Królik całkowicie to zignorował, tylko zaczął coś pisać na swojej kartce, starając się wszystko zasłonić dłonią. Przez chwilę poczułem się jak na jakimś sprawdzianie w szkole podstawowej.

Zapisałem nazwisko Drzazgi na kartce, którą podał mi Królik, a następnie złożyłem ją na pół. Przesunąłem w jego stronę, nie odrywając od niej ręki, a Królik zrobił dokładnie to samo.

– Policzę do trzech i przekazujemy sobie kartki – powiedział Królik z tą swoją śmieszno – poważną miną.

– Przepraszam, że powiedziałem, że oglądasz za dużo gangsterskich filmów. Pomyliłem je z „Domowym Przedszkolem”.

Królik kolejny raz całkowicie mnie zignorował i zaczął swoje odliczanie. Przez chwilę nie mogłem w to uwierzyć. Jednak kiedy zaczął przeciągać moment pomiędzy cyframi „dwa” i „trzy” słowami: „dwa i jedna czwarta”, „dwa i pół”, „dwa i trzy czwarte”, wiedziałem, że nie żartuje. Całe szczęście, że nie wiedział o istnieniu ułamków dziesiętnych albo całek.

Nagle krzyknął „trzy” i wysunął kartkę spod mojej dłoni, wyginając przy okazji kilka palców. Nie pozostałem mu dłużny i też wyrwałem jego kartkę, lecz mogłem ominąć część z wyginanymi palcami, bo ręka Królika była tak spocona, że kartka niemal samoistnie się wysunęła.

Kiedy przeczytał nazwisko Drzazgi, przeraźliwie jęknął.

– Jakiś problem? – spytałem, machając swoją kartką, żeby ta zrobiła się chociaż odrobinę sucha.

– Nieważne – odparł wyraźnie zawiedziony Królik. – Ale pamiętaj Miki. Jak zrobisz jakiś głupi żart pani Barskiej, to naprawdę się zdenerwuję.

Lekko się uśmiechnąłem.

– Nie bój się. Przecież ci mówiłem, że pani Barska to dobry duszek akademika i jest pod ochroną – odpowiedziałem, chociaż tak naprawdę wątpiłem, że wszystko będzie w porządku. Królik raczej trochę się zdenerwuje, jeśli pani Barska pójdzie siedzieć za morderstwo.

Kartka powoli przestawała składać się z wody, więc teraz przyszła kolej na adres pani Barskiej. Musiałem sprawdzić, czy Królik nie napisał czegoś w stylu „wal się Miki, bo dzisiaj mogłem się spodziewać niemal wszystkiego. Odwróciłem kartkę na drugą stronę i przeczytałem niewyraźny napis:

Hostel „Chmielowy Taniec”
Pokój 216

Przeczytałem to kilka razy w myślach i mimo że nazwa wydawała mi się znajoma, to na razie nie mogłem sobie jej nigdzie umiejscowić. Sprawdziłem to szybko w telefonie. Bingo. Mijałem to podczas podróży do domu dziecka. W dodatku sprawdziłem, co oznacza nazwa „chmielowy taniec”. Oprócz od razu nasuwającej się odpowiedzi, która kojarzyła się z każdą imprezą w akademiku, była to staropolska tradycja oznaczająca taniec po oczepinach panny młodej.

Pożegnałem się z Królikiem, który nie wiadomo już który raz dzisiejszego dnia mnie zignorował i mogłem mieć tylko nadzieję, że nie będzie to nasza nowa tradycja.

Kiedy dotarłem pod drzwi swojego pokoju, próbowałem już przynajmniej trzy razy połączyć się z Leonem, jednak za każdym razem odzywała się poczta głosowa. Dopiero za czwartym razem udało mi się dodzwonić.

– Masz ten adres? – spytał, a z odgłosów otoczenia dało się wywnioskować, że jedzie samochodem.

– Hostel „Chmielowy Taniec”. Mówi ci to coś?

– Tak. Kojarzę. Straszna dziura. Nocowałem tam kiedyś po kawalerskim, chociaż tego akurat nie chciałbym kojarzyć. Ale pamiętam, że można tam było tanio wynająć pokój.

– To co robimy? Jedziemy tam dzisiaj?

– Będę u ciebie pod akademikiem za jakieś 20 minut – odpowiedział Leon po kilkusekundowej ciszy. – Muszę teraz kończyć – dodał i szybko się rozłączył.

Głośno wciągnąłem powietrze i nawet nie chciałem sprawdzać, jakie zajęcia na uczelni mnie dzisiaj ominą. Nie zdążyłem też powiedzieć, że pani Barska jest aktualnie na urlopie, więc nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby teraz tam jechać. Przecież było całkiem prawdopodobne, że zastaniemy ją w pokoju podczas naszego, jak to mówi Leon, małego włamania.

– Może być. Do zobaczenia – odparłem zrezygnowany sam do siebie, a następnie się rozłączyłem i rzuciłem telefon na łóżko. Po bardzo krótkiej chwili zastanowienia zrobiłem bardzo podobnie ze sobą. Przez pięć minut wyciągałem się na chyba wszelkie istniejące sposoby i pewnie stworzyłem kilka nowych. Następnie założyłem zimowe buty, ubrałem kurtkę i szeroko naciągnąłem szalik na twarz, tym razem omijając część zwaną czapką. Pamiętam jak w liceum moja mama kazała mi ubierać czapkę w mroźne dni, lecz zawsze jej odpowiadałem: „mamo, czy ty kiedykolwiek widziałaś, żeby Elvis nosił czapkę?”. Lekko uśmiechnąłem się na samo wspomnienie tamtych czasów.

Wychodząc z akademika spojrzałem na Królika, który miał aż zbytnio naburmuszoną minę. Natychmiast zrozumiałem, że nasze najbliższe spotkania w okolicach portierni nie będą należeć do najmiłszych. Skończą się wejścia bez pokazywania karty mieszkańca oraz sprowadzanie znajomych na imprezy do trzeciej w nocy. Tylko westchnąłem i popchnąłem częściowo oblodzone drzwi.

Podmuch zimnego powietrza na zewnątrz od razu przypomniał mi o braku jakiegokolwiek nakrycia głowy. Na szczęście Leon się nie spóźnił, więc moje włosy nie miały szansy zamienić się w lodowy kask.

– W ogóle nie zdążyłem ci powiedzieć, że Barska jest na urlopie – powiedziałem, jednocześnie trochę zbyt mocno zatrzaskując za sobą drzwi, co spowodowało, że płatki śniegu z mojego ubrania rozsypały się po wnętrzu samochodu.

– Myślisz, że to przypadek? – spytał Leon.

– Nie wiem. A nie wydaje ci się, żeby lepiej przełożyć nasze włamanie?

– Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Bo możemy ją spotkać w środku?

Leon tylko się uśmiechnął.

– To hostel Mikołaj. Każdy zawsze może pomylić swój pokój.

Kolejny raz wzruszyłem ramionami, a Leon wcisnął gaz tak gwałtownie, że musiało minąć kilka sekund, zanim opony złapały pewniejszy kontakt z zaśnieżoną ulicą.

Rozdział 14

„Miłość jest jak najlepszy narkotyk, który jest sprzedawany tylko przez jednego dealera w mieście”

Leon zgasił samochód i odczekał chwilę, zanim otworzył drzwi. Wcale mnie to nie zdziwiło, bo śnieg padał tak mocno, jakby św. Mikołaj chciał zrekompensować ubiegłoroczną zimą, podczas której śnieg był towarem deficytowym.

Kiedy w końcu wyszliśmy z samochodu, szybko pobieглиśmy w stronę hostelu, lecz nie było to takie łatwe, bo płatki śniegu tworzyły solidną ścianę o nieograniczonej długości i szerokości. Momentalnie wyobraziłem sobie jutrzejsze serwisy informacyjne prześcigające się w wymyślaniu zastępczych nazw na kolejną zimą stulecia.

Neonowy szyld hostelu był przysłonięty śniegiem, tak że widoczne były tylko dolne części liter, zmieniając nazwę „Chmielowy Taniec” w całkowity bezsens. Z poszczególnych liter zwisało kilka ogromnych, lodowych sopli, przez co odruchowo schyliłem głowę, kiedy pod nimi przechodziłem.

Na chwilę przystanęliśmy przed dużymi, obdrapanymi drzwiami, a Leon odwrócił się w moją stronę.

– Wiesz, że wynajmiemy pokój na jedną noc i domyślasz się, że będzie to trochę źle wyglądać.

Uśmiechnąłem się.

– Myślę, że są do tego przyzwyczajeni – odparłem.

– Tylko bez zbytniego wczuwania – zaśmiał się Leon i pchnął drzwi, które zgodnie ze swoim wyglądem okropnie zaskrzypiały.

Wnętrze hostelu spełniło wszystkie moje oczekiwania. Kolory były równie pstrokate co niedobre, meble stare i zdezelowane, a wszędzie śmierdziało tanim piwem i papierosami. Niemal natychmiast znaleźliśmy się w niewielkim holu, którego centralnym punktem była równie nieduża recepcja. Mężczyzna okupujący to zaszczytne miejsce wyglądał na około dwadzieścia kilka lat. Miał wysoko podwinięte rękawy, co zapewne miało służyć ekspozycji rąk pokrytych tatuażami. Mogę się założyć, że kolorowe wzory sięgały aż do samego końca ramion, ale nie mogłem tego potwierdzić, bo zimowa pogoda nie sprzyjała noszeniu koszulek bez ramiączek.

Leon głośno chrząknął, bo recepcjonista wydawał się być dosyć mocno zatopiony w lekturze dużo tańszej, ale też dużo ostrzejszej wersji Playboya. Po trzecim chrząknięciu, którego głośność była proporcjonalnie większa, mężczyzna uniósł wzrok, a następnie wytatuowaną rękę, dając do zrozumienia, że musi dokończyć artykuł. Słowo artykuł było jednak w tym przypadku dużą przesadą, bo był to trzyzdaniowy wywiad z panią, której różnej wielkości nagie zdjęcia rozpościerały się na dwóch stronach. Mogę się założyć, że jedno z pytań dotyczyło

jej marzeń, a odpowiedź brzmiała: „jedyne o czym marzę, to pokój na świecie”. Jasne. A te nagie zdjęcia na pewno dużo pomogą w tym temacie.

– Chciałbym wynająć dwuosobowy pokój na jedną dobę – oświadczył Leon, lekko opierając się o blat recepcji.

– Z lustrem na suficie? – spytał znudzonym głosem Pan Tatuaz, wciąż zerkając jednym okiem na „panią pokój na świecie”.

– Obojętnie. Co tam pan tylko poleca – powiedział Leon po chwili namysłu, jednocześnie tłumiąc śmiech.

– No to z lustrem. Razem sześćdziesiąt złotych.

– Tanio.

– Nie tylko tanio, ale i dyskretnie – zarechotał Pan Tatuaz. – To będzie pokój 407 – dodał po chwili, a następnie zaczął szukać odpowiedniego klucza w szafce za plecami, lecz było to dosyć utrudnione przez mocno wytarte cyfry na breloczkach.

Zakląłem w duchu. Wyczytałem z miny Leona, że też nie jest zadowolony z pokoju na czwartym piętrze. Pokój 216, w którym prawdopodobnie mieszkowała pani Barska, znajdował się dwie kondygnacje niżej, a oznaczało to, że najpierw będziemy musieli rozgościć się w 407, później zejść do 216, cały czas uważając, żeby nie zostać zbyt zauważonym przez innych gości. Pomiąłem jeszcze szczegół, że do pokoju 216 będziemy musieli się jeszcze włamać. Tak. Śledztwo na własną rękę już same w sobie jest ogromnym synonimem słowa „wada” i w dodatku w żadnym stopniu nie łączy się ze słowem „plan”.

Kolejne przekleństwo przeleciało przez moją głowę i mimo że było gorsze od poprzednich, w żaden sposób nie pomogło. Przecież nie mogliśmy powiedzieć: „Ej Panie Tatuaz, nie mógłbyś dać nam pokoju na drugim piętrze, bo z kolegą lubimy widoki akurat z tego poziomu”. Szczerze wątpię, żeby ktoś tutaj wspominał o krajobrazie za oknem, a my za wszelką cenę chcieliśmy uniknąć jakichkolwiek podejrzeń.

Leon wymienił sześćdziesiąt złotych na klucz ze zdezelowanym breloczkiem, po czym ruszyliśmy w stronę schodów. W czasie drogi przez kolejne piętra przypominałem sobie rozmowę z moją mamą, która miała miejsce jeszcze w liceum. Podobnie jak recepcjonista również chciałem wytatuować sobie obie ręce, lecz moja mama stwierdziła, że mogę zrobić to dopiero wtedy, jak sprzedam milion płyt. Sprytne zagranie. Nawet zrobienie tego na własny koszt, czyli wypalenie płyt nagrywarką było i wciąż jest mało opłacalne.

Kiedy dotarliśmy na czwarte piętro, Leon podał mi klucz. Po około minutowej walce z zamkiem, który był już mocno wyrobiony, udało się nam wejść do środka. Pokój zbyt nie odbiegał standardem od całego hostelu, jednak szybko zmieniłem zdanie, kiedy spojrzałem na sufit. Było to jedno, wielkie lustro. Od razu pomyślałem, że moje lustrzane gitarowe koncerty mogłyby wejść tutaj na wyższy poziom. Tak, wiem. To lustro znalazło się tutaj z całkowicie innego powodu.

Przeniosłem wzrok na resztę pokoju, który oprócz marnej jakości łóżka posiadał jeszcze tylko mały stolik i dwa krzesła. W międzyczasie Leon podszedł do okna i lekko je otworzył.

– Chcesz zapalić?

Oczywiście się zgodziłem, bo czułem, że im bliżej włamania do pokoju 216, tym moje dłonie wydawały się być coraz bardziej niepewne, zahaczając nawet o lekkie drzenie.

– Przedstawię ci teraz z grubsza plan działania – Leon zaciągał się papierosem, a następnie wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki metalowy przedmiot i położył go na stoliku. Był to łom, jednak wydawał się być znacznie mniejszy niż standardowy. Jeśli oczywiście umiem dobrze ocenić wielkość standardowego łomu. – Tak. Wiem, że to wygląda dosyć staromodnie, ale skup się na chwilę – kontynuował. – Po pierwsze. Kiedy będziemy schodzić do 216, ty na początku przystaniesz na półpiętrze. Nie wiemy, czy Barska nie jest przypadkiem w środku. Zapukam do drzwi i jeśli mi otworzy, to wtedy wylegitymuję się odznaką i powiem, że szukam jakiegoś bandyty. Spyta, czy nie widziała kogoś podejrzanego bla bla bla... A sam dobrze wiesz, że ona nie może zobaczyć ciebie.

– Bo powie, że to ja jestem bandytą, ponieważ czasami obsikuję deskę od kibla?

– Bardzo śmieszne – westchnął Leon, kończąc już swojego papierosa. Wyraźny znak, że musiałem podkreślić tempo swojego spalania.

– Jak się okaże, że nikogo nie ma w pokoju, wyślę ci pustego esemesa. Na szczęście nie ma w tym hostelu żadnych kamer, więc musimy uważać tylko na inne osoby na korytarzu.

– Powiedzmy, że brzmi to jak plan.

– Dobra. Idziemy – oznajmił Leon, jednak jeszcze przez kilka sekund wpatrywał się w swoje odbicie na lustrzanym suficie. Następnie znaleźliśmy się na korytarzu, wcześniej się upewniając, że nikogo tam nie ma. Kiedy dotarliśmy do półpiętra przed kondygnacją z pokojem pani Barskiej, Leon szepnął.

– Usiądź tutaj i udawaj, że chcesz do kogoś zadzwonić. Nie chcę, żebyś przegapił esemesa.

Skinąłem głową, a Leon zszedł pół piętra niżej, znikając po prawej stronie korytarza. Po około dziesięciu sekundach usłyszałem kroki pochodzące prawdopodobnie z pierwszego piętra. Kilka chwil później zobaczyłem dwie sylwetki idące schodami. Musiałem szybko coś zrobić, żeby nie zostać zbyt zapamiętanym przez postronne osoby. Odruchowo przyłożyłem telefon do ucha i naciągnąłem na oczy kaptur, próbując przybrać wygląd trochę skacowanego turysty. Patrzyłem cały czas w dół i udawałem, że z kimś się kłócę, chociaż było to trochę trudne na wstrzymanym oddechu. Na szczęście nikt nie zwrócił na mnie zbytniej uwagi, więc mogłem już odetchnąć, chociaż wiedziałem, że minie trochę czasu, zanim adrenalina znajdująca się w moim krwiobiegu całkowicie się wchłonie.

Nagle poczułem wibrowanie telefonu i dopiero się zorientowałem, jak mocno przyciskam telefon do ucha. Odblokowałem ekran i zobaczyłem informację o przychodzącej wiadomości tekstowej. Był to pusty esemes od Leona.

– Czas na przedstawienie – powiedziałem do siebie, a adrenalina zamiast się wchłaniać, jeszcze bardziej mi podskoczyła.

Adrenalina oprócz przyśpieszonego myślenia, polepszyła także moją koordynację ruchową, także dziesięć stopni, które dzieliły mnie od drugiego piętra, pokonałem dwoma idealnie zgranymi ruchami. Moją głowę przeszła nawet myśl, czy może nie zacząć regularnie biegać, aby taki stan utrzymywał się bez hormonu na literkę „A”. Wiedziałem jednak, że takie postanowienia zawsze czeka bolesna weryfikacja. Zwłaszcza w akademiku.

Gdy znalazłem się na drugim piętrze, spojrzałem w prawo. Kilka metrów ode mnie zobaczyłem Leona, który udawał, że wiąże buta. Ruszyłem w jego stronę, co chwilę odwracając się za siebie, jakbym się obawiał, że ktoś mnie obserwuje. Leon bez słowa podał mi parę gumowych rękawiczek, które wyjął z tylnej kieszeni spodni. Jak zawsze miejsce ich przechowywania wzbudziło moje niestosowne skojarzenia.

Podczas gdy obaj ubieraliśmy podstawowy sprzęt z lateksu dla amatorskich złodziei, straciłem równowagę i oparłem się łokciem o klamkę pokoju 216. Ku mojemu zdziwieniu drzwi się otworzyły, a ja wpadłem do środka. Zdażyłem jeszcze usłyszeć głos Leona układający się w słowa: „co do cholery”, a w ostatniej chwili udało mi się uchronić przed upadkiem, szczęśliwie rozkładając siły działające na moje trzydziestoletnie nogi.

W pokoju panowała niemal całkowita ciemność, co zapewne było spowodowane zasuniętymi roletami. Tylko niewielka szczelina będąca efektem lekko uchylonego okna wpuszczała do pomieszczenia cienki promień światła, który rozświetlał wąski kawałek podłogi. Byłem w stanie zobaczyć jedynie niewyraźny zarys łóżka oraz szafki nocnej.

Leon wszedł do środka, szybko zamykając za sobą drzwi. Kiedy po kilku sekundach zapalił światło, poczułem się, jakbym chciał, żeby w chwili kiedy oparłem się łokciem o klamkę, nastąpił filmowy moment w stylu: „ciąg dalszy nastąpi”. I żeby z powodu braków w budżecie ten „ciąg dalszy” nigdy nie nastąpił.

Pani Barska patrzyła na mnie na wpół zmrużonymi oczami, a gdy głucho jęknąłem, wisielcza pętla na jej szyi zacisnęła się jakby mocniej.

Nie byłem do końca pewny, ale Królik chyba się wkurzy.

Przyłożyłem przedramię do ust, bo czułem, jak zbiera mi się na wymioty. Dwa zgony wyglądające na samobójstwa w przeciągu dwóch dni to zdecydowanie za dużo. Nawet jak na trzydziestolatka.

– Myślisz że to przypadek? – spytałem, cały czas szybko przelatykając ślinę, jakbym chciał wybudować tamę przy wejściu do żołądka.

– Proszę cię. Nie wierzę w takie przypadki. Robię w policji już kilka lat i jeśli podejrzany kładzie się spać z pętlą na szyi, to znaczy, że aż nazbyt trafnie dostał nominację na podejrzanego. Chociaż w tym przypadku trochę dokładniejsze będzie nazwanie go zamieszanym w sprawę.

Wziąłem trzy głębokie wdechy i rozejrzałem się po pokoju. Jednak najchętniej zrobiłbym to z zamkniętymi oczami, bo nieważne w które miejsce spojrzałem, cały czas natrafiałem na jakiś lekko kołyszący się kawałek ciała pani Barskiej.

Pokój 216 był wyraźnie droższy od tego, który wynajęliśmy z Leonem. Łóżko, krzesła i stół wydawały się być znacznie lepszej jakości i jeszcze duża, narożna szafa wskazywała na znacznie wyższy standard.

Nagle się zorientowałem, że przecież w tym pokoju znajdują drzwi. Drzwi do łazienki. Naprawdę nie trwało to długo, zanim ta informacja dotarła się do mojego żołądka. Na własnej skórze poczułem, co to znaczy sprzężenie zwrotne, czyli tak zwany sprzęg często używany na koncertach rockowych. Powstaje poprzez zbyt zbliżenie gitary do głośnika połączonego ze wzmacniaczem. W aktualnej sytuacji gitarą był widok pani Barskiej w bardzo nietypowym stanie nieważkości, wzmacniaczem mój żołądek, a głośnikiem miało się zaraz stać moje gardło. Jednym słowem tama w moim żołądku zaczynała pękać.

Pędem rzuciłem się do łazienki. W ostatniej chwili podniosłem deskę i z każdym kolejnym skurczem żołądka, czułem, jak poziom adrenaliny powoli się obniża. Huśtawka tego hormonu i jeszcze fakt, że wymiotuję. Mojej podświadomości pewnie wydawało się, że jest Sylwester. Musiało minąć trochę czasu, zanim moja wątroba wysłała sygnał, że nie przerabia żadnego alkoholu, czyli to nie może być Nowy Rok.

Już miałem sięgać po papier, żeby wszystko dokładnie posprzątać, kiedy usłyszałem za sobą głos Leona.

– Świetnie, że nie zostawiamy żadnych śladów – powiedział ironicznie, rzucając w moją stronę paczkę chusteczek jednorazowych. – Dobrze, że chociaż mamy rękawiczki.

Miał całkowitą rację. Musieliśmy zminimalizować ilość zostawionych śladów, a używanie papieru w miejscu znalezienia zwłok pani Barskiej nie było najlepszym pomysłem dzisiejszego dnia.

– Po dziesiątym trupie się przyzwyczaisz – dodał Leon, kiedy ja byłem zajęty usuwaniem wszelkich pozostałości z toalety.

– Jasne – westchnąłem. – Z moją statystyką „trup co dwa dni” potrzebuję na to około dwóch tygodni.

– Z taką częstotliwością to już po piątym powinno być w porządku – Leon na chwilę zamilkł, jakby zauważył coś interesującego. – Ale jeśli chodzi o naszego zabójcę, to sporo się nauczył. Spójrz na to.

Mój wzrok powędrował w miejsce wskazywane przez niego.

– Przecież to tylko wanna wypełniona do połowy wodą.

– Spójrz na to z innej perspektywy.

Wstałem, powoli rozprostowując nogi i dopiero kiedy moja głowa znalazła się trochę wyżej, zobaczyłem telefon komórkowy znajdujący się na dnie wanny.

– Jeśli jakiś ślad znajdował się w pamięci tego telefonu, to nie ma już żadnych szans na jego odzyskanie – oznajmił Leon. – Możemy tylko załatwić jej numer i sprawdzić bilingi, ale nie dość że to trochę potrwa, to z doświadczenia wiem, że zabójca zawsze dzwoni z telefonu na kartę.

– Zabójca zawsze dzwoni z telefonu na kartę – powtórzyłem cicho pod nosem. – Muszę to zapisać w pamiętniczku.

– Co takiego?

– Nieważne. To jak myślisz? Co tu się stało?

Leon zmarszczył czoło.

– Jeśli założymy, że to samobójstwo nie było do końca samobójstwem i że moja teoria jest słuszna, to pani Barska знаła zabójcę. Zero śladów walki. W dodatku kiedy rozmawiałeś z kiblem, sprawdziłem też same zwłoki. Są czyste. Nie ma najmniejszych siniaków, otarć i śladów naskórka pod paznokciami. Czyli na razie żadnych powodów, żeby podejrzewać zabójstwo.

– A ten telefon w wannie? Nie jest to trochę dziwne?

– Czemu? Czysto hipotetycznie pani Barska mogła się kąpać, chciała do kogoś zadzwonić. Może się dodzwoniła, może nie. Z nerwów się popłakała i cisnęła telefon do wody. Gdy samobójca chce się zabić, nie obchodzą go darmowe minuty.

– Gdy samobójca chce się zabić, nie obchodzą go darmowe minuty. To też muszę zapisać w pamiętniczku – kolejny raz powtórzyłem cicho pod nosem, lecz tym razem Leon to zignorował, kontynuując swoją teorię.

– W dodatku wszystko będzie można wytłumaczyć jej sytuacją życiową. Dom przeznaczony do rozbiórki, a wątpię, żeby miasto miało jej przyznać jakiś lokal zastępczy. A pomieszkiwanie tutaj...

– Też doprowadziłoby mnie do samobójstwa – wtrąciłem.

Leon lekko się uśmiechnął.

– Mamy jednak małą przewagę. Zabójca nie wie, że ktoś prowadzi śledztwo, bo do mediów już w ten sam dzień w który cię przesłuchiwałem, poszła informacja, że było to samobójstwo. Zauważ jeszcze, że wcale nie tak łatwo było powiązać Alana z panią Barską.

– Zabójca jednak jakoś ich powiązał – powiedziałem ironicznie.

– Ale tak jak ci mówiłem, nie ma pojęcia, że ktoś inny, czyli my, też to zrobiliśmy – Leon wziął głęboki wdech, a po chwili wolno wypuścił powietrze. Zapewne miał ochotę na papierosa. – Podsumowując, ale czysto hipotetycznie. Zabójca jest pewien, że nikt nie połączy ze sobą tych dwóch śmierci. Oba pseudo samobójstwa są popełnione w inny sposób. Tylko może pojawić się pewien problem, kiedy okaże się, że to również nie było samobójstwo. Ostatnia rzecz która nam potrzebna, to jakiś inny policjant zajmujący się morderstwem Barskiej.

– A jak można stwierdzić, że to tutaj, to nie było samobójstwo?

– Możliwości jest wiele. Ale to jest bełkot patologów, który na razie pominę. W tym przypadku stawiałbym na coś o działaniu usypiającym. Jeśli mam rację, to

kiedy patolog zrobi badania toksykologiczne, na pewno wyjdzie to na jaw. Niestety ja wcale nie muszę być pierwszą osobą, z którą podzieli się tą informacją. Czyli...

– Czyli mamy sprawę o upozorowanie samobójstwa z innym śledczym niż ty.

– A jeśli to będzie ktoś ogarnięty, to po jakimś czasie może dodać do tego śmierć pod tytułem „Alan”.

Przełknąłem ślinę. Sytuacja zaczęła się naprawdę komplikować.

– To co teraz?

– Rozejrzymy się tutaj, ale szczerze wątpię, że coś znajdziemy. A później musimy odwiedzić pana recepcjonistę i zadać mu trochę pytań.

– Myślisz, że będzie coś wiedział?

– Nie wiem. Ale musimy go przekonać, żeby wezwał policję, zapominając o tym, że nas widział.

– Ale wtedy tylko przyspieszymy sekcję zwłok pani Barskiej, a sam mówiłeś, że patolog przekaze informację policji o upozorowanym samobójstwie. Czytaj, morderstwie.

– Tak. Powiedziałem, że nie muszę być wcale pierwszą osobą, która się o tym dowie, ale jeśli mniej więcej będę znał godzinę przewiezienia ciała do kostnicy, to może uda mi się załatwić, że będę jednak pierwszy. I jedyny. To znaczy maksymalnie przez jakiś tydzień.

– Czasem jednak umiesz pocieszyć.

Leon jakby się uśmiechnął.

Tak jak podejrzewaliśmy w pokoju nie znaleźliśmy nic, co mogło być jakimś konkretnym śladem. Dokumenty i portfel w szafce nocnej i trochę ubrań w szafie narożnej. Żadnego listu pożegnalnego. Jednak Leon stwierdził, że takie rzeczy występują tylko w filmach.

Kiedy wychodziliśmy, spojrzałem na wiszące ciało pani Barskiej i w głowie usłyszałem zdanie Leona: „Po dziesiątym trupie się przyzwyczaisz”, które po chwili zamieniło się w „Z taką częstotliwością to już po piątym powinno być w porządku”. Nie chciałem się przyzwyczajać. Podobno przez to rozpadają się małżeństwa.

Będąc już na korytarzu, przez głowę przeleciała mi myśl, że może pani Barska naprawdę popełniła samobójstwo, lecz kolejny raz usłyszałem głos Leona: „nie wierzę w takie przypadki”.

Zdjąłem gumowe rękawiczki i schowałem je do tylnej kieszeni spodni. Tym razem nie obchodziły mnie niestosowne skojarzenia. Miałem tylko nadzieję, że się nie przyzwyczaję.

Pan Tatuaz nerwowo wystukiwał rytm utworu lecącego w radiu. Był to „Sex on Fire” grupy Kings of Leon. Pamiętam, jak mój znajomy tłumaczył mi kiedyś fenomen tej kompozycji.

– Miki, masz tu seks, ogień, przystojnego wokalistę i jeszcze przystojniejszego basistę – mówił. – To nie mogło się nie sprzedać.

Kiedy podeszliśmy do recepcji, Pan Tatuaz zmierzył nas wzrokiem i głupkowato się uśmiechnął.

– Są panowie szybciej, niż się spodziewałem.

– Musimy pogadać – odparł stanowczym głosem Leon.

– Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale nasz hostel nie przyjmuje reklamacji – głupkowaty uśmieszek zrobił się nagle jakby bardziej poważny.

– Nawet za okazaniem paragonu? – Leon wyjął swoją odznakę, położył ją na blacie, a następnie przesunął na przeciwległą stronę.

– W takim razie zapraszam na zaplecze – odparł Pan Tatuaz, a jego głupkowaty uśmiech zniknął jak niewinność tego miejsca. Czyli jakby nigdy nie istniał.

Zaplecze do którego zaprowadził, można było uznać raczej za sporą graciarnię. Miało się wrażenie, jakby właśnie tutaj trafiały wszystkie niepotrzebne rzeczy z miasta.

Pan Tatuaz zapalił światło, jednak było ono tak blade, że praktycznie nic nie zmieniło.

– Dobra. Czego chcecie? – spytał, a z jego twarzy bez problemu można było wyczytać, że jest mocno zestresowany.

– Informacji – odpowiedział spokojnym głosem Leon, jakby chciał być całkowitym przeciwieństwem zdenerwowania.

– Wszyscy zawsze tak gadacie.

– O! Doświadczony – Leon sprawiał wrażenie coraz bardziej rozluźnionego.

– Nic na mnie nie macie!

Leon obrócił się w moją stronę.

– To jednak amator – uśmiechnął się, a następnie wyjął jakieś zdjęcie z wewnętrznej kieszeni kurtki i podał je recepcjoniście.

– Znasz ją?

Pan Tatuaz pokręcił przecząco głową.

– Może chwilę się jednak zastanowisz? Ledwo rzuciłeś okiem.

Tym razem recepcjonista przyglądał się tak długo, jakby chciał wyrobić jakąś nieznaną normę czasową. Przy okazji ja również zerknąłem na zdjęcie. Była na nim pani Barska, a fotografia swoim wyglądem przypominała te robione do prawa jazdy albo paszportu. Była tylko dosyć mocno powiększona.

Nagle Pan Tatuaz znowu pokręcił przecząco głową.

– Dobra. W takim razie trochę się tu rozejrzę – rzekł Leon, nakładając gumowe rękawiczki.

– Tutaj? Przecież tu nic nie ma.

Leon całkowicie to zignorował i szedł już w stronę półki z tysiącem niepotrzebnych rzeczy, kiedy nagle skręcił w stronę wytatuowanego recepcjonisty i mocnym kopniakiem podciął mu nogi. Ten zdążył się jeszcze tylko przekręcić w powietrzu i z głośnym hukiem upadł na podłogę. Leon nie marnował czasu, tylko doskoczył do niego i szybkim ruchem wykręcił mu obie ręce. Pan Tatuaz zaczął przeraźliwie jęczeć, lecz Leon kazał mu się zamknąć i powiedział, że to tylko trochę niestandardowe przesłuchanie. Następnie wyjął z kurtki mały woreczek z białym proszkiem i włożył go do kieszeni spodni recepcjonisty. Następnie przez chwilę go przeszukiwał, aby w końcu dziwnym trafem odnaleźć ten woreczek w kieszeni, do której włożył go kilkadziesiąt sekund wcześniej.

– Co my tu mamy – krzyknął z zachwytem Leon, powoli wstając i jednocześnie trzepocząc woreczkiem w powietrzu.

Pan Tatuaz przekręcił się na plecy, a jego czerwona twarz wskazywała na epicentrum wkurzenia. Chociaż może nie do końca było to epicentrum, bo kiedy dostrzegł rzecz, którą Leon machał z zadowoleniem w powietrzu, jego twarz, choć wcześniej wydawało się to niemożliwe, zrobiła się jeszcze bardziej czerwona.

– Nie wrobisz mnie w to gówno – krzyknął.

– Mikołaj, mówiłem ci, że to amator – Leon głośno się zaśmiał, a następnie kucnął i dwoma rękoma chwycił twarz recepcjonisty. Po kilku długich sekundach zamasyście przysunął ją do siebie.

– Słuchaj panie rączki z kreskówki. Naprawdę nie mam dzisiaj czasu na takie dyskusje. A wiem, że wy wszyscy jesteście, jak nastolatki, którzy posprzątają swój pokój dopiero wtedy, jak będą chcieli iść na imprezę. Także posłuchaj mnie teraz uważnie, bo nie mam teraz czasu na powtarzanie. Ten woreczek w którym jest 10 gram koki i o którym mogę zapomnieć, to twoja impreza. Mówienie prawdy to sprzątanie twojego pokoju, a ja jestem twoim rodzicem. Więc ładnie cię proszę, przyjrzyj się jeszcze raz temu zdjęciu i powiedz mi wszystko, co wiesz.

– Nie wrobisz mnie w to gówno.

– Miałem się nie powtarzać, więc ty też tego nie rób. W nagrodę powiem ci jeszcze jedno. Pracujesz w takim miejscu, że pobyt w więzieniu był chyba wymagany w CV. Także pomyśl, komu uwierzą. Recydywiście ze słabym Picasso na rękach, czy mi, policjantowi z siedmioletnim stażem bez nagany.

– Na woreczku nie ma moich odcisków palców – wycodził przez zęby Pan Tatuaz.

Leon pomachał mu przed nosem swoim dłońmi w rękawiczkach.

– Załóż się, że moich też nie.

Nastąpiła niezręczna cisza, którą przerwał odgłos westchnienia recepcjonisty.

– Dobra, już dobra – rzekł, a z jego twarzy zaczął odpływać nadmiar krwi i momentalnie zrobiła się dużo mniej czerwona.

– Ta babka ze zdjęcia... – zaczął. – Mieszka u nas od zeszłego tygodnia. Ale to spokojna kobieta, nie żaden bandzior. Już się nawet zaczynałem dziwić, że tak długo tu siedzi.

– Ktoś ją odwiedzał?

– Nie mam pojęcia. Tu łązi tyle ludzi.
– Zastanów się – Leon nie przestawał obracać woreczka w dłoniach.
– Pamiętam – krzyknął nagle. – W ten poniedziałek złapał ją przy recepcji jakiś koleś.

– To ten? – Leon wyjął z kurtki wydrukowane zdjęcie Alana, a ja uzmysłowiłem sobie, jak beznadziejnie jestem przygotowany. W portfelu miałem tylko zdjęcie Julii.

Pan Tatuaz pokręcił głową.

– Nie. Tamten był blondynem o jasnej karnacji. Ale też wyglądał na jakieś dwadzieścia lat. Mówił coś... Niech to... Muszę chwilę pomyśleć. Mówił, że minus pięćdziesiąt jeden jest puste. Zapamiętałem to tylko dlatego, bo dzień wcześniej oglądałem program o strefie 51. Wiecie, ta pustynia z ufoludami. I jak on powiedział, że minus pięćdziesiąt jeden jest puste, wydało mi się to zabawne.

– Faktycznie. Dawno nie słyszałem nic śmiesznieszego – zakpił Leon. – A imię tego chłopaka? Ta kobieta jakoś go nazywała?

– Nie pamiętam. Ale była na niego zła i kazała mu się wynosić.

– I wyniósł się, czy tego też nie pamiętasz?

Pan Tatuaz sztucznie się uśmiechnął.

– Wyszedł, krzycząc, że to nie jego wina i na pewno się o tym w końcu przekona. I że później nie będzie czasu, aby to wszystko naprawić.

– I to był jej jedyny gość?

– Nie mam pojęcia. Nie prowadzimy księgi odwiedzin. Jeśli ktoś kogoś odwiedza, to po prostu przychodzi pod konkretny pokój.

Leon ostatni raz podrzucił torebkę z kokainą, a później schował ją do kieszeni.

– Dobra. Już prawie skończyliśmy, a tak przy okazji, to muszę przyznać, że widok narkotyków całkiem nieźle odświeżył ci pamięć. Także nie zażywaj, tylko zawsze sobie popatrz. Na pewno wyjdzie ci na lepsze.

Pan Tatuaz znowu sztucznie się uśmiechnął.

– Jasne – zakpił. – A tak szczerze, to się streszczaj, bo muszę zaraz wracać do pracy.

– Nie martw się. Nagroda pracownika miesiąca na pewno ci nie ucieknie.

Roześmiałem się, a Leon kontynuował.

– Teraz ostatnie, ale może najważniejsze. Kiedy razem z kolegą opuścimy ten uroczy hostel, odczekasz dziesięć minut i pójdziesz do pokoju 216. Rutynowa kontrola, bo któryś z gości skarżył się na nieprzyjemny zapach dochodzący zza drzwi. Po kilkuminutowym szoku wezwiesz policję, ale mogę cię zapewnić, że policja będzie dosyć ciekawska, także przygotuj się na równie miłe rozmowy, jak ta ze mną. Proponowałbym ci także ubrać coś z długim rękawem. Jeśli nadal nie rozumiałeś najważniejszej rzeczy, to jeszcze raz ci podpowiem. Nie widziałeś nas tutaj, nigdy o nas nie słyszałeś i nawet nie chcesz nas poznać, nawet gdybyśmy cię zaprosili na romantyczną kolację we troje. Rozumiesz?

Pan Tatuaz kilkakrotnie kiwał głową, na znak że rozumie, a Leon mówił dalej.

– Jeśli jednak nie rozumiałeś, to podrzucę ci takie ilości narkotyków, że pójdziesz siedzieć na tyle lat, by twoi kumple z celi mieli wystarczająco czasu, aby

uzupełnić twoje kolorowanki na rękach. I uwierz mi. Ich nie będzie obchodziło, czy wychodzą za linie. A jeśli akurat nie będę mieć humoru, to rozpuszczę trochę niepochlebnych plotek na twój temat i wtedy dodatkowo poznasz metaforyczne znaczenie wychodzenia za linie.

Pan Tatuaz sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz powiedzieć swój oklepany tekst „nie wrobisz mnie w to gówno”, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Kiwnął tylko głową i zaczął powoli wstawać. Otrzeptał się z brudu i bez zastanowienia skierował się w stronę drzwi. Razem z Leonem ruszyliśmy za nim, a kurz w zagraconym zapleczu zapewne opadał przez kilka najbliższych godzin.

Przy recepcji stała zdenerwowana kobieta, która zaczęła wrzeszczeć, że czeka na obsługę już od piętnastu minut. Pan Tatuaz tylko wzruszył swoimi kolorowym ramionami, a potencjalna klientka na wiadomość, że musi jeszcze trochę poczekać, wyszła, głośno trzaskając drzwiami. Nie chciałbym spekulować, ale jego nagroda dla pracownika miesiąca może być trochę zagrożona.

Pan Tatuaz kolejny raz wzruszył ramionami, ale kolory jego dziar wydały mi się tym razem znacznie bledsze. Następnie usiadł na fotelu i z odgłosem westchnienia mocno wbił plecy w oparcie.

– Wiesz co? Jednak rezygnuję z reklamacji – rzekł Leon z ironicznym uśmiechem, opierając się o ladę. – Prawda Mikołaj? W sumie się nam podobało.

Skinąłem głową, jednocześnie wzruszając ramionami, a w tym samym czasie Pan Tatuaz przymknął oczy i podniósł dłoń w geście, że rozumie.

– W takim razie do zobaczenia – powiedział Leon, stukając kilka razy dłonią o blat. – Tylko nie zapomnij, na co się umówiliśmy.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, od razu zwróciłem uwagę na zaparkowany samochód Leona. Był on pokryty tak grubą warstwą śniegu, że bez problemu mógłby wziąć udział w filmie katastroficznym.

– To co teraz? – spytałem, energicznie pocierając o siebie marznące dłonie.

– Nie mam pojęcia, ale wiem, że musimy się mocno śpieszyć – odparł Leon, bezskutecznie próbując odpalić papierosa.

Rozdział 15

„Zimno, zimniej, polej kielona”

Samochód Leona w przeciwieństwie do papierosa w końcu odpalił, lecz w środku było tak zimno, że musiałem wsunąć dłonie pomiędzy nogi a fotel, żeby nie dostać odmrożeń.

W dodatku nie odjechaliśmy zbyt daleko, bo Leon zaparkował po drugiej stronie ulicy. Spojrzałem w kierunku hostelu, lecz przez padający śnieg, nie byłem w stanie zobaczyć nawet słabego zarysu budynku. Może gdyby chociaż włączyli ten rozwalający się neon?

– Długo będziemy tak stać? – spytałem, niemal widząc, jak na moich dłoniach jest wytatuowane zdanie: „kup rękawiczki”. Pomyślałem, że mógłbym dopisać: „mam gumowe, ale to chyba nas nie ratuje”.

– Muszę sprawdzić, czy ten kretyń wezwał policję – Leon niemiarkowo stukał w górną część kierownicy.

– Po takiej wiaźance, jaką mu zaserwowałeś, myślę, że nie powinienes się martwić.

– Nigdy nikomu nie ufam, a zwłaszcza takim przyjemniaczkom.

– A nie pomyślałeś, że może spróbuje nas wsypać? Przecież istnieje całkiem spora szansa, że powie wszystko policji.

– Nie martw się. Na to też jestem przygotowany.

Wolałem nie pytać, co dokładnie ma na myśli. Nagle obok nas przejechała karetka na sygnale, a chwilę później oznakowany samochód policyjny, więc wyglądało to na wystarczający dowód prawdomówności naszego wytatuowanego recepcjonisty. Jednak zamiast odjechać, Leon wyciągnął telefon i zaczął gdzieś dzwonić.

– Dzwonisz z podziękowaniami i karnetem na pięć wejść do studia tatuażu? – zakpiłem, ale Leon dwa razy machnął ręką, co zapewne oznaczało, że mam się przymknąć.

– Co słychać doktorku? – zaczął.

– Cześć Leon. Normalnie czekałem, aż do mnie zadzwonisz – głośnik w telefonie działał tak głośno, że bez większych problemów słyszałem wszystkie słowa osoby znajdującej się na drugim końcu linii.

– Mam sprawę. I nie mam dużo czasu. Zapewne dzisiaj do kostnicy przywiozą samobójca. Prokurator zleci sekcję. Kobieta, nazwisko Barska. Na oko jakieś pięćdziesiąt lat. Mam nadzieję, że ty będziesz jej lekarzem prowadzącym. Jeśli na sekcji wyjdzie, że to morderstwo, to zachowaj to dla siebie. To znaczy tylko dla mnie.

Po drugiej stronie dało się słyszeć dłuższą pauzę, a następnie ciche westchnięcie.

– Czyli istnieje duża szansa, że okłamię prokuratora, kilku policjantów i rodzinę zmarłej, co grozi wywaleniem mnie z pracy i zakazem wykonywania zawodu? Bo ty jak zwykle walczysz o sprawiedliwość na świecie.

– Idealnie to ująłeś doktorku – odparł Leon, na co zawtórował mu głośny śmiech.

– Dobra. Powiedzmy, że się zgadzam. Ale i tak dobrze wiesz, że was nienawidzę, bo jesteście tak niefrasobliwi, że zanim złapiecie morderców, oni zdążą już zabić tyle ludzi, że mam ręce pełne roboty.

– Trzeba było zostać ginekologiem.

– Nie przesadzaj. Jedynym marzeniem ginekologów jest epidemia choroby wenerycznej na wyborach miss świata.

– Słaby żart.

– Wybacz. Moi pacjenci jakoś nie przynoszą mi żadnych nowych.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, chociaż ja starałem się zrobić jak najciszej, żeby nie zdradzać swojej obecności. W dodatku poczułem, że moje dłonie w końcu zaczęły się zbliżać do temperatury reszty ciała.

– To mówisz, że mniej więcej o której przyjedzie Charon? – spytał doktorek.

– Nie wiem. Godzina. Maksymalnie dwie.

– W takim razie dam znać, jak się czegoś dowiem. Dobra, muszę już kończyć, bo niestety mam dzisiaj obowiązek rozruszać kilku sztywniaków.

– Znowu słaby żart, ale chociaż dzięki za przysługę. Trzymaj się – rzekł Leon, a następnie się rozłączył.

– Jak wy mówicie na ten samochód, który przewozi zwłoki? Charon? – spytałem, nie mogąc się nadziwić, że moje dłonie są już naprawdę ciepłe.

– Tak. Ten przewoźnik z mitologii greckiej. Ciekawa postać. Za przewiezienie przez Styks do Hadesu brał jednego obola. Pomijając fakt, że był na tyle sprytny, że grabił z kasy zmarłych, to stworzył chyba najstarszy zawód świata. Łapówkarz.

– A czy przypadkiem najstarszy zawód świata nie nazywa się trochę inaczej?

– I tu się mylisz Mikołaj. Dlaczego osoby, które ustanowiły listę z najstarszymi zawodami świata, umieścili prostytutkę na pierwszym miejscu?

Pstryknąłem palcami.

– Jasne. Wzięli łapówkę.

– Właśnie. We've got the winner.

Leon zapalił światła i ustawił maksymalną szybkość wycieraczek, lecz to nie poprawiło zbyt widoczności. Po chwili wrzucił drugi bieg i ostrożnie włączył się do ruchu, przy okazji przeklinając brak małych wycieraczek w bocznych lusterkach. Były one tak zaśniewane, że zmiana pasa ruchu była praktycznie próbą samobójczą. Zupełnie jak chęć rozwiązania zagadkowej śmierci Alana.

– Chyba jesteśmy w martwym punkcie – rzekł nagle Leon, który był wyraźnie zirytowany faktem, że dopuszczalna prędkość 40 km/h teraz naprawdę obowiązuje.

– Minus pięćdziesiąt jeden. Nic mi nie przychodzi do głowy. I jeszcze ten blondyn. Kim on do cholery może być? – powiedziałem to wszystko bardziej do siebie, a kiedy wypowiadałem ostatnie słowo, wpadłem na banalny, ale jakże genialny pomysł. Wujaszek Google.

Wygrzebałem z kieszeni swój telefon i szybko włączyłem przeglądarkę internetową. Niestety wyszukiwarka równie szybko ostudziła mój entuzjazm, znajdując strony tematyczne o strefie pięćdziesiąt jeden pełnej ufoludków, która tak bardzo rozśmieszyła recepcjonistę oraz wiadomości o temperaturach panujących w kilku syberyjskich wioskach. Stwierdziłem, że wpisywanie hasła blondyn o jasnej karnacji mogę już sobie darować, bo wyniki mogłyby mnie zaprowadzić w mroczne miejsca internetu. Jednak w momencie zamykania przeglądarki przez moją głowę przeleciała kolejna myśl, która postawiła na nogi mój wcześniejszy entuzjazm. Krystian. Najlepszy przyjaciel Alana, za którego ten prawdopodobnie się podawał. Zakląłem w duchu. Jak mogłem o nim zapomnieć. Niestety odkąd złapałem się na jego pocztę głosową, mój mózg jakby przerzucił go w mniej używane rejony. A przecież to on mógł być osobą, której szukam.

Podzieliłem się moją dedukcją z Leonem, lecz on zmarszczył tylko czoło w geście niedowierzania.

– Możesz spróbować do niego zadzwonić, ale on mi tutaj średnio pasuje – powiedział Leon, robiąc krótką pauzę w momencie wyprzedzania ogromnej odśnieżarki. – Po co ten cały Krystian miałby zabijać swojego najlepszego przyjaciela, a później zabijać jego ciotkę, nieudolnie pozorując samobójstwa?

– A jeśli pani Barska naprawdę popełniła samobójstwo?

– Już ci to tłumaczyłem Mikołaj. Nie wierzę w takie przypadki No ale dzwoń. Tylko co mu powiesz? „Cześć, to ja znalazłem zwłoki Alana. Nie wiedziałeś, że nie żyje? A to trochę dziwne, bo tak sobie pomyślałem, że to ty go odstrzeliłeś, a później jego ciotkę, bo pewnie wydzwaniała do ciebie z pytaniem, czy nie widziałeś Alana. A tak poza tym to nie jesteś przypadkiem blondynem o jasnej karnacji? Wiesz... Koleżanka szuka...”

Wzruszyłem ramionami i zacząłem stukać swoim telefonem o deskę rozdzielczą. Leon miał rację. Jeśli podejrzenie padło teraz na Krystiana, potrzebowaliśmy konfrontacji z elementem zaskoczenia w tle, czyli krótko mówiąc, potrzebowaliśmy adresu, a jedyną znaną nam osobą, która mogła nam w tym pomóc była Julia.

Otworzyłem kontakty i szybko zjechałem do wpisów zaczynających się na literę „J”. Kiedy wcisnąłem przycisk oznaczony zieloną słuchawką, mając podświetlony na ekranie napis „Julia”, poczułem jak momentalnie podnosi mi się ciśnienie. Nie wiem, czy było to spowodowane tym, że w mojej głowie natychmiast utworzył się obraz Julii ubranej w bikini w retro groszki, czy może dlatego, że pięć sygnałów później

włączyła się poczta głosowa i usłyszałem ten trochę dziewczęcy, trochę kobiecy głos z lekkim śmiechem wymawiający zdanie:

– Cześć, tu Julia. Nie mogę odebrać teraz telefonu, bo pewnie oglądam jakiś serial, jem popcorn i uczę się do egzaminu. Także kup więcej popcornu i załatw dobre ściagi. Wtedy możesz wpadać.

Nie doczekałem już do krótkiego sygnału, po którym można się nagrać, a podczas wciskania czerwonej słuchawki poczułem jak mój puls jest znacznie przyspieszony.

– Poczta – westchnąłem.

– Wyślij jej esemesa. Niech ci poda wszystko, co wie na temat Krystiana. Nazwisko, adres i rysopis. I niech mu przypadkiem o tym nie wspomina.

Znowu westchnąłem. Pisałem do Julii pierwszego esemesa w życiu i prosiłem o nazwisko, adres i rysopis chłopaka. Jeśli kiedykolwiek mamy się znaleźć w jakichś bardziej romantycznych okolicznościach, to chyba trochę źle to wróżyło.

Nagle wewnątrz samochodu wypełniło się taną melodyjką midi pochodzącą z telefonu Leona, a ja uzmysłowiłem sobie, że fabrycznie wbudowane dźwięki komórek bezlitośnie zabijają muzykę.

– Co jest Dżin? – głos Leona wydawał się być zdziwiony – Myślałem, że zadzwonisz dopiero w poniedziałek.

– Dałem sobie trochę zapasu – głośnik w telefonie wciąż działał w trybie starego dziadka, a brak włączonego radia tylko wzmacniał ten efekt.

– Masz coś?

– Całkiem sporo.

– Mogę za chwilę wpaść? Ale byłbym ze znajomym.

– Można mu ufać?

Leon przekręcił głowę w moją stronę i szeroko się uśmiechnął.

– Powiedzmy, że mam na niego solidnego haka.

W słuchawce dało się słyszeć głośny śmiech, bo Dżin, w przeciwieństwie do mnie, zapewne potraktował to jako dobry żart. Zacząłem też się zastanawiać od czego pochodzi jego ksywa. Jeśli mieszkałby w akademiku, odpowiedź byłaby dużo prostsza. Niejedna osoba sprawiała wrażenie, jakby miała pseudonim zapożyczony od rodzaju alkoholu. Jednak może w przypadku znajomego Leona było to coś bardziej duchowego.

– Haka? Zupełnie jak na mnie – odparł po chwili Dżin – W takim razie zapraszam.

Leon gwałtownie skręcił o 180 stopni, przy okazji łamiąc kilka przepisów drogowych. Miałem wrażenie, że jego mocno sfatygowana Skoda zaraz wejdzie w nadprzestrzeń.

Ponad pół godziny zajęło nam dotarcie do ekskluzywnego osiedla na przedmieściach, w obrębie którego mieścił się luksusowy apartament Dżina.

Leon nie chciał mi wyjawiać zbyt wiele informacji na jego temat, bo jak stwierdził, im mniej wiem, tym znacznie lepiej. Dowiedziałem się tylko, że Dżin jest niezwykle utalentowanym hakerem i researcherem, a sam Leon wyświadczył mu kiedyś sporą przysługę, przez co może liczyć na długofalową pomoc przy bardziej skomplikowanych sprawach.

Leon zaparkował obok jednego z czteropiętrowych, bliźniaczo podobnych do siebie budynków, wciskając się w lukę pomiędzy ciasno zaparkowanymi samochodami.

– Naprawdę uwielbiam te nowobogackie getta, gdzie znalezienie miejsca do parkowania to jakiś Święty Graal – rzekł ironicznie, głośno zatraskując drzwi samochodu.

Przyznałem mu rację, a następnie próbowałem przebić się przez sporą zaspę. Niemal czułem jak śnieg w butach zostaje w nich do kolejnej zimy, a gdy w końcu udało nam się dotrzeć do klatki oznaczonej numerem 17, stwierdziłem, że śnieg w butach jest najmniej problematycznym miejscem znajdowania się białego puchu. Chociaż nie mogłem być pewny, że jedynie białego.

Leon wybrał numer mieszkania na domofonie, a ja czułem jak roztopiający się śnieg wsiąka w ubranie w stanowczo zbyt wielu miejscach. Nagle drzwi cicho zabrzęczały i obaj znaleźliśmy się w pięknie zaprojektowanej klatce schodowej. Opierając się na mojej wątpliwej wiedzy architektonicznej, wydawała się być inspirowana współczesnymi japońskimi twórcami. Podsumowując: biel, drewno, światło i przestrzeń. Czytaj pieniądze.

Po wjechaniu windą na trzecie piętro, przeszliśmy przez szeroki korytarz i zatrzymaliśmy się przed drzwiami z numerem 9. Po użyciu dzwonka, który był tak wkomponowany w ścianę, że niemal niewidoczny, drzwi bezszelestnie się otworzyły. Stał za nimi wysoki mężczyzna ubrany w dżinsowe spodnie i koszulkę polo. Uwagę przyciągały oprawki od okularów, które były przezroczyste oraz całkiem rozbudowana muskulatura. Widać było, że widywał siłownię nie tylko na reklamach w internecie. Zakląłem w duchu. Jeśli tak wyglądają współcześni hakerzy, to przestało mnie dziwić, dlaczego Profesor zaczął studiować informatykę.

Leon mnie przedstawił, a po wymienieniu uścisku dłoni Dżin wpuścił nas do środka. Przeszliśmy do obszernego salonu, który sprawiał wrażenie, jakby składał się z samych kwadratów i prostokątów, tym samym przypominając trochę grafikę gier wideo z lat osiemdziesiątych. Niemal czekałem aż zaraz zagadają do nas Pac – Man i Donkey Kong.

Razem z Leonem usiedliśmy na kanapie obitej białą tapicerką, a Dżin zajął czarny fotel z kółkami, które wyglądały jak pomniejszone koła od terenówki. Jak widać, meblarze mieli tutaj klienta o nietypowym guście.

Dżin spytał, czy chcemy się czegoś napić, a po tym jak odmówiliśmy, przysunął się do biurka, na którym znajdowała się tylko jedna rzecz. Biały laptop. Po chwili parokrotnie uderzył w klawisz spacji, tak że wygaszony ekran ponownie się włączył.

Następnie przez jakąś minutę przełączał się pomiędzy oknami programów, po czym pomieszczenie wypełniło się odgłosem pracującej drukarki, która, co dopiero teraz zauważyłem, znajdowała się pod biurkiem. Drukarka przestała wyrzucać kolejne strony, a Dżin miał już wtedy w dłoniach około trzydzieści kartek formatu A4. Podeszedł blisko ściany przy której ustawione było biurko i zaczął je przyczepiać w dwóch rzędach, używając do tego małych magnesów.

– Ciekawa ściana – głośno podsumowałem.

– Wielka, ale bardzo cienka metalowa płyta pomalowana na białe. Często jak pracuję, ta ściana jest cała pokryta różnymi papierami. Bez tego za dużo bym nie ogarnął – odparł Dżin nawet się nie odwracając.

Kiedy już skończył rozmieszczać kartki, zauważyłem, że górny rząd jest znacznie krótszy od dolnego. W dodatku oba zaczynały się od kartki, na której znajdowała się robocza nazwa. Pierwszy był oznaczony nazwą „Alan”, a kolejny „telefon portiernia”. Olśniło mnie. To były bilingi. W poziomie ciągnęły się kolejne strony spisu połączeń danego numeru z podaną dokładną datą i godziną. Zauważyłem też, że kilka numerów z obu rzędów było zaznaczonych kolorami: czerwonym, zielonym i niebieskim.

– To są bilingi z okresu trzech miesięcy – rzekł nagle Dżin, tym samym potwierdzając moje przypuszczenia. – Zacznę od pewnej nieścisłości. Leon, powiedziałeś mi, że te dwa telefony prawdopodobnie należały do tej samej osoby. I tu pojawia się pewien problem. Te dwa numery do siebie dzwoniły.

Obaj unieśliśmy wysoko brwi, a Dżin kontynuował.

– Dwa dni przed śmiercią tego Alana częstotliwość połączeń pomiędzy tymi numerami wyraźnie wzrosła – Dżin wskazał numery o kolorze czerwonym, które wyraźnie się zagęszczały na ostatniej kartce każdego z rzędów. – A raczej rzadko ktoś dzwoni na drugi telefon, który ma w kieszeni.

Nagle Leon gwałtownie wstał i podeszedł do ściany.

– A te zielone i niebieskie numery? – spytał.

– Tu pojawia się kolejna nieścisłość. – Dżin z powrotem usiadł na krześle i nachylił się nad komputerem. – Z bilingów wynika, że Alan i ten drugi numer kontaktowały się z dwoma wspólnymi numerami. Stąd kolory zielony i niebieski. Pierwszy numer należy do pięćdziesięciodwuletniej Anny Kowalonek, a drugi do pięćdziesięcioczwolletniej Alicji Barskiej. Nie znalazłem żadnego powiązania pomiędzy tymi dwiema kobietami. I jeszcze jedna dziwna rzecz. Z obu numerów dzwoniło mniej więcej tak samo często do Alicji Barskiej, a do tej Anny Kowalonek „Alan” dzwonił aż za często, a „telefon portiernia” bardzo rzadko.

– Anna Kowalonek to matka Julii i to Julia używa tego numeru – powiedział Leon, cały czas przyglądając się kolejnym kartkom. – Julia to dziewczyna, to znaczy była dziewczyna Alana. A Alicja Barska to jego ciotka, którą około godzinę temu znaleźliśmy martwą w hostelu „Chmielowy Taniec”. Dlatego chciałem cię poprosić, żebyś znalazł mi jej numer, co jak się okazało, już zrobiłeś i też wykradł jej bilingi.

– Żartujesz? – Dzin głośno się roześmiał. – Chciałeś, żebym załatwił ci bilingi numeru, którego nawet nie znasz. Nie jesteś przypadkiem liderem w konkursie na policjanta roku?

– Jeszcze dzisiaj się zapiszę.

– Dobra, tylko się z tobą droczyłem.

W czasie gdy Dzin ściągał bilingi pani Barskiej, Leon wyszedł na balkon zapalić. Ja podszedłem do dwóch rzędów kartek i zacząłem przeglądać wszystkie połączenia. Raczej z nudów, niż z przekonania, że natrafię na jakiś ślad. Zastanawiałem się też przez chwilę, jak duży popełnił błąd. Przecież kiedy sprawdzałem książkę kontaktów w telefonie z portierni, skoncentrowałem się na tym, żeby znaleźć w niej Julię, a należało tam raczej znaleźć Alana. Zakląłem w duchu. Co za pechowy zbieg okoliczności. Później telefon się rozładował, a znajomy technik Leona nawet jeśli sprawdził książkę telefoniczną, to nie szukał tam wpisu oznaczonego hasłem „Alan”, skoro wszyscy myśleliśmy, że to telefon Alana. Niech to. Teraz sprawdzenie tego wpisu wydawało mi się oczywiste. Zostały jeszcze odciski palców Alana na tym telefonie, ale to też można łatwo wytłumaczyć. Jeśli dzwonił na ten numer dosyć często, to raczej na pewno spotkał się z jego posiadaczem. A wtedy mógł na przykład przeglądać zdjęcia w galerii, sprawdzać jakąś informację, cokolwiek.

Nagle przeszedł mnie mimowolny dreszcz i poczułem, jakby mnie znowu olśniło.

– To nie może być takie proste – pomyślałem i szybko skierowałem się do ostatniej kartki bilingu oznaczonego jako „telefon portiernia”. Trzy ostatnie połączenia były napisane kolorem niebieskim, czyli był to numer Julii. Na końcu każdego z połączeń znajdowała się mała literka „p”, co oznaczało, że Julia dodzwoniła się do poczty głosowej.

Przesunąłem wzrok o jeden wiersz wyżej i szybko przeczytałem numer, który znałem, aż za dobrze. Mój własny. Sprawdziłem datę i godzinę. 8 Grudnia, czwartek, 18:27, czyli dokładnie wtedy, kiedy wyszedłem od Julii i złapałem się na pocztę głosową Krystiana. Cholera. To jest telefon Krystiana.

Już miałem biec na balkon i opowiedzieć to wszystko Leonowi, kiedy mój telefon zawibrował w kieszeni. Esmes od Julii. Mimo że zawierał kilkanaście linijek, rzuciły mi się w oczy tylko dwa słowa. „Krystian Barski”.

Tak dużo puzzli powpadało w różne, dziwne miejsca, że przez chwilę zakręciło mi się w głowie.

„Hej Mikołaj. Przepraszam, że nie odebrałam, ale rozładował mi się telefon. Nie rozumiem, po co ci te wszystkie informacje o Krystianie, ale jeśli ma to coś pomóc to okej. Krystian Barski, ul. Krucza 71/20. Krystian to blondyn o dość jasnej

karnacji. PS. Od dwóch dni próbowałam się do niego dodzwonić, ale ma wyłączony telefon. Byłam nawet w jego mieszkaniu, to znaczy rozmawiałam z nowymi najemcami, bo okazało się, że Krystian nie mieszka tam już od jakichś dwóch tygodni. Także adres, który ci podałam chyba raczej niezbyt się przyda. Dzwoniłam też nawet do kilku wspólnych znajomych, ale oni też nie mają pojęcia, gdzie jest Krystian. Daj znać, jeśli się czegoś dowiesz. Pozdrawiam, Julia.”

– Czyli dobrze wytypowaliśmy podejrzanego – rzekł Leon, oddając mi telefon i wyjmując kolejnego papierosa.

– Ale schrzaniłem jedną rzecz – westchnąłem. – Kiedy brałem numer Krystiana od Julii, nie spytałem o jego nazwisko. A mogłoby to przyspieszyć nasze śledztwo.

Leon również westchnął, lecz po chwili zmienił kierunek ruchu powietrza, głęboko się zaciągając.

– Może trochę. Szkoda, że w bazie odcisków palców nie było Krystiana, bo wyszłoby to pewnie na badaniu tego telefonu z portierni.

– Tak, a obstawialiśmy, że to odciski Królika – zaśmiałem się. – Ale coś mi tu nie pasuje – zacząłem stukać palcami w zaśnieżoną poręcz balkonu. – Jeśli dobrze zakładamy, że Krystian jest spokrewniony z panią Barską, bo jak mawia genialny śledczy Leon Muszyński „nie wierzę w takie przypadki”, to mamy świadka – pana, który wpadł rękoma do kotła z tuszem. Widział on, jak Krystian kłóci się z Barską. Groził jej, że pożałuje swojej decyzji, czyli mamy motyw, ale mamy też lukę w postaci „minus pięćdziesiąt jeden jest puste”. Za to w przypadku śmierci Alana mamy praktycznie tylko same znaki zapytania. Jeśli to Krystian zabił Alana, to czemu zabrał jego telefon, a swój zostawił w portierni. To znaczy można to jeszcze wytłumaczyć, że po morderstwie nie zdążył wrócić po swój telefon. Ale w takim razie po co Alan podawał się za Krystiana? A to podobno byli przecież najlepsi przyjaciele. Nic tu nie pasuje. Dobra Leon, chyba musisz mnie poratować papierosem.

Już wyciągałem rękę w kierunku wypełnionej do połowy paczki, kiedy Leon tak mocno kopnął w słupki od poręczy, że całość dość mocno się zatrzęsła, tworząc mały, lokalny opad śniegu.

– A ta kobieta, która była na portierni, kiedy pojawił się tam ten telefon. Myślisz, że może coś pamiętać? – spytał. – Bo teraz musimy się dowiedzieć, kto zostawił tam ten telefon. Alan podający się za Krystiana, czy może prawdziwy Krystian?

– Na portierni była wtedy Mądra Krystyna. Jak chcesz, możesz z nią pogadać, ale wątpię, żeby to coś dało. Ona nie ma zbyt dobrej pamięci do czegokolwiek. Pamięta tylko, gdzie znajduje się przycisk otwierania drzwi od akademika – odparłem i miałem już zaciągnąć się papierosem, kiedy drzwi balkonowe gwałtownie się otworzyły.

– Kończcie tę randkę, bo chyba musicie coś zobaczyć.

Równocześnie spojrzeliśmy na Dżina, który był wyraźnie podekscytowany i wróciliśmy do środka.

Teraz na ścianie znajdowały się trzy rzędy kratek. Oprócz bilingów oznaczonych jako „Alan” i „telefon portiernia”, który powinien być raczej nazwany „Krystian”, znajdował się tam trzeci, oznaczony jako „Alicja Barska”. Oprócz spisu połączeń Alana, który pozostał taki sam, dwa pozostałe bilingi zostały całkowicie zastąpione nowymi kartkami. Może trochę przesadzam, ale utworzyła się na nich wielobarwna tęcza. Idąc od lewej, niektóre numery były oznaczone kolorami: żółtym, pomarańczowym, fioletowym oraz kilkoma dziwnym odcieniami, których zapewne nie umiem poprawnie nazwać.

– O co tu chodzi? – spytałem, odwracając się w stronę Dżina.

– Wprowadziłem wszystkie trzy bilingi do programu, który filtruje wspólne połączenia i zaznacza każde osobnym kolorem. „Alan” i „Alicja Barska” mieli tylko jeden wspólny numer.

– Telefon portiernia – wtrąciłem. – Chociaż powinienesz to zapisać jako „Krystian”.

– Czyli udało wam się ustalić, czyj naprawdę jest ten telefon?

– Tak jakby – rzekł Leon, wpatrując się w ostatnie kartki każdego z bilingów.

– Ale to jeszcze nie koniec – kontynuował Dżin. – Kiedy porównałem bilingi telefonu znalezione w portierni z telefonem Alicji Barskiej wyszedł mi właśnie ten koszmar młodego daltonisty – Dżin wskazał palcem numery oznaczone kolejnymi kolorami. – I tu pojawiły się trzy ciekawe rzeczy. Każdy z tych numerów jest na kartę, czyli nie da się sprawdzić, na kogo był zarejestrowany. Po drugie każdy numer był aktywny dokładnie przez tydzień. A po trzecie, w kolejnych tygodniach łączono się tylko z jednym z tych numerów.

– Czyli wychodzi na to, że te wszystkie numery to ta sama osoba – niemal krzyknąłem.

– Stawiam na to litr najlepszej whisky w tym mieście – odparł Dżin.

– A mógłbyś sprawdzić, gdzie zostały kupione te wszystkie karty sim? – spytał Leon.

– Trochę to zajmie. Najpierw muszę dopasować numery seryjne do każdej karty, później włamać się do systemu logistyki. Do zrobienia, ale na pewno nie na dzisiaj.

– Mogę zabrać ze sobą wszystkie bilingi? Może jeszcze coś wynajdę – Leon praktycznie trzymał już rękę nad jednym z magnesów.

– Jasne. W końcu muszę mieć miejsce na plakaty gołych bab w skali 1:1.

Leon głośno się zaśmiał i zaczął odczepiać kolejne rzędy, sortując je na trzy osobne grupki.

– Dżin, mógłbym mieć małe pytanie? Jak ty w ogóle na to wszystko zarabiasz?

– spytałem, robiąc ruch ręką, jakbym chciał ogarnąć całość luksusowego mieszkania.

Leon kolejny raz się zaśmiał, aż jeden z magnesów upadł na podłogę i poturlał się pod biurko.

– Myślisz, że mogę mu powiedzieć? – Dżin uniósł wysoko brwi.

– Myślę, że nie potrzebujesz mojego specjalnego pozwolenia – odparł Leon.

– No dobra. W takim razie mam do ciebie Mikołaj pytanie, zanim zaczniemy. Jaka jest największa wada ludzkości? – Dżin wpatrywał się we mnie i niemiarkowo pstrykał palcami.

– Mam jakieś opcje do wyboru?

– Niestety nie. To teleturniej, gdzie nie ma odpowiedzi A, B, C i D.

– To słabo. Tam są zawsze najgorsze nagrody.

– Ale jest za to bardzo dobre afterparty. Więc jak? Pamiętaj, że czas ci ucieka – pstrykanie palcami wyraźnie przybierało na głośności.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Nienawiść?

– Pudło – Dżin zaintonował odgłos złej odpowiedzi, występujący w wielu teleturniejach. – Tak się złożyło, że nie mamy drugiego gracza, czyli jako gospodarz czuję powinność podania prawidłowej odpowiedzi. Największą wadą ludzkości drogi Mikołaju jest pazerność.

– No i tak zarabiasz? – spytałem ironicznie. – Bo twierdzisz, że poznałeś odpowiedź na magiczne pytanie „największa wada ludzkości”. Czy może organizujesz afterparty po tych teleturniejach?

– Powiedzmy, że została ci jeszcze jedna szansa, także czas na pytanie numer dwa. Co byś zrobił, gdyby włamanie do dowolnego systemu bankowego zajmowałoby ci maksymalnie dwa dni? Tu czas nie tyka, bo to ostatnie pytanie.

– To naprawdę już finał? W takim razie za niedługo afterparty.

– Dobra. Jednak wprowadzam limit czasowy. Masz dziesięć sekund.

– No sam nie wiem. Gdybym miał dostęp do dowolnego systemu bankowego...

– rozłożyłem szeroko ręce w geście niezdecydowania. – ... wyczyściłbym najpełniejsze konto i uciekł na Kajmany?

– Właśnie – stwierdził Dżin. – Zrobiłbyś dokładnie to samo, co duża część populacji. Ale biorąc pod uwagę fakt, że tylko garstka ludzi na świecie jest w stanie włamać się do systemu bankowego, to oni by to tylko zrobili, a nie po prostu zrobili. Subtelna, aczkolwiek ważna różnica.

Zmarszczyłem czoło.

– Ale domyślam się, że ty akurat to zrobiłeś.

– Zrobiłem, robię i będę robić.

– Dżin, jak ty pięknie odmieniasz czasowniki – wtrącił Leon, który był aktualnie zajęty zakreślaniem czegoś na kartkach z bilingami. Dżin całkowicie zignorował tę uwagę, tylko kontynuował.

– Spróbujmy połączyć pazerność z włamywaniem się do systemu bankowego. Zawsze zostawisz ślad, bo systemy zabezpieczające są teraz na tyle dobre, że trudno znaleźć hakera, który byłby w dzisiejszych czasach panem niewidzialnym. Ale można zrobić to tak, żeby nikt nie szukał twoich śladów. Tak jak mówiłem, ta garstka ludzi, która umiała się włamać do systemu bankowego, pewnie właśnie opala się na leżaku w jakimś ciepłym kraju i patrzy na swoje kilkadziesiąt milionów rozsianych po kilkudziesięciu fałszywych kontach.

– I to jest aż taka zła perspektywa? – wtrąciłem.

– Siedzenie w ciepłym kraju szybko się nudzi. Ja po włamaniu się do sytemu bankowego po kolei wchodzę do każdego większego znajdującego się tam konta i bardzo dokładnie przeglądam historię transakcji. W zależności od wysokości obrotu, przelewam sobie przykładowo jedną stówę. Pomnóż taki proces razy x kont bogaczy. Czy w takim razie myślisz, że jakiś biznesmen, którego codzienny obrót wynosi kilkaset tysięcy, zorientuje się, że z jego konta zniknęła jedna, nędza stówka? Czyli nie ma zgłoszenia przestępstwa, czyli nikt nie szuka moich śladów, które na pewno zostawiłem. I tak właśnie zarabiam.

– Jak będziesz mieć dziecko, to raczej słabo się to nadaje na historię z serii „jak zarabia tatuś”.

Wszyscy głośno się zaśmialiśmy.

– Dobra Dżin – rzekł nagle Leon. – Dzięki za tę romantyczną historię, która pewnie nawet nie jest prawdziwa, ale musimy się już zbierać. Nie zapomnij sprawdzić mi sklepów, z których pochodzą te nieoznakowane karty sim. Mógłbyś jeszcze trochę poszperać na temat Krystiana Barskiego i sprawdzić logowania do masztów BTS telefonów, w których sprawdzałeś bilingi. Muszę coś w nich przeanalizować.

– Spoko. Będzie na jutro – Dżin leniwie przeciągnął się na swoim fotelu, a my ruszyliśmy w stronę wyjścia.

Byłem już w progu, kiedy jeszcze raz odwróciłem się w jego stronę.

– Jeśli z mojego konta zniknęłaby nawet dycha... Wiedziałbym.

Nawet po zamknięciu drzwi, bez problemu dało się słyszeć jego głośny śmiech.

– I co teraz? Masz jakiś pomysł? – spytałem, podczas gdy Leon powoli palił papierosa. Miałem wrażenie, że cała ta sytuacja zmierza w dziwnym kierunku. Każdy chyba kojarzy te szklane kule z jakąś znaną budowlą w środku, gdzie reszta wypełniona jest wodą i białym mini confetti, które ma imitować śnieg, kiedy się tym zatrząsie. I chyba tak właśnie się czułem. Jakbym znajdował się w kuli, którą cały czas ktoś trząsie, a śniegu jest stanowczo zbyt dużo. W dodatku obok nie było żadnej znanej budowli.

– Mam pewien trop – odparł Leon. – Widzisz te numery zakreślone długopisem? – Leon podał mi kartki z bilingami Krystiana.

– To w sumie jest jeden numer.

– Właśnie. Pamiętasz jak Dżin mówił, że Krystian łączył się z numerami na kartę, które były aktywne przez tydzień. To typowy sposób działania przestępców, chociaż dzisiaj już nie tylko oni używają tego patentu. Porównałem te bilingi ze znanymi policji numerami lokalnych bandziorów i okazało się, że jeden z numerów figuruje w naszej bazie i był używany przez gangstera o przydomku Szary.

- Cholera – zacząłem kartkować strony, zatrzymując się na dacie 6 grudnia.
- Rozmowy z tym numerem zagęszczają się w dniu, kiedy zginął Alan – niemal krzyknąłem.
- Także na jutro zarezerwuj czas na spotkanie z Szarym.
- A zechce on się z nami tak po prostu spotkać?
- Nie zechce, ale mam w zanadrzu trochę argumentów, żeby zmienić zdanie.
- Leon się uśmiechnął i powoli ruszyliśmy w stronę zaśnieżonego samochodu.

Rozdział 16

„Gdybym miał wystąpić w filmie o gotowaniu, potrzebowałbym minimum trzech kaskaderów.”

Kiedy przejeżdżaliśmy przez centrum miasta, poprosiłem Leona, żeby wysadził mnie obok ogromnego centrum handlowego mieszczącego się na terenie niegdysiejszego browaru.

– A nie podrzucić cię do akademika? – spytał, zjeżdżając na skrajny pas jezdni.

– Muszę kupić parę rzeczy. Dzisiaj wieczorem daję trzy lekcje z gitary, więc mój budżet powinien to udźwignąć.

– Rozumiem, że to budżet na dzisiejszą imprezę? W końcu jest piątek.

Pokręciłem przecząco głową.

– Dzisiaj nie mam ochoty nigdzie iść. Powiedzmy, że te dwie śmierci nie nastrajają zbyt optymistycznie na imprezowanie.

Leon się roześmiał.

– Impreza i tak cię nie ominie, bo jutro wieczorem odwiedzimy Szarego w jego klubie. Kojarzysz lokal „Drinkowy Hycel”?

– Coś słyszałem. To jest na Starym Rynku?

– Tak mówią – Leon znowu wybuchnął śmiechem.

– A koniecznie muszę iść z tobą?

– Druga osoba mi się przyda. Zwłaszcza spoza branży.

– Dobra. Niech ci będzie – odparłem zrezygnowany w momencie, kiedy Leon zatrzymał na części jezdni przeznaczonej dla autobusu. Wysiadłem, starając się nie stracić równowagi na zaśnieżonej powierzchni. Pod spodem zapewne znajdował się lód, ponieważ samochód Leona przez kilka sekund stał w miejscu z szybko obracającymi się kołami i nawet dwie starsze panie stojące na przystanku zaczęły krzyczeć, że zaraz wezwą policję. Ach ta słodka nieświadomość bliskości pewnych rzeczy.

Spojrzałem na zegarek. Była 15:17, czyli na zakupy miałem jakieś półtora godziny. Z moim zasobem pieniężnym oscylującym wokół dwóch stów było to aż nadto. Trzy czwarte tej kwoty i tak zapewne pójdzie na akademikowy prowiant plus kilka piwek. Chociaż czy akademikowy prowiant i kilka piwek to nie przypadkiem to samo?

Wtopiłem się w tłum ludzi zmierzających do wielkich przeszklonych drzwi i nawet nie wiem kiedy, byłem już w środku. Ruszyłem w stronę bankomatu, bo zgodnie z dewizą niezamożnego studenta – płacąc gotówką, wydaje się mniej, niż gdybym robił to samo kartą.

Odczekałem kilka minut w kolejce, a następnie wsunąłem swoją kartę do bankomatu. Wstukałem kod pin, który był datą urodzin mojej byłej dziewczyny.

Oczywiście nie ustawiłem go, żeby go łatwo zapamiętać, tylko po to, żeby nie zapomnieć o jej urodzinach. Działało. „Mikołaj jest taki kochany, bo zawsze pamięta o moich urodzinach”. Raczej. Gdybym o nich zapomniał, nie miałbym dostępu do własnego konta.

Nacisnąłem przycisk z napisem „200” i po krótkiej chwili stałem się posiadaczem tej kwoty wypłaconej w dwóch banknotach. Poczekalem jeszcze na wydruk potwierdzenia transakcji i kiedy pobieżnie na niego spojrzałem, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. W sekcji „dostępne środki” znajdowała się kwota o trzy tysiące większa, niż mój stan konta.

Pomimo głośnego niezadowolenia kilku osób stojących za mną, jeszcze raz włożyłem kartę i wypłaciłem najmniejszy możliwy nominal, czyli dwadzieścia złotych. Kolejny wydruk potwierdzenia pokazał mi to samo. O trzy tysiące za dużo. Odszedłem kilka metrów i usiadłem na ławce. Wyciągnąłem swój telefon i zalogowałem się na swoje konto bankowe. Szybko sprawdziłem transakcje przychodzące. Ze zdumieniem stwierdziłem, że piętnaście minut temu przyszedł do mnie przelew opiewający właśnie na okrągłe trzy tysiące. Imię i nazwisko nadawcy wyjaśniło wszystko. Dariusz Zenon Ignaczak – Nowak. W skrócie – Dżin. W dodatku po przeczytaniu tytułu przelewu uśmiech nie schodził z mojej twarzy.

„Hey Mikołaj. Poszperałem trochę na twój temat i okazało się, że masz trzydzieści lat oraz właśnie zacząłeś studia. Z tej okazji pierwsza dwudziestka światowych bogaczy ufundowała ci to jednorazowe stypendium. Każdy dał się namówić i rzucił po słowie. Trzymaj się i powodzenia.”

Przez chwilę zastanawiałem się, jak Dżin upchał tyle tekstu w tytule przelewu, jednak momentalnie oprzytomniałem. To przecież Dżin. Szczerze jednak wątpiłem, że pieniądze pochodziły z kont miliarderów, ich źródło to pewnie obrót kryptowalutami, a wersja z bogaczami to pewnie rodzaj romantycznej legendy.

Stałem drugi raz w kolejce do bankomatu i mimo że stały przede mną cztery osoby, w ogóle mnie to nie denerwowało. Wypłaciłem tylko dwie stówki, bo wiedziałem, że resztę muszę zaoszczędzić na materiały do makiet i wydruki. Potwierdzi to każdy student architektury, który w środku nocy zostanie obudzony i zapytany, na co marnuje najwięcej pieniędzy.

Następnie wyciągnąłem swój telefon i odwołałem wszystkie wieczorne lekcje gitary. Szybko wsunąłem pieniądze do portfela i wiedząc, że nie zagoszczą tu długo, ruszyłem w kierunku spożywczego dyskontu.

Usiadłem na jednej z ławek rozsianych na terenie centrum handlowego i położyłem na ziemi trzy reklamówki. Moje zakupy można było streścić słowami: jedzenie, jedzenie, piwko, dwie koszulki z nadrukowanymi grafikami Metallici.

Spojrzałem na zegarek. Była 17:30, czyli ponad dwie godziny temu wyruszyłem na swój wójaż po sklepach. Dopiero teraz poczułem, jak bardzo jestem zmęczony. Zacząłem ziewać, jednocześnie się przeciągając, kiedy mój telefon zaczął wibrować. To był Lucy.

– Miki, wiem, że jesteś już stary i zajęcia nie są na twojej liście priorytetów, ale mogłeś mi chociaż dać znać, że cię nie będzie – rzekł, nie dając mi nawet powiedzieć klasycznego „halo”. Dopiero zdałem sobie sprawę, że nawet napisał do mnie na messengerze, jednak całkowicie zapomniałem mu odpowiedzieć.

– Przepraszam Lucy. Miałem naprawdę zalatany dzień. Ale wydaje mi się, że piątek wieczór to dziwna pora na dyskusję na temat uczelni.

Lucy głośno się zaśmiał.

– Jakoś musiałem zacząć rozmowę o dzisiejszej imprezie.

– Ja dzisiaj odpadam. Naprawdę.

– Boże. Ty naprawdę skończyłeś te trzydzieści lat.

– Po prostu dzisiaj nie dam rady.

– Jak by to powiedział mistrz Yoda: „dziwnymi się słowami zgadasz na imprezę, której pora już dzisiaj”.

Uśmiechnąłem się, chociaż Lucy nie był w stanie tego zobaczyć.

– Też lubię Gwiazdne Wojny.

– Nie, że też lubisz Gwiazdne Wojny, tylko też ze mną pijesz. I z Tołdim, bo on też będzie.

– Ponawiam odpowiedź. Dzisiaj nie dam rady.

– No dobra – westchnął Lucy. – A byłeś już na bilansie trzydziestolatka? – spytał po chwili.

Zmarszczyłem czoło.

– A jest coś takiego?

– Jest. W zakładzie pogrzebowym – odparł chichocząc, a następnie się rozłączył.

Kiedy chowałem telefon do kieszeni, stwierdziłem, że go uwielbiam.

Rozejrzałem się wokół i zdałem sobie sprawę, że liczba ludzi w centrum handlowym wyraźnie się zwiększyła. Przełożyłem wszystkie zakupione rzeczy do dwóch największych reklamówek i powoli ruszyłem w stronę burgerowni na piętrze. W natłoku dzisiejszych zdarzeń praktycznie nie odczuwałem głodu. Jednak mój żołądek serdecznie się z tym nie zgadzał, bo zaczął burczeć, wydobywając z siebie tak niskie dźwięki, że bez problemu nadawałyby się jako sample do utworu dubstepowego.

W burgerowni o wdzięcznej nazwie „Chapaj Bułę” kupiłem burgera z podwójnym serem oraz Fritz kolę. Ostatnią siłą woli zrezygnowałem z frytek, które były dostępne w promocji za złotówkę. Jak widać, nadwaga czasem bywa na promocji.

Zapakowałem wszystko do tekturowej reklamówki i stwierdziłem, że czas wracać do akademika.

Z małymi problemami związanymi z wyraźnym nadbagażem wtoczyłem się do holu akademika. Po raz pierwszy w tym tygodniu na portierni siedział Loko, który zawdzięczał tę ksywę kilku szalonym plotkom na swój temat. Jedna z nich głosiła, że był kiedyś płatnym zabójcą i właśnie podczas swojej kariery dorobił się tych kilku blizn na twarzy. Naprawdę szczerze w to wątpiłem, ale za to wersja mówiąca, że Loko jest byłym alkoholikiem z wszytym Esperalem już całkiem do mnie trafiała. Zdziwiło mnie jednak, że wziął dzisiaj nockę, bo w piątkową noc większość studentów będzie wracała tutaj z minimalną zawartością alkoholu we krwi oscylującą na poziomie dwóch promili. Wyglądało na to, że Loko został dzisiejszej nocy przydzielony do czegoś w rodzaju ostatniego kuszenia. Może przegrał w „prawda czy wyzwanie” na swoim spotkaniu AA?

Pomachałem swoją kartą i Loko bez najmniejszych emocji wpuścił mnie do środka. Kiedy wchodziłem do windy, moją głowę przeszła myśl, że skoro Alan zginął w akademiku, a pani Barska była z akademikiem również dosyć mocno powiązana, to „minus pięćdziesiąt jeden” także może mieć z tym budynkiem jakieś wspólne punkty. Po chwili stwierdziłem, że to jednak bez sensu, ale postanowiłem zapytać o to Tołdiego, bo podobno w każdym śledztwie jakieś 99% informacji jest zbędnych. Kiedy znalazłem się pod drzwiami numer 319, zorientowałem się, że są zamknięte.

– No tak – pomyślałem. – Przecież jest już niemal piątek wieczór. Profesor mimo że studiował informatykę, również „studiował” i spotkanie go dzisiaj na mieście było bardzo prostym zadaniem z prawdopodobieństwa. Zapewne aktualnie z Tołdim zaopatrywali się na wieczorną imprezę w pobliskim sklepie. Głęboko westchnąłem i włożyłem klucz do zamka.

Zapaliłem światło i rzuciłem wszystkie reklamówki na łóżko, oczywiście oprócz tej z burgerem, którą postawiłem na biurku obok laptopa. Podczas jedzenia przejrzałem wiadomości w internecie, co było bardzo przyjemną i odmóżdżającą częścią dnia. Kiedy mój organizm był już tylko zajęty trawieniem, przypomniałem sobie, że przecież miałem zapytać Tołdiego o to całe „minus pięćdziesiąt jeden”, więc od razu wybrałem jego numer. Po trzecim nieudanym połączeniu napisałem do niego esemesa zaznaczając, że chodzi o śmierć Alana, a następnie rzuciłem telefon na łóżko. Podczas śledzenia jego linii lotu zauważyłem zarys gryfu mojej gitary. Stwierdziłem, że praktycznie nie chce mi się spać, także w piątkowy wieczór wypadałoby zrobić coś kreatywnego. Szybko włączyłem komputer Profesora, bo tylko on miał zainstalowany porządny program do nagrywania muzyki. Nakaz wpisania hasła nie był większym problemem, bo Profesor podał je mi oraz Tołdiemu

już w drugi dzień wspólnego mieszkania. Kiedy zacząłem rejestrować pierwsze ścieżki gitary, świat wokół jakby przestał istnieć.

Spojrzałem na zegarek. Była 1:55, czyli nagrywałem zarys nowego utworu przez kilka godzin. Na komputerze Profesora znalazłem kilka ciekawych pluginów takich jak Guitar Rig, czyli emulator wzmacniaczy gitarowych. Już samo intro utworu trwało prawie minutę, a na perkusję nałożyłem efekt podpisany „backwards”, który tak ją modyfikował, że nie słyszałem wcześniej nic podobnego. Stwierdziłem, że lubię uczucie, kiedy moje nagranie nie kojarzy mi się z innym utworem, bo podobno w muzyce wymyślono już wszystko. Na końcu dodałem jeszcze trochę elektroniki i wstępnie zmiksowałem wszystkie ścieżki, zapisując to w ulubionym formacie lat dwutysięcznych, czyli mp3.

Nagle mój telefon zaczął wibrować, co trochę mnie zdziwiło, bo nie miałem pojęcia, kto może do mnie dzwonić o takiej porze. Na szczęście to był Tołdi.

– Halo? – próbowałem udawać zaspanego.

– Miki, ty spałeś? Przecież jest piątkowa noc – w tle dało się słyszeć odgłosy studenckiej domówki.

– Wiem, wiem. Pójdę za to do Piekła.

– Na bank nie. Tam na pewno są dobre imprezy. Ale wiesz co Miki? Ty chyba naprawdę skończyłeś te trzydzieści lat.

– Chyba już to dzisiaj słyszałem – powiedziałem cicho.

– Co?

– Nieważne.

– Sorki Miki, trochę tutaj głośno. Ale mam dobrą wiadomość. Myślę, że mam odpowiedź na twoje pytanie.

– To nie mogłeś zadzwonić trochę wcześniej?

– Ciesz się, że jeszcze kontaktuję z rzeczywistością. Na przykład Lucy odpadł jakieś pół godziny temu.

Roześmiałem się.

– Próbował mnie dzisiaj wyciągnąć na tę imprezę. Chyba dobrze, że odmówiłem.

– Ja bym żałował – tym razem roześmiał się Tołdi.

– Dobra. To powiedz mi, czym jest to „minus pięćdziesiąt jeden”.

– Jak jest oznaczony nasz akademik?

– Literą „E”.

– Która to litera alfabetu?

Poczułem, jak mój puls odrobinę przyspiesza.

– Piąta.

– Właśnie. I to jest pierwsza część zagadki, którą mogłeś odgadnąć sam. Teraz ciąg dalszy. Każdy z siedmiu akademików w naszym kampusie ma dość dużą piwnicę. Zresztą sam dobrze wiesz, gdzie jest wejście. W przeciwległym skrzydle w stosunku do portierni. W każdej z akademikowych piwnic są zazwyczaj trzy ogromne pomieszczenia, które są najczęściej przydzielane zrzeszeniom studenckim.

– Zrzeszeniom?

– Zrzeszeniom, kołom naukowym, bractwom. Nieważne jak to nazwiesz. To i tak zawsze przykrywka do robienia imprez, używając do tego uczelnianych funduszy.

– I co dalej?

– Już ci mówię. Na początku tamtego roku założyliśmy razem z Drzazgą „Klub Miłośników Architektury”. Cholera. Do teraz się śmieję, jak słyszę tę nazwę. Ale tak jak mówiłem, nasz można było raczej nazwać „Zrzeszeniem Miłośników C₂H₅OH”. W dodatku sam dobrze wiesz, że imprezy organizowane przeze mnie i Drzazgę często zwracają na siebie uwagę, to imprezy organizowane pod przykrywką bractwa odbywające się jeszcze w jednym z trzech dużych pomieszczeń w akademikowej piwnicy, zwracały na siebie uwagę jeszcze bardziej. Niestety zwróciły też uwagę naszej zacnej kierowniczkii – Sarnowskiej, która zakazała zrzeszania się w podziemiach naszego pięknego akademika.

– No dobra. Ale nadal nie widzę tu powiązania z „minus pięćdziesiąt jeden”.

– „Klub Miłośników Architektury” miał przydzielone jedno pomieszczenie. Było to największe pomieszczenie numer...

Nagle poczułem, jak rozjaśnia mi się w głowie.

– Pomieszczenie numer jeden – niemal krzyknąłem.

– Właśnie. Wszystkie zrzeszenia na terenie kampusu posługują się prostym kodem. Przykładowo jeśli zrzeszenie z akademika „C” organizuje imprezę, a mają przydzielone pomieszczenie numer dwa, to w sieci umieszczają ogłoszenie, że wydarzenie odbędzie się w „minus trzydzieści dwa”.

– A minus był dodawany dlatego, że wszystko znajdowało się to w piwnicy.

Tołdi głośno się roześmiał.

– W końcu zacząłeś myśleć.

– A wiesz, co może oznaczać minus pięćdziesiąt jeden jest puste?

– Nie oznacza to po prostu, że minus pięćdziesiąt jeden jest puste? – Tołdi znowu się roześmiał. – Chociaż tak naprawdę cała piwnica naszego akademika jest już pusta, bo po wpadce „Klubu Miłośników Architektury” zrobiła się taka afera, że Sarnowska zakończyła działalność tej całej piwnicznej imprezowni.

– A można się tam jakoś dostać?

– Wszystko jest pozamykane, bo Sarnowska kazała zmienić zamki ale...

– Ale?

– ... ale na końcu poprzedniego semestru razem z Drzazgą podkradliśmy na jakąś godzinę wszystkie klucze tej kripti sprzątacze Barskiej. Chyba ją kojarzysz. Oczywiście dorobiliśmy sobie w tym czasie dwa pełne komplety. Znajdują się tam też klucze do piwnicy.

Uśmiechnąłem się. Kojarzyłem ją aż za dobrze, więc miałem kolejny punkt zaczepienia. Barska miała klucze do piwnicy, czyli także do minus pięćdziesiąt jeden. To nie mógł być przypadek. Nie miałem też ochoty uświadamiać Tołdiego, że „kripi sprzątaczkę Barską” razem z Leonem znaleźliśmy rano martwą w Chmielowym Tańcu.

– I reaktywowaliście imprezy w minus pięćdziesiąt jeden? – spytałem.

– Myśleliśmy o tym, ale w końcu odpuściliśmy. Nasze imprezy dość mocno zwracają uwagę osób, które na nich nie są, a gdybyśmy robili je jeszcze w miejscu formalnie zakazanym... Byłby dym na maksa. Zresztą teraz moja spółka z Drzazgą zajęła się teraz organizacją imprezy wigilijnej. Mówię ci Miki. Jak zobaczysz te Śnieżynki, to oszalejesz.

– Nie wątpię. A gdzie są te dorobione klucze?

– W mojej szafce nocnej.

– Mogę je na chwilę pożyczyć?

– Ale powiedz mi najpierw, co ty chcesz dokładnie zrobić.

– Później – już szedłem w kierunku łóżka Tołdiego.

– Chociaż w sumie i tak nie mam czasu. Właśnie wznosimy kolejny toast – w tle dało się słyszeć pijackie zaśpiewy, które były w kilku niestrających tonacjach naraz.

Wcisnąłem czerwoną słuchawkę i przez chwilę czułem się, jakbym miał małą depresję. Zdecydowanie potrzebowałem imprezy. Niestety aktualnie nie miałem na to czasu. Otworzyłem szafkę nocną przy łóżku Tołdiego i po chwili znalazłem pęk niemal dziesięciu kluczy. Wyłączyłem komputer Profesora i ruszyłem w kierunku drzwi. Jeden klucz w mojej dłoni na pewno pasował do minus pięćdziesiąt jeden.

Spojrzałem na zegarek. Była 2:05. Czy to nie całkiem dobry czas na imprezkę? No. Powiedzmy, że afterparty.

Na korytarzu było zupełnie cicho i pusto. Nie zdziwiło mnie to zbytnio, bo końcówka piątkowej nocy robiła z akademika coś na obraz domu duchów i żywych trupów. Tłumaczenie. Studenci, którzy byli jeszcze na imprezie, byli duchami, a studenci, którzy zdążyli już wrócić, byli w takim stanie, że nazwanie ich żywymi trupami nie było żadną przesadą.

Szybko przeszedłem przez niemal cały korytarz, a następnie zbiegłem po schodach i po krótkiej chwili znalazłem się przed drzwiami do piwnicy. Zanim zacząłem wypróbowywać kolejne klucze, rozejrzałem się w obydwie strony, lecz tak jak się spodziewałem, nikogo nie zobaczyłem.

Dopiero siódmy klucz idealnie pasował, więc jak najciszej umiałem, otworzyłem drzwi, a po wejściu do środka, zamknąłem je od wewnątrz. Tak na wszelki wypadek.

Włączyłem latarkę w telefonie i choć nie gwarantowała najlepszego oświetlenia, mogłem dostrzec zarys pobliskich stopni. Po zrobieniu pierwszego kroku, wyczułem wilgotną powierzchnię. Schody wydawały się być stare i mokre, dlatego starałem się schodzić bardzo powoli, aby uniknąć bolesnego upadku. Niestety będąc już prawie na samym dole, przyczepność moich butów okazała się stanowczo zbyt mała i przewróciłem się, uderzając na szczęście już tylko o podłogę. Ładowanie na schodach na pewno byłoby dużo twardsze.

– Cholera. Jak ci ludzie przeżyli tutaj te imprezy – pomyślałem, powoli się podnosząc. Stwierdziłem, że może nie narobiłem sobie zbyt wielu siniaków, ale nie mogłem już powiedzieć tego samego o hałasie, którego narobiłem aż nadto.

Skierowałem światło telefonu w stronę odłamków szkła, które miałem obok prawej stopy. Widocznie musiałem strącić coś szklanego, zahaczając o to lewą nogą podczas mojego krótkiego lotu. Jeszcze raz zakląłem w duchu i tym razem oświetliłem korytarz. Nawet nie traciłem czasu na szukanie jakiegoś włącznika światła, bo mogło to przysporzyć mi jeszcze większych problemów, więc bardzo ostrożnie zacząłem iść, próbując zlokalizować jakiejkolwiek drzwi. W końcu na nie natrafiłem, po czym szybko oświetliłem ich górną część. Znajdowała się tam namalowana na czarno jedynka. Uśmiechnąłem się i znowu zacząłem się bawić w szukanie odpowiedniego klucza, lecz tym razem już trzeci pozwolił mi na otworzenie drzwi. Kiedy wszedłem do środka, poczułem ostry, niemal gryzący zapach detergentów. Przez chwilę wydawało mi się, że zapach robi się jeszcze bardziej gryzący, jednak po kilkunastu sekundach mój węch prawdopodobnie trochę się przyzwyczaił albo może całkowicie go straciłem.

Zacząłem oświetlać obie strony ściany w poszukiwaniu włącznika światła. Dostrzegłem go po lewej stronie framugi i już wyciągałem rękę, żeby go użyć, kiedy nagle poczułem niesamowicie silny ból po prawej stronie głowy. Zupełnie jakby ktoś z całych sił uderzył mnie kijem bejsbolowym, który dodatkowo był zrobiony z metalu. Osunąłem się trochę na nogach, lecz mecz bejsbola, w którym to moja głowa była piłką, dopiero się zaczął.

Jakimś cudem udało mi się utrzymać równowagę, ale po chwili nadszedł kolejny cios powodując straszliwy ból w prawym przedramieniu, przez co telefon wypadł mi z dłoni i roztrzaskał się o podłogę kilkanaście centymetrów ode mnie. W pomieszczeniu znowu zapanowały całkowite ciemności, a najgorsze było to, że nie byłem tutaj sam, tylko z jakimś uzbrojonym pałkarzem studenckiej ligi bejsbolowej.

Momentalnie odskoczyłem do tyłu i czułem, jak podnosi mi się adrenalina. Jednak synapsy od bólu też nie próżnowały i nie mogąc się zdecydować, które uderzone miejsce wybrać, serwowały mi jednoczesny ból z głowy i z przedramienia. Bolało jak diabli, a w dodatku czułem jak po prawym policzku ścieka mi ciepła ciecz. Cholera. Nie umawiałem się na żadne oddawanie krwi w tym roku.

Znowu się cofnąłem i przygnałem plecami do ściany. Starałem się nie ruszać, czekając na kolejny atak mojego przeciwnika. Wyteżyłem wzrok i chciałem zmusić moje źrenice do maksymalnego powiększenia, aby dostrzec chociaż najmniejszy

zarys postaci. Przez chwilę wydawało mi się, że ktoś zatrzymał czas w tym pomieszczeniu, bo jedyną rzeczą, którą słyszałem, był tylko mój własny oddech.

Nagle zauważyłem ciemniejszą plamę w zakresie mojego wzroku, po czym stwierdziłem, że to moja jedyna szansa. Zacisnąłem zęby i czując, jak do ust napływa mi krew, ruszyłem biegiem do przodu. Byłem już praktycznie przy zarysie mojego przeciwnika, kiedy odskoczył on w prawo, a szybki ruch ciemnego prostokąta podciął mi nogi, przez co całkowicie bezwładny wylądowałem na podłodze. Jak najszybciej mogłem, przekręciłem się na plecy i tylko kilkakrotnie słyszałem, jak metalowy przedmiot przecina powietrze, tworząc charakterystyczny świst. Cokolwiek to było, wiedziałem, że moje szanse maleją z każdą sekundą.

Kiedy zobaczyłem, jak podłużna ciemna plama przelatuje tuż nade mną, zrobiłem fatalny w skutkach błąd. Próbowałem chwycić ten przedmiot, lecz tylko dotknąłem go kilkoma palcami prawej dłoni. I to był właśnie ten błąd. Napastnik zorientował się, w którym mniej więcej miejscu jest moja głowa. I tym razem nie spudłował.

Pamiętam, że moją ostatnią myślą było pytanie, czy to od tego samego przedmiotu zginął Alan.

Rozdział 17

„Ludzie uwielbiają wypadki i katastrofy. Zwłaszcza jeśli mogą siedzieć w pierwszym rzędzie”

Otworzyłem powoli oczy i poczułem się, jakbym był podłączony do zepsutej anteny telewizyjnej. Obraz mi śnieżył, a fonii w ogóle nie było. Nachylały się nade mną dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Oboje byli ubrani na biało, a ich twarze były tak niewyraźnie, że nie byłbym w stanie poznać ich następnego dnia na ulicy.

Spróbowałem przekręcić głowę, lecz ból po prawej stronie twarzy stał się tak silny, że przez moment mój wzrok przełączył się na inny kanał, który śnieżył trzy razy mocniej. Mężczyzna w bieli wyraźnie się tym zaaferował i zaczął coś do mnie mówić, szerzej otwierając usta, więc chyba tak naprawdę krzyczał. Chciałem mu odpowiedzieć, lecz układ nerwowy znajdujący się w moim organizmie działał niemal jak ja na sprawdzianie z fizyki w liceum. Nie wiedział, o co chodzi. Chociaż tam zawsze mogłem oddać pustą kartkę, a zamiast tego kolejny raz straciłem przytomność. W sumie to też mogło być dobrym pomysłem na sprawdzianie z fizyki.

Pikanie. To denerwujące pikanie, gdzie pojedynczy dźwięk oznacza uderzenie serca, a wszystko brzmi jak tania melodia midi oparta na jednej nutce. Cholerny koszmar uczestników „Jaka to melodia”.

Otworzyłem oczy i tym razem obraz może nie był w 4K, ale wszystko było w miarę wyraźne. Uniosłem wzrok i tym razem zobaczyłem tylko kobietę ubraną w białe fartuch, a przez szyję miała przerzucony stetoskop.

– Słyszysz mnie pan? Panie Mikołaju? – spytała, nachylając się nade mną.

– Mniej więcej – odparłem, a moja twarz przybrała grymas bólu. Czułem się, jakbym dostał metalowym narzędziem w głowę, lecz po kilku sekundach, które mój mózg wykorzystał na załadowanie pamięci, zorientowałem się, że właśnie tak powinienem się czuć. Przekręciłem się w prawo i zobaczyłem monitor, z którego dobiegało to denerwujące pikanie. Na wyświetlaczu było napisane, że moje ciśnienie wynosi 107/59, a puls 51. Oba wyniki były za niskie, a przez umysł przeleciała bezsensowna myśl, że powinienem napić się kawy.

– Jak się pan czuje? – spytała lekarka.

– Chce mi się wymiotować – odpowiedziałem. – Albo oddać światu, to co już na zawsze miało być moje – dodałem po kilku sekundach. Tak, wiem. Prawie umarłem, a słabe żarty nadal nie opuściły mojej duszy.

Kobieta głośno się roześmiała.

– Jest pan nawet zabawny panie Mikołaju. Jeszcze gdyby nie ten wielki bandaż na głowie i podbite oko, mogłabym powiedzieć, że nie wygląda pan aż tak źle.

Dotknąłem swojej twarzy i stwierdziłem, że w miejscu gdzie powinny być moje włosy, znajduje się bandaż, a prawe oko jest tak spuchnięte, że otwiera się tylko na jedną trzecią swoich możliwości. Tym samym rozwiązałem zagadkę, czemu mój wzrok nie był w 4K. Bez wątplenia musiałem prezentować się naprawdę zniewalająco.

– Z tym „nie wygląda pan tak źle” też jest pani całkiem zabawna – powiedziałem, próbując usiąść na łóżku.

– Muszę. Klaunów mamy tylko na dziecięcym.

Uśmiechnąłem się.

– A ten klaun przypadkiem nie potrzebuje misia pandy w wersji demo, czyli z tylko jednym podbitym okiem?

– Na pewno – odparła ironicznie lekarka. – A czy oprócz mdłości odczuwa pan jakieś dolegliwości bólowe?

– Na razie nie, ale to pewnie zasługa środków przeciwbólowych.

Kobieta skinęła głową.

– Miał pan dużo szczęścia, bo skończyło się tylko na wstrząśnieniu mózgu. Organizm powoli wróci do zdrowia, chociaż nie będzie to przyjemne. Trochę sobie pan u nas poleży – lekarka zrobiła długą pauzę, jakby się zastanawiała, czy wypowiedzieć kolejne zdanie. – Na korytarzu czeka pana kolega z akademika Tobiasz Łukasik oraz jakiś policjant. Zapewne będzie chciał z panem porozmawiać na temat pobicia. Mogę ich oczywiście nie wpuszczać, musi pan teraz dużo odpoczywać.

Westchnąłem. Nie byłem pewny, czy chodzi jej o Leona, czy może tą sprawą zajmuje się ktoś inny. A jeśli chodzi o Tobiasza Łukasika, naprawdę od dawna nie przypominam sobie, żeby ktoś tak powiedział na Toldiego.

– Może ich pani wpuścić – odparłem.

– Dobrze, zaraz ich zawołam. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę dać znać. Kolacja powinna być za godzinę, jeśli będzie pan miał oczywiście ochotę.

Lekarka ruszyła w kierunku wyjścia, jednak zanim się odwróciła, przeczytałem jej plaketkę, na której było napisane „dr Anna Zakrzewska”.

Kiedy drzwi się zamknęły, spojrzałem na zegarek wiszący na ścianie. Dochodziła 17:00, czyli byłem nieprzytomny niecałe piętnaście godzin. Zakląłem w duchu. Wszystko poszło nie tak. Na szczęście nie miałem żadnej amnezji, także doskonale pamiętałem, co się wydarzyło. Jak nagrałem demo nowego utworu, jak zszedłem do „minus pięćdziesiąt jeden”, które okazało się być dużym pomieszczeniem w akademikowej piwnicy i jak kogoś niezbyt ucieszyła moja wizyta w tym miejscu.

Usiadłem na łóżku i przez chwilę podziwiałem niebieską piżamkę, w którą mnie tutaj ubrali. Nagle drzwi się otworzyły i do sali weszli Toldi oraz Leon.

– Jezu, Miki – krzyknął Tołdi i rzucił się na mnie, żeby mocno mnie uściskać. – W końcu się obudziłeś – Leon nie wziął z niego przykładu, tylko przybił mi skromnego żółwika.

– I jak się czujesz? Bo szczerze? Wyglądasz dosyć średnio – rzekł Tołdi, przypatrując się mojej głowie.

Uśmiechnąłem się albo chociaż się starałem.

– Ty też nie wyglądasz najlepiej.

– Nie spałem trzydzieści sześć godzin i kilkakrotnie przekroczyłem dzienną normę energetyków z wódką. Plus jeszcze jedno wino. Mówię ci Miki, takie połączenie działa jak dragi.

– To źle czy dobrze?

Tołdi głośno się roześmiał.

– Wiadomo, że dobrze.

– Ja też jakoś przeżyję. Ale mam nadzieję, że wytłumaczycie mi chociaż, jak się tutaj znalazłem.

– Może jednak to ty najpierw nam wytłumaczysz, co się stało, że musiałeś tu trafić – rzekł Leon i podszedł do okna, a z jego twarzy bez problemu można było wyczytać, że ma ochotę na papierosa.

– Żeby opowiedzieć początek, trzeba znać końcówkę – odparłem.

– Ale z ciebie grillowy filozof – zakpił Leon. – Dobra Tołdi, opowiedz mu swój magiczny poranek.

– Okej – odparł Tołdi, a następnie usiadł na moim szpitalnym łóżku. – Wróciłem do akademika jakoś o 7:30. Wszedłem do naszego pokoju, a tam Profesor działa jak odświeżacz powietrza o zapachu spirytusu. Patrę na twoje łóżko. Puste. Próbuję się do ciebie dodzwonić. Abonent czasowo niedostępny. Nie wierzę w takie cuda, że wstałeś w sobotę przed 7:00, więc próbuję obudzić Profesora. Pięć minut zajęło mi wybudzanie go z „alko-śpiączki”, pięć minut nie wiedział kim jestem, następne pięć nie wiedział, kim ty jesteś, a ostatnie 5 minut próbował mi wytłumaczyć, że nie ma pojęcia, gdzie się podziałeś. Straciłem dwadzieścia minut na tego rycerza studenckiej nocy. Po chwili przypomniałem sobie, że przecież powiedziałem ci o dorobionych kluczach. Sprawdzam swoją szafkę. Nie ma ich. Zszedłem szybko do wejścia do piwnicy. Zamknięte, ja nie mam kluczy, a zamiast tego mam złe przeczucie. Biegnę na drugie piętro do Drzazgi. Drzwi otwiera mi jakaś dziewczyna w szlafroku. Drzazga podobno się kąpie. Przeciskam się obok niej do pokoju i zaczynam szperać w szafkach Drzazgi, a ta laska krzyczy, że jestem jakimś złodziejem. Mówię jej, że nie mogę być złodziejem, bo jestem żyjącą legendą tego akademika. Także nie przejmuję się nią zbytnio, tylko szukam dalej. W końcu znajduję klucze. Wybiegam z pokoju i na korytarzu spotykam Drzazgę, więc mówię mu tylko krótkie: „rzuć ją”. Dziewczyna to słyszy i zaczyna się znowu drzeć. Tym razem jednocześnie na mnie i na Drzazgę. Mówię ci Miki. Darcie mordy jak na kodach.

Uśmiechnąłem się.

– Po chwili jestem już obok piwnicy i szybko otwieram drzwi. Prawie zabijam się na tych wilgotnych schodach i w dodatku wdeptuję w jakieś porozbijane odłamki szkła. Zapalam główne światło, a następnie podchodzę do drzwi numer jeden. Też są zamknięte. Otwieram je i nawet nie muszę zapalać następnego światła, bo wystarczające jest to z korytarza. Widzę, jak leżysz na brzuchu w samym środku pomieszczenia z zakrwawioną głową, a wszędzie śmierdzi lub pachnie, nie wiem na którą opcję się zdecydować, jak na dorocznym święcie mycia szaleńców. Zupełnie jakby rozlano tam kilka litrów Domestosu. Podbiegam do ciebie i sprawdzam puls. Jest. Oddech też jest. Nawet trochę śmierdzi. Próbuję cię obudzić, lecz trzymasz się dużo lepiej od Profesora. Wzywam karetkę. W międzyczasie robi się straszne zamieszanie, ktoś wezwał policję, ktoś zawołał kierowniczkę i nagle na parterze zbiegło się pół akademika. Po tym jak cię zabrali, a na dole była policja z technikami, przyjechał Leon.

– Na komisariacie poszła informacja, że chyba mamy kolejnego trupa w akademiku architektury. Wiedziałem, że to nie przypadek – wtrącił Leon.

– Potem przyszła jeszcze Sarnowska i jak przystało na kierowniczkę, strasznie się wkurzyła. Na nas obu. Ty, korzystając ze swojej chwilowej niedyspozycyjności, sprawiłeś, że cała uwaga skupiła się na mnie. Pytania typu „jak tu weszliśmy”, „skąd mieliśmy klucze?”, „bla bla bla”. Na szczęście Leon powiedział jej, że jestem jedynym znanym świadkiem i dopóki nie zostanę przesłuchany, to może sobie sama zadawać pytania i sama na nie odpowiadać, bo ode mnie na razie nic nie usłyszy. Później przyjechaliśmy do szpitala, a ja w międzyczasie pojechałem na komisariat złożyć zeznania, chociaż tak naprawdę nie miałem dużo do powiedzenia. Musiałem też trochę skłamać, bo jak cię znalazłem, obok leżał twój roztrzaskany telefon. Schowałem go, bo wołałem, żeby nie trafił w ręce policji. Chociaż wątpię, że gdziekolwiek z niego zadzwonisz. No dobra. Teraz twoja kolej Miki.

Zamknąłem na chwilę oczy i wziąłem głęboki oddech, próbując jeszcze raz odtworzyć wczorajsze, chociaż tak naprawdę dzisiejsze zajście. Następnie opowiedziałem im wszystko, co wydarzyło się w pomieszczeniu numer jeden. Moja historia była jednak dużo krótsza od tej opowiedzianej przez Toldiego, bo nawet uwzględniając wszystkie szczegóły walki z nieznanym napastnikiem, całość nie zajęła zbyt dużo czasu. To był zdecydowanie nokaut w pierwszej rundzie.

– Czyli nie masz pojęcia, kto to mógł być? – spytał Leon.

– Niestety – westchnąłem. – Nawet nie umiem stwierdzić, czy ta osoba była niska czy wysoka. Na pewno poruszała się tam dużo lepiej niż ja i była uzbrojona w coś cholernie metalowego. Mam swoją małą teorię, że od tego przedmiotu mógł zginąć Alan.

– No dobra – wtrącił się Toldi. – Ale po co ten ktoś wszedł do minus pięćdziesiąt jeden, zamknął wszystkie drzwi na klucz, a następnie wyczyścił wszystko jakimś mocnym detergentem? I w dodatku był jeszcze w metalowy przedmiot? Rozumiecie coś z tego?

Leon skrzyżował ręce na piersiach.

– Pogadałem chwilę z technikami i stwierdzili, że za dużo tam nie znajdą. Jak już ustaliliśmy, wszystko było wyszorowane jakimś środkiem do czyszczenia toalet.

Pokręciłem przecząco głową.

– Ale ta osoba nie użyła tego, żeby zatrzeć ślady po ataku na mnie, bo kiedy tam wszedłem, już to czułem – stwierdziłem.

– Na razie nie wiemy co ten ktoś chciał tam zatuszować i pewnie łatwo się tego nie dowiemy – powiedział Leon. – Na szczęście nasza układanka zwiększyła się o jeden ważny element.

Zmarszczyłem czoło.

– Dzisiaj na portierni była ta kobieta, która wzięła w zastaw telefon Krystiana. Jak wy ją nazywacie?

– Mądra Krystyna – roześmiał się Tołdi.

– Właśnie. Po krótkiej rozmowie z odznaką w tle rozpoznała Alana. To on zostawił ten telefon.

– Cholera – prawie krzyknąłem. – Ale w takim razie nadal nie wiemy dwóch ważnych rzeczy. Po pierwsze, po co Krystian dał Alanowi swój telefon, a po drugie, po co Alan pojawił się w akademiku, podając się za Krystiana. Ale chociaż mamy teraz pewność, że Krystiana wtedy tam nie było.

– Prawdopodobnie go nie było – poprawił mnie Leon. – Ale nie możemy tego całkowicie wykluczyć. Jednak nadal brakuje nam kilka ważnych puzzli – po chwili wyjął plik kartek z torby, która miał przewieszoną przez ramię – Mam kilka informacji od Dżina. To jest wykaz sklepów, do których zostały dostarczone karty SIM, o których rozmawialiśmy u niego. Cztery różne sklepy, czyli na każdy przypadało po trzy karty. Sprawdziłem każdy i tak jak się spodziewałem, to małe sklepiki, wręcz kioski i w żadnym nie ma monitoringu. Widzisz do czego zmierzam? W akademiku nie ma kamer, to znaczy jest jedna, ale nie działa, w hostelu nie ma kamer, w żadnym z czterech sklepików nie ma kamer. Czy myślisz, że to przypadek, że nasz zabójca tak bardzo nie chce grać w filmach? Spójrzcie jeszcze na miejsca, w których znaleźliśmy zwłoki – dodał Leon – Kuchnia w akademiku, czyli milion różnych śladów, więc technicy nie mieli szans znaleźć tam niczego konkretnego. Każdy z piętra byłby podejrzany. Pokój w hostelu, gdzie znaleźliśmy Barską. Założę się, że nikt tam nie sprzątał od trzech miesięcy. Wszystko wygląda na dość dobrze zaplanowane – w tym momencie spojrzałem na Tołdiego, który przecież nie wiedział o tym, że pani Barska nie żyje. Leon to zauważył i wyjaśnił, że on już wszystko wie.

– I jeszcze to nieszczęsne „minus pięćdziesiąt jeden” – kontynuował. – Do którego przypadkowo trafiłeś Mikołaj. Na szczęście nie zamieniłeś się w zwłoki, ale możemy przyjąć, że byłeś tak naprawdę tylko tekstem, którego nie chce usłyszeć żadne dziecko.

Uniosłem brwi.

– Że nie byłeś planowany – odparł Leon, jakby te słowa były takie oczywiste.

Wszyscy trzej się roześmialiśmy.

– A masz coś o Krystianie? – spytałem, patrząc na kartki, które Leon trzymał w dłoniach.

– Właśnie miałem mówić – Leon przełożył pierwszą stronę na sam koniec, a następna kartka była czymś w rodzaju skróconej biografii. Znajdowało się tam również zdjęcie i faktycznie karnacja Krystiana należała do tych z serii „słońce jest śmiertelnym zagrożeniem” – Krystian Barski – zaczął czytać Leon. – Lat 24. Skończył tylko liceum, ale żyje na całkiem wysokim poziomie. Spójrzcie na kilka transakcji z restauracji, do których dokopał się Dżin. Niektóre opiewają na naprawdę duże kwoty.

– Może bogaci rodzice? – wtrąciłem.

– Też tak na początku pomyślałem. Ale popatrz tutaj – Leon przewertował kilka stron. – To jest wykaz jego konta. Aktualne dostępne środki to niecały tysiąc, a wszystkie przelewy przychodzące od rodziców są na jakieś drobne kwoty. Nic szczególnego. W dodatku to konto nie było ostatnio szczególnie używane. Dostyc rzadko wypłacał pieniądze z bankomatu lub płacił za pomocą karty.

– Czyli to nie musi być jedyne konto, którego używa.

– Bardzo możliwe.

– No dobra. Ale nadal nie wiem, jak Krystian jest spokrewniony z Barską?

– Ojciec Krystiana to brat Barskiej. Mieszka w Zakopanem, a mają takie samo nazwisko bo...

– Bo Barska nigdy nie wyszła za mąż. Proste. Ale skąd w Poznaniu znalazł się Krystian?

Leon przez kilka sekund wertował strony i w końcu znalazł to, czego szukał.

– Pierwsza zarejestrowana transakcja w Poznaniu jest datowana na grudzień trzy lata temu. Czyli możemy założyć, że właśnie wtedy Krystian sprowadził się tutaj. Dżin twierdzi, że Krystian działał na południu kraju jako mafijny chłopiec na posyłki, ale zaznaczył, że nie są to do końca sprawdzone informacje. Nie był nigdy notowany i tak dalej.

– Ale to by tłumaczyło jego wysoki standard życia.

– To może mafia z południa chciała załatwić tego Krystiana? – zapytał nagle Tołdi. – Uciekł tutaj, bo tamci go ścigali.

Leon głośno się roześmiał.

– I myślisz, że mógłby spokojnie sobie u nas mieszkać od trzech lat? Tylko w sądach procesy tyle trwają. U mafii proces trwa kilka sekund, a wykonanie wyroku maksymalnie trzy dni.

– Jezu – powiedział cicho Tołdi.

Leon znowu się roześmiał.

– Wtedy żaden Jezus ci nie pomoże, tylko trzeba szukać nowego diabła.

– Szary – niemal krzyknąłem.

– Mikołaj, dużo lepiej myślisz, niż wyglądasz. Dlatego tak jak wczoraj mówiłem, dzisiaj wieczorem jadę go odwiedzić, a jeszcze wcześniej zahaczam o doktora, to znaczy patologa, bo dzwonił do mnie godzinę temu.

– Co się stało? – znowu niemal krzyknąłem. – Potwierdził, że Barska też została zamordowana?

– Powiedział, że ma informację, która na pewno mnie zainteresuje, ale nie jest to rozmowa na telefon.

– Tylko rozmowa na pokój z trupami w metalowych, długich szufladach – zakpił Tołdi.

Leon tylko wzruszył ramionami.

– A wracając do Krystiana, masz jeszcze jakieś przydatne informacje na jego temat? – spytałem.

– Ostatnim działaniem Krystiana, które znalazł Dżin, był zakup czterdziestu litrów paliwa na przydrożnej stacji w okolicach Wrocławia. Było to w czwartek wieczorem o 21:07. Czyli dwa dni temu.

– Kieruje się na południe – niemal pstryknąłem palcami.

– Bardzo możliwe, dlatego wysłałem już informację do tamtejszej policji.

– Myślałem, że to śledztwo jest nieoficjalne.

– Po tym jak ktoś z tej sali dostał niezły łomot w piwnicy, stwierdziłem, że trzeba zwiększyć trochę zasięg działania.

– Czyli jeśli Krystian wyjechał z miasta dopiero dwa dni temu, to mógł zabić i Alana i Barską. Jeśli to drugie oczywiście było morderstwem.

Leon pokręcił głową.

– Mógł też wrócić w piątek wieczorem i pobić cię w nocy. Mikołaj, możemy tak gdybać do rana. Jedno jest pewne. Możliwe, że w minus pięćdziesiąt jeden natknąłeś się na mordercę, ale nie pasuje mi tu Krystian. Nie dałby przecież swojego telefonu Alanowi, czyli niby najlepszemu przyjacielowi, który okazał się jeszcze daleką rodziną, a później zabił go w akademiku. To jest bez sensu. Niewątpliwie Krystian coś wie i jest dużym stopniu zamieszany w tę sprawę, więc musimy go odnaleźć.

Leon głośno wciągnął powietrze.

– Dobra Mikołaj – powiedział po chwili – Było naprawdę miło i przytulnie, ale nie złapię naszego mordercy, siedząc u ciebie w szpitalu.

– Jadę z tobą – odparłem stanowczo.

– Wiesz, czemu powinienes przejść się do łazienki, która przylega do tej izolatki? Bo jest tam wielkie lustro i naprawdę szczerze radziłbym ci się w nim przejrzeć.

– Nie idę dzisiaj na imprezę, żeby przejmować się wyglądem.

– Nie idziesz nie tylko na imprezę, ogólnie nigdzie nie idziesz. Jesteś ofiarą ciężkiego pobicia, kilka dni musisz spędzić w szpitalu, później zostaniesz też oficjalnie przesłuchany przez policję. Wezwanie już pewnie leci do ciebie pocztą.

– Nieważne. Za chwilę i tak pójde do tej lekarki i wypiszę się na własne żądanie. Chyba mam do tego prawo?

– Masz. Prawo do głupoty również. I właśnie go nadużywasz – zakpił Leon.

Już miałem coś odpowiedzieć, kiedy do sali weszła pani roznosząca obiady, a my w trójkę natychmiast zamilkliśmy. Po kilkunastu sekundach miałem przed sobą spóźniony posiłek składający się z przypalonego kotleta, niedogotowanych ziemniaków i surówki, co do której nie byłem pewny, czy do jej przygotowania na

pewno użyto warzyw. Całość dopełniała gorzka herbata, której nawet nie chciałem słodzić, bo mój organizm mógłby nie przyjąć takiego wywaru.

Kiedy kobieta wyszła, Leon i Tołdi spojrzeli na mój talerz i jednocześnie powiedzieli „smacznego”. Zmarszczyłem czoło i zjadłem wszystko w jakieś pięć minut, bo mimo wszystko byłem niesamowicie głodny, a mając jeszcze w pamięci nocnego burgera, stwierdziłem, że moje posiłki to jakiś przedziwny rollercoaster.

– A powiedz mi jeszcze jedno Mikołaj – zaczął Leon, kiedy przełknąłem ostatni kęs i popiłem go herbatą. – Ty chcesz w tej niebieskiej pizamce wyjść na tą wielką śnieżycę?

Uniosłem brwi.

– No chyba mam gdzieś tutaj swoje ubranie?

– Jeśli technicy nie zabrali go do laboratorium, ale z tego co sobie przypominam, to uwierz mi, że zabrali.

Zamknąłem na chwilę oczy i zacząłem liczyć do dziesięciu, żeby się trochę uspokoić, jednak przy szczęśliwej cyferce siedem i tak nie wytrzymałem.

– Leon – wrzasnąłem. – Sam dobrze wiesz, że nie odpuszczę tej sprawy. Na początku, mogę to szczerze teraz przyznać, byłem nieźle wkurzony, jak mnie w to wszystko wmieszałeś. To całe bycie informatorem i bawienie się w detektywa. Ale teraz dotknęło mnie to osobiście. I to dotknęło w dość bolesny sposób – wskazałem palcem na swoją głowę. – Także możesz sobie gadać, co tylko chcesz, ale ja i tak pojedę z tobą i do patologa i do tego gangstera Szarego.

Leon zaczął nerwowo pstrykać palcami.

– Pamiętaj, że robisz to teraz na własną odpowiedzialność. Swoje dla tej sprawy zrobiłeś, uwierz mi, nie chciałem, żeby tak to się skończyło. Ale jeśli uważasz, że to jeszcze nie koniec, nie będę się z tobą kłócił.

Uśmiechnąłem się.

– Świetnie. To jaki jest plan?

– Prosty – powiedział Leon, powoli wstając. – Ja odwiozę teraz Tołdiego do akademika, bo on zaraz umrze na klątwę braku snu i tanich energetyków, a później przyjadę po ciebie z ubraniami. W tym czasie załatw ten swój wypis na żądanie.

Starąłem się szybko wytłumaczyć Tołdiemu, które rzeczy z mojej szafy ma przekazać Leonowi, jednak byłem niemal pewny, że będzie to bardzo losowy wybór. Po tym jak obaj wyszli, powoli wstałem z łóżka, wsunąłem stopy w szpitalne klapki, które były równo ułożone na podłodze. Przez chwilę czułem, jak zjedzona kilka minut temu surówka chce jeszcze o sobie przypomnieć i mocno nalega, żebym koniecznie sprawdził z czego była przygotowana. Kilkanaście razy przełknąłem ślinę i wyszedłem na korytarz.

Drzwi do pokoju doktor Zakrzewskiej znajdowały się niemal na samym końcu korytarza. Zapukałem kilka razy i po usłyszeniu krótkiego „proszę”, wszedłem do środka. Lekarka siedziała przy dużym biurku, popijała kawę i czytała jakiś magazyn. Kiedy mnie zobaczyła, zrobiła zdziwioną minę i pospieszenie zamknęła gazetę, biorąc jeszcze wcześniej duży łyk czarnego napoju.

– Co pan tu robi panie Mikołaju? Jeśli źle się pan poczuł, trzeba było wezwać pielęgniarkę.

– Czuję się bardzo dobrze – odpowiedziałem. – Dlatego chciałbym się wypisać. Oczywiście na własne żądanie.

Doktor Zakrzewska zmarszczyła czoło.

– Pan żartuje, prawda? – powiedziała, dodając do tego sztuczny uśmiech.

– Misie panda nigdy nie żartują. Nawet te w wersji demo – odparłem wskazując na swoje limo, po czym też obdarowałem ją sztucznym uśmiechem.

Lekarka westchnęła.

– Zaczynam się zastanawiać, czy pana wstrząs mózgu, właśnie się nie pogorszył. Ma pan świadomość, że trzy pierwsze dni są kluczowe w dochodzeniu do siebie po wszelkich urazach? Zwłaszcza po takich jak pańskie.

Podszedłem bliżej i usiadłem na krześle naprzeciwko.

– Pani dobrze wie, że zostałem napadnięty – zacząłem, po czym kobieta potakująco skinęła głową. – Muszę się jak naszybciej dowiedzieć, kto to był.

Lekarka westchnęła kolejny raz.

– Widzę, że nie przekonam pana do pozostania w szpitalu.

– Szczerze? Macie tu trochę mało rozrywek.

– No tak. Klaun tylko na dziecięcym... – Zakrzewska zaśmiała się ironicznie.

– Ale wie pan, że wszystkie rzeczy oprócz portfela policja zabrała do laboratorium?

– Już rozwiązałem ten problem.

– Dobrze. W taki razie pójde tylko po dokumenty – lekarka wstała i opuściła pokój na najbliższe pięć minut, podczas których walczyłem z samym sobą, żeby nie zwymiotować. Nikt nigdy nie mówił, że wychodzenie ze szpitala na własne żądanie to jakaś niesamowicie wielka przyjemność.

Złożyłem ostatni podpis na papierach, które zawierały kilka formułek oznaczających tak naprawdę jedną, prostą rzecz: „jest pan idiotą”. Przesunąłem dokumenty w stronę doktor Zakrzewskiej, która jeszcze raz spróbowała mnie przekonać do pozostania w szpitalu. Kolejny raz grzecznie odmówiłem, po czym lekarka również złożyła podpis na dole strony, a następnie oddała mi jedną z kartek.

– Proszę zgłosić się z tym do recepcji, oddadzą panu portfel.

– Dziękuję – odpowiedziałem, po czym pospieszenie wyszedłem na korytarz i skierowałem się do recepcji. Pokazałem podpisane dokumenty, a w zamian

otrzymałem niebieską, foliową reklamówkę w której znajdował się jedynie mój portfel.

Po powrocie do sali, wszedłem do łazienki i widząc swoje odbicie w lustrze, stwierdziłem, że doktor Zakrzewska miała trochę racji. Moja twarz była spuchnięta w wielu miejscach, fioletowe limo wokół lewego oka zaczynało również przechodzić na policzek i już tylko czekałem, aż zacznie zmieniać barwy. Bandaż na głowie przypominał pływacki czepek, więc był to kolejny element, który zabierał 100 punktów mojej przystojności, jeśli w ogóle całkowicie nie niwelował tej cechy. Lekko się uśmiechnąłem i stwierdziłem, że zakup zimowej czapki był jedną z najbardziej trafionych decyzji od dłuższego czasu. Przemyślałem jeszcze raz opuchnięte miejsca lodowątą wodą, wyszedłem z toalety i położyłem się łóżku.

Duża reklamówka wylądowała obok mojej głowy, przy okazji wybudzając mnie z krótkiej drzemki.

– Przebijaj się w swój superbohaterski strój i jedziemy do kostnicy – powiedział Leon, kiedy otwierałem zaspane oczy.

– Jasne – wybełkotałem pod nosem, a w tym momencie na łóżku wylądowała kolejna reklamówka.

Głęboko westchnąłem, a następnie wziąłem obie siatki i ruszyłem w stronę łazienki, żeby się przebrać. Kiedy to zrobiłem, jeszcze ostrożnie założyłem czapkę i spojrzałem na swoje odbicie w lustrze.

– Faktycznie wyglądam jak superbohater – pomyślałem. – I w dodatku po spotkaniu z kilkoma bokserami.

Kiedy wróciłem do sali, Leon rzucił w moją stronę kurtkę, a kiedy ją złapałem, do pomieszczenia weszła doktor Zakrzewska. Stała pomiędzy mną i Leonem i włożyła mi do ręki coś na kształt małego, plastikowego słoiczka.

– To leki przeciwbólowe na receptę. Proszę mi wierzyć, przydadzą się już w ciągu dwóch godzin – powiedziała beznamiętnym głosem.

Nie zdążyłem nic odpowiedzieć, bo lekarka zamykała szybko opuszczała pomieszczenie, wcześniej całkowicie ignorując Leona, który wpatrywał się we mnie zdziwionym wzrokiem.

– Mikołaj, tylko ty umiesz wywołać takie emocje u lekarzy, że chcą cię jednocześnie leczyć i zabić – zaśmiał się.

Wzruszyłem ramionami i włożyłem słoiczek z tabletkami do kieszeni.

– Lepiej podaj mi buty.

Leon rzucił w moją stronę ostatnią, najmniejszą reklamówkę, która złapałem z niemałymi problemami, ale po kilkunastu sekundach buty już idealnie leżały na moich stopach.

– Gotowy? – spytał Leon, powoli otwierając drzwi.

– Jasne. Przecież mam przeciwbólowe na receptę. To prawie jak nieśmiertelność.

Wyszliśmy na korytarz i ruszyliśmy w kierunku windy. Kiedy znaleźliśmy się w środku, jak najszybciej wcisnąłem przycisk z wygrawerowaną cyfrą 0. Winda szarpnęła i ruszyła w dół, a kiedy się zatrzymała, stwierdziłem, że musi minąć jeszcze trochę czasu, zanim moja życiowa winda, która aktualnie spadała w przepaść, w końcu się zatrzyma i ruszy do góry.

Rozdział 18

„A jeśli poranna mgła to duchy wracające z imprezy?”

Patrzyłem na szybko zmieniający się krajobraz za oknem, kiedy nagle samochodem Leona tak zarzuciło, że przez chwilę znajdowaliśmy się dziesięć metrów od tira, jadącego z naprzeciwka. Odgłos klaksonu niemal rozsadził mi głowę, a Leonowi udało się uniknąć wypadku w ostatnim momencie.

– Cholera – zakląłem, kiedy zjechaliśmy na pobocze. – Za niedługo też znajdziemy się w kostnicy, nawet o tym nie wiedząc. I to.. – wyjąłem opakowanie tabletek przeciwbólowych. – ..nie zapewni mi wtedy żadnej nieśmiertelności.

Leon wziął trzy głębokie wdechy i powiedział, że musi zapalić. Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz, a ja nie zastanawiając się długo, łyknąłem jedną tabletkę i też opuściłem wnętrze samochodu. Zimne płatki śniegu przyklejały mi się do twarzy, lecz teraz było to dość przyjemne, mając na myśli opuchnięte miejsca. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła 18:30, a jako że był 10 grudnia, boczna droga, na której aktualnie się znajdowaliśmy, była spowita całkowitymi ciemnościami. Dzisiaj gdzieś przeczytałem, że 10 grudnia jest dłuższy od najkrótszego dnia w roku jedynie o 7 minut. Nawet nie chciałem się zastanawiać, czy to jakiś szczęśliwy znak.

Wolałem nie częstować się papierosem, więc z powracającymi falami mdłości, wsiadłem do samochodu. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wziąć jeszcze jednej tabletki, jednak stwierdziłem, że w przypadku zderzenia z tirem, ból jest chyba najmniejszym problemem. Mimowolnie przymknąłem oczy i obudziłem się dopiero przy budynku kostnicy.

Kiedy weszliśmy do środka, natychmiast uderzył mnie chłód tego miejsca, chociaż tak naprawdę było tu dosyć ciepło. Jednak świadomość, że w tym budynku jest tyle świeżych zwłok, przyćmiewało nawet największy, możliwy do wyobrażenia kaloryfer. Naciągnąłem mocniej czapkę, a schodząc na niższy poziom, poczułem się, jakby właśnie uczestniczył w wycieczce na plan zdjęciowy horroru.

Leon zapukał w duże, szare drzwi, a po kilku sekundach otworzył nam mężczyzna ubrany w biały kitel. Nosił okrągłe okulary i posiadał szeroki uśmiech składający się z krzywych zębów. Od razu wzbudził moją sympatię, co i tak chyba niezbyt przydawało mu się w pracy.

– Cześć Leon – rzekł, podając mu dłoń. – A to kto? – spytał, wskazując wzrokiem na mnie.

– Twój niedoszły pacjent – odparł Leon, szeroko się uśmiechając.

– Mikołaj Zarzeczny – powiedziałem, wyciągając rękę w stronę lekarza.

– Doktor Filipowiak, ale większość mówi na mnie po prostu Doktorek – odrzekł, mocno ściskając moją dłoń. – W takim razie zapraszam do środka. Może napijecie się czegoś mocniejszego? Jakoś żaden z moich pacjentów nie przyniósł ani

żadnej flaszki, ani nie chce się ze mną napić – dodał, a później sam zaśmiał się ze swojego żartu, eksponując swoje duże i równie śmieszne zęby.

– Ja prowadzę, a Mikołaj jest na przeciwbólowych – rzekł Leon, a jego słowa momentalnie zgasiły uśmiech Doktora.

– Ale przeciwbólowe bez recepty? – dopytał.

– Na receptę.

– Szkoda – kolejny raz zaśmiał się Doktor. – Po tych bez recepty jest tylko mocniejszy kop. No ale mam nadzieję, że nie obrazicie się, jeśli sam się napiję?

– Nikt płakać nie będzie – oznajmił Leon.

Doktor zaprowadził nas do małego gabinetu, który znajdował się obok wielkiej sali ze srebrnymi szufladami na zwłoki, o których wspominał Tołdi. Gabinet był naprawdę mały i swoimi gabarytami przypominał sześcian o boku 3 metrów. Większość miejsca zajmowało niewielkie biurko, ale znalazło się też miejsce dla małej lodówki, która była ustawiona w samym rogu pomieszczenia. Doktor wyjął spod biurka dwa rozkładane krzesła i wręczył nam po jednym, tłumacząc, że rzadko ma tutaj gości. Następnie otworzył lodówkę i wyjął z niej butelkę whisky, której zawartość po chwili znalazła się w jego szklance.

– To może krótki wstęp, zanim przejdziemy do meritum – powiedział i wziął sporego łyka. – Wiecie co to jest GHB? – spytał po chwili.

Zmarszczyliśmy czoła, a Doktor znowu się roześmiał.

– Kwas gamma – hydroksymasłowy chyba też niewiele wam mówi.

– Nie bardzo – odparł Leon.

– No dobra. Myślę, że komercyjna nazwa tej substancji rozjaśni wam trochę w głowach. To po prostu pigułka gwałtu.

– Chcesz powiedzieć, że we krwi Barskiej wykryłeś pigułkę gwałtu? – Leon niemal krzyknął.

– Pigułkę gwałtu zmieszaną z alkoholem. Ale muszę wam pokrótce wytłumaczyć, jak dokładnie działa pigułka gwałtu.

– Chyba nie ma tu zbyt wiele do wyjaśniania – stwierdził Leon.

– Nie do końca. Według mnie w tym przypadku nie użyto pigułki gwałtu do samego gwałtu, bo w seksualne narządy tej całej Barskiej, że tak powiem, nikt dawno się nie zapuszczał.

– Bo pigułki gwałtu użyto tutaj do upozorowania samobójstwa.

Doktor głośno się roześmiał.

– Leon, nie żartuj. Masz rację, że ktoś upozorował samobójstwo, ale raczej dla zyskania czasu, niż w celu ukrycia zbrodni. GHB faktycznie łatwo rozkłada się w organizmie, bo znika z krwi już po 8 godzinach, a z moczu po 12, ale mówimy wtedy o żyjącym organizmie, a nie o dyndających zwłokach, w których ustały już wszelkie procesy metaboliczne.

– Czyli co sugerujesz?

– Mam swoją teorię. Ale najpierw krótkie streszczenie materiału. GHB podany bez żadnych innych substancji działa jak całkiem niezły narkotyk. Pobudzenie, poprawienie nastroju, intensyfikacja bodźców zewnętrznych, zwiększenie libido to

tylko niektóre efekty. Swojego czasu brały to nawet koksy z siłowni, bo pobudzało to wydzielanie hormonu wzrostu. Ale prawdziwa zabawa z GHB zaczyna się po połączeniu z alkoholem. Ilość skutków ubocznych gwałtownie wzrasta i właśnie wtedy budzi to zainteresowanie przestępców. Na pierwszy ogień niech pójda gwałciciele. GHB rozpuszczone w wodzie ma jedynie trochę słony posmak, ale po rozpuszczeniu na przykład w Mojito nie sposób go wyczuć. A tak poza tym nigdy nie przepadałem za Mojito.

Doktorek przechylił szklankę i wziął kolejnego dużego łyka whisky.

– Co innego czysta łycha nawet bez lodu – rzekł z ironicznym uśmiechem. – Kontynuując, ofiara odurzona GHB połączonym z alkoholem traci całkowicie wolną wolę i gwałciciel może robić z nią co mu się żywnie podoba. A najgorsze z tego wszystkiego jest to, że ofiara nic nie pamięta. Całkowita czarna dziura, blackout, nazwijcie to jak chcecie. Sprawcy często nie można nic udowodnić, bo GHB rozkłada się w organizmie na dwutlenek węgla i wodę. Jak już wspominałem nie da się go wykryć we krwi już po 8 godzinach, a w moczu po 12. A uwierzcie mi, że jeśli ofiara w ogóle zgłosi się na policję, to po pierwsze praktycznie nic nie pamięta, jedynie może mieć jakieś podejrzenia, a w momencie zgłoszenia już dawno upłynęło 12 godzin, czyli nie ma praktycznie żadnych dowodów. Zgwałcona dziewczyna zapewne już parę razy wzięła prysznic, czyli nie mamy też śladów nasienia, a szklanka po trefnym drinku też już dawno została umyta w klubowej kuchni.

– Cholera – krzyknęliśmy jednocześnie z Leonem.

– Dlatego od zawsze jestem zwolennikiem porządnego bifora i przemycenia do klubu jakiejś ćwiartki wódki w torebce. I oczywiście picia szotów a nie tych kolorowych drinków z palemką. Uwierzcie mi, że nikt nigdy nie doda pigułki gwałtu do kieliszka z przezroczystą wódeczką.

– Ale jaki to ma związek ze śmiercią Barskiej? – spytał Leon.

– To była taka bajka na dobranoc, którą będziesz musiał opowiadać swoim córkom, jak trochę podrosną. Bo tak naprawdę świadomość o tabletkę gwałtu jest znikoma. W telewizji coś tam przebakną, żeby pilnować swojego drinka, ale jeśli dziewczyna jest już trochę wstawiona, to raczej nie pamięta telewizyjnych spotów ochronnych, bo jest wtedy bardziej podjadana kolesiem, który właśnie stawia przed nią pyszniutkie Mojito, którego nienawidzę. Naprawdę. Jak ja nienawidzę tego gówna. No ale wracając do tematu, dziewczyna od razu ma myśli z serii „Jezu, ale muszę być atrakcyjna, bo koleś proponuje mi drinka”. Rozumiecie? Jak w komediach romantycznych. Ale tutaj tylko początek jest romantyczny. A chcieliście wiedzieć, jaki to ma związek z Barską? Otóż taki, że oprócz całkowitej utraty własnej woli, GHB ma jeszcze jedno ciekawe działanie uboczne. Jest wyzwalaczem prawdomówności. I to niemal stuprocentowym. Policja odnotowała wiele przypadków, kiedy tabletkę gwałtu podawano nie kobietom, lecz nadzianym biznesmenom. Później wyjmowano im z portfela kartę kredytową, a odurzony biznesmen sam podawał im kod PIN. Jednak w tych przypadkach dużo łatwiej o dowody, bo dużo trudniej jest usunąć historię wypłat z bankomatu. I według mnie

dlatego zginęła ta wasza Barska. Zabójca chciał się czegoś od niej dowiedzieć, a nie upozorować samobójstwo.

– Cholera – krzyknął Leon. – To ma sens. A kiedy dokładnie zginęła Barska?

Według moich badań zgon nastąpił w środę w godzinach 12:00 – 18:00. Wybaczcie za ten sześciogodzinny przedział czasowy, ale nic lepszego nie jestem w stanie uzyskać.

Spojrzałem na Leona i z jego twarzy wyczytałem tę samą myśl. Że jesteśmy strasznie blisko, ale póki nie pogadamy z Krystianem nasze śledztwo może się nigdy nie skończyć.

– Ale jesteś pewny, że to nie było zwykłe samobójstwo?

Doktorek głośno się roześmiał.

– Nie, to były amatorskie próby lewitacji. Uwierz mi Leon, z takim stężeniem GHB we krwi, ta kobieta mogła tylko leżeć na łóżku i odpowiadać na pytania, a później nic z tego nie pamiętać. Nie ma szans, że powiesiła się sama, ale cały czas twierdzę, że ważniejszą sprawą dla zabójcy było tutaj uzyskanie jakiejś informacji, a upozorowanie samobójstwa miało na celu zaoszczędzenie czasu. Albo to była na maksa spaprana robota. I właśnie mam do ciebie teraz ważne pytanie Leon. Jak długo mam jeszcze ukrywać przed policją, że to było morderstwo?

– Daj mi trzy dni.

– Dwa.

– Trzy.

– Cholera Leon – warknął Doktor, jednak i tak zrobił to w sympatyczny sposób. – Daję ci dwa dni. Później sprawa idzie dalej. Zresztą nawet przez te dwa dni zwłoki mogę mieć całkiem niezłe problemy, ale mam nadzieję, że sobie z tym poradzisz i wtedy nie trzeba będzie już nikogo szukać.

Leon skrzywił się, co w jego zamierzeniu miało być pewnie szerokim uśmiechem.

– Ja też mam taką nadzieję – powiedział, a następnie zaczął powoli wstawać.

– Już idziecie? – rzekł ze smutną miną Doktor. – Myślałem, że wypiję z wami jeszcze jedną szklaneczkę.

– Jesteś w pracy, nie przesadzajmy.

– Daj spokój Leon. Pacjenci jakoś jeszcze nigdy na mnie nie donieśli

– Doktor kolejny raz zaśmiał się ze swojego typowego żartu.

– Tym razem dziękujemy.

– Jak chcecie. Ale żeby nie było, to proponowałem. I to kilka razy.

Pożegnaliśmy się z Doktorem, po czym jak najszybciej opuściliśmy kostnicę.

– Myślisz o tym samym co ja? – spytał Leon, kiedy stanęliśmy przy samochodzie.

– Co takiego wiedziała Barska?

Leon skinął głową.

– A nadal myślisz, że to nie Krystian? – spytałem.

Leon wyciągnął papierosa, lecz po chwili wahania schował go z powrotem do paczki.

- Teraz to sam już nie wiem – odparł, a następnie spojrzał na zegarek. – Dobra. Musimy jechać do Szarego, bo i tak jesteśmy już spóźnieni.
- Jak wszędzie – westchnąłem, po czym szybko wsiedliśmy do samochodu.

W czasie drogi Leon próbował wytłumaczyć mi zasady, na podstawie których Szary współpracuje z policją. Jest on jednym z głównych członków potężnej mafii zwanej „Armią siedmiu”, a jej odgałęzienia obejmują swoim zasięgiem niemal cały kraj. Jej nazwa podobno pochodzi od siedmiu rodzajów przestępstw, którymi się zajmowali, jednak jest to już dawno nieaktualne. Leon zażartował, że jeśli miałyby być to prawda, to powinni się nazywać „Armią dwudziestu siedmiu”

– A za co dokładnie odpowiada Szary? – spytałem.

– Można powiedzieć, że jest kontrolerem jakości. To do niego spływają wszystkie raporty, podania nowych członków, a on później przekazuje to wszystko zarządowi.

– A dlaczego został policyjnym informatorem? – spytałem, zastanawiając się jednocześnie, czy nie wziąć kolejnej tabletki przeciwbólowej.

Leon głośno się roześmiał.

– Szary nie dlatego został informatorem, bo nagle odnalazł w sobie złote serduszko, tylko dlatego, że miał takie polecenie od zarządu.

– Nie powiesz mi, że zarząd każe mu sypać swoich – zakpiłem.

– Kto powiedział, że sypie swoich. Mafia jest jak firma, a wszystkie firmy mają to do siebie, że walczą z konkurencją. Ostatnimi czasy na rynku pojawiło się naprawdę dużo nowych przedsiębiorstw. A wiesz, co musi zrobić nowa, mała firma, żeby się wybić?

– Szalone promocje?

Leon ironicznie się uśmiechnął.

– Powiedzmy. Ale głównie kończy się na tym, że nowi gangsterzy są coraz bardziej nieprzewidywalni i coraz bardziej brutalni. A Armia siedmiu istnieje kilkanaście lat i ma pewną etykę. Przykładowo. Kiedy obrabia bank nikogo nie zabija lub przy werbowaniu nowego członka nie każe uśmiercać pierwszej napotkanej osoby. A ci nowi królowie nocy zanim sami pójdą do piachu, zachowują się jakby chcieli wybić pół miasta.

– A Szary sypie ich wszystkich, a sam pozostaje bezkarny.

– Nie jest to takie jednoznaczne. Ale uwierz mi. Wolę mieć na głowie jedną dużą mafię, zamiast mutujących jak wirusy nowe grupki przestępcze. W dodatku pełne psycholi. Mafii nigdy nie zniszczysz. Zawsze pojawi się nowa i jeszcze gorsza niż poprzednia, dlatego lepiej pielęgnować stosunki z tą, którą już trochę znasz.

– Myślisz, że Szary powie nam, dlaczego kontaktował się z Krystianem?

– Nie wiem, ale i tak miałem go odwiedzić – Leon mocniej wcisnął pedał gazu i już po kilku minutach zaparkowaliśmy w pobliżu klubu Drinkowy Hycel.

Przed wejściem utworzyła się już całkiem duża kolejka, a dwóch rośliwych ochroniarzy ubranych w aż za dobrze skrojone garnitury wpuszczało kolejne osoby co parę minut. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła 20:00, więc ta długa kolejka niespecjalnie mnie dziwiła. Drinkowy Hycel był bardzo popularny w mieście, więc jeśli nie przyszło się odpowiednio wcześniej, należało szukać innego klubu albo czekać na afterparty.

Już miałem otworzyć drzwi samochodu, kiedy Leon chwycił mnie za rękaw.

– Czekaj – powiedział. – Jeszcze dwie rzeczy. Kiedy będziemy rozmawiać z Szarym, pamiętaj, żeby odpowiednio dobierać słowa.

– To znaczy? – uniosłem wysoko brwi, przez co prawa strona mojej twarzy przypominała sobie o sporej opuchliznie.

– To znaczy, że nie odzywasz się bez pytania.

– A ta druga sprawa?

– Jeśli mafia jest dla ciebie miła, to wcale nie oznacza, że cię lubi.

– Jeśli w filmach porno się całują, wcale nie znaczy, że jest romantycznie.

Leon się uśmiechnął.

– Dobra idziemy – rzekł i otworzył zamasyżycie drzwi.

Nie zamknął samochodu na klucz, żeby nie męczyć się z otwieraniem, gdyby, jak to tłumaczył, wynikła jakaś nagła sytuacja. Nawet nie chciałem się zastanawiać, o co może mu chodzić, więc powoli ruszyłem w stronę końca kolejki. Leon znowu chwycił mnie za rękaw i powiedział, że dzisiaj jesteśmy vipami. Nad tym z chęcią bym się trochę zastanowił, jednak po kilku sekundach staliśmy naprzeciwko dwóch ochroniarzy, którzy z bliska wydawali się jeszcze więksi. Leon przeszedł obok nich bez żadnego problemu, lecz kiedy nadeszła moja kolej, ochroniarze przylegli do siebie, jakby byli zaginionym bliźniakami.

– Leon, kto to jest? – spytał ten po lewej, chociaż tak naprawdę nie robiło to większej różnicy, bo obaj wyglądali prawie identycznie.

Leon przekreślił głowę.

– Osoba towarzysząca – odparł ironicznie.

Ochroniarz z lewej przez chwilę bacznie mi się przyglądał, podczas gdy ten z prawej zaczął zajmować się uspokajaniem rozwrzeszczanego tłumu. Zwłaszcza jakieś dwie dziewczyny bardzo głośno wyrażały swoją niepochlebną opinię dotyczącą naszego ominięcia kolejki. Po kilku sekundach ochroniarscy bliźniacy zostali rozdzieleni, a ja mogłem wślizgnąć się do środka.

– Myślisz, że jeżdżą razem na wakacje jak najlepsze przyjaciółki? – spytałem, ale Leon chyba tego nie usłyszał.

Minęliśmy dużą szatnię, nie zostawiając tam żadnych rzeczy i od razu skierowaliśmy się w stronę głównej części klubu. Kolory, które wypełniały jego wnętrze to głównie fiolet ze sporymi wstawkami niebieskiego oraz z mniejszymi – żółtego. Zadbano tutaj o wszelkie najdrobniejsze szczegóły. Ściany były obite fioletowym futerkiem na wzór starych foteli, a w wielu zagłębieniach znajdowały się

małe lampki LED, które subtelnie dopieszczały nastrój. Krzesła i stoliki były przezroczyste, oblane poświatą fioletu, tak samo jak wszelkie szklanki, kufle i kieliszki. Z tą różnicą, że poświata była już żółta.

Parkiet był ogromny, lecz z racji dość wczesnej pory, był wypełniony jedynie w połowie. Wytatuowany didżej puszczał właśnie utwór Crystal Castles – „Not in love”.

Leon bez żadnego uprzedzenia przeciął nagle parkiet przez sam środek, a ja starałem się go dogonić. Nie było to łatwe, bo z powodu zbyt głośnej muzyki moja głowa zaczęła boleć jeszcze mocniej, a w dodatku co chwilę odbijałem się od ludzi, którzy chyba trochę się zagubili ze swoim poczuciem rytmu. Kiedy dotarliśmy do schodów prowadzących do strefy górnych loży, musiałem się na chwilę zatrzymać i zaczerpnąć świeżego powietrza, które praktycznie tutaj nie istniało.

– Lekka zadyszka panie bohaterze z wypisem ze szpitala? – spytał ironicznie Leon, a po chwili szyderczego uśmiechu odwrócił się i ruszył ku górze. Wzruszyłem ramionami i pokazując środkowy palec jego plecom, podążyłem za nim. Na szczycie schodów czekała na nas przeszkoda w postaci kolejnych dwóch ochroniarzy, ale na szczęście wszystko rozwiązało się w podobny sposób jak przed wejściem do klubu. Ruszyliśmy w stronę największej loży znajdującej się w samym rogu. Na obszernej kanapie, która była obita fioletową skórą, siedział około pięćdziesięcioletni, otyły mężczyzna, a po jego obu stronach znajdowały się dwie kobiety w wyzywających strojach. Kiedy przystanęliśmy około pół metra od nich, mężczyzna leniwie uniósł wzrok i machnął prawą ręką. Kobiety momentalnie wstały i z głupim chichotem ruszyły w kierunku schodów.

– Trochę się spóźniłeś Leon – rzekł mężczyzna, robiąc gest ręką oznaczający, że mamy usiąść.

– Trochę się działo.

– A twój znajomy to kto? – mężczyzna przeniósł na mnie swoje świdrujące spojrzenie.

– Ktoś, kto niedawno niemal zginął, ale to naprawdę jest teraz najmniej ważne – odparł Leon spokojnym głosem, a ja zacząłem się zastanawiać czy ta pseudo dramaturgia jest na pewno potrzebna.

– Nie jest dla ciebie ważne, że twój znajomy prawie zginął? – spytał mężczyzna, szeroko się uśmiechając.

– Daruj sobie to słabe poczucie humoru Szary.

Szary kolejny raz szeroko się uśmiechnął.

– Dziwki mi mówią, że jestem ich najbardziej zabawnym klientem.

– Dlatego że płacisz im stówę ekstra, czy dlatego że jesteś jedyną osobą z podwórka, która awansowała z ksywy „Siwy” na „Szary”?

Tym razem Szary wybuchnął głośnym śmiechem.

– Właśnie dlatego cię lubię Leon, właśnie dlatego cię lubię...

Usiedliśmy po prawej stronie Szarego, bo jakoś nie chcieliśmy brać przykładu z dwóch prostytutek i siadać po obu stronach.

– To przejdziemy do comiesięcznych interesów czy chcesz zacząć od tej dodatkowej sprawy? – Szary znowu przeniósł wzrok na mnie.

– Comiesięczne interesy mogą poczekać – Leon sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął czarno – białą odbitkę przedstawiającą Krystiana. Było to te samo zdjęcie, które widniało na wydruku od Dżina. – Znasz go? – spytał i wpatrywał się w twarz Szarego, jakby nie chciał przeoczyć napięcia nawet najmniejszego mięśnia na twarzy.

Szary powoli podniósł zdjęcie i wpatrywał się w nie z odległości kilkunastu centymetrów.

– Szukasz zaginionego kochanka? – wypalił nagle. – Uwierz mi. Mogę załatwić ci dużo ładniejszych.

– Cholera, Szary – krzyknął wyraźnie zdenerwowany Leon. – Wiem, że do niego dzwoniłeś. Koleś jest zamieszany w dwa morderstwa, więc odstaw na chwilę na bok to swoje beznadziejne poczucie humoru i powiedz mi, jak go znaleźć.

Szary sięgnął po leżącą na stole paczkę smakowych, czarnych papierosów i odpalił jednego. My odmówiliśmy.

– Chyba nie będę w stanie ci pomóc – rzekł spokojnym głosem.

– Wiesz, że musisz mi pomóc – odparł Leon z wyraźnym naciskiem na słowo „musisz”.

– Nawet jeśli bym chciał, to nie jestem w stanie.

Szary mocno zaciągnął się papierosem, tak że jego końcówka zamigotała jasnym światłem.

– Nie jestem w stanie ci pomóc, bo ten chłopak nie żyje od dwóch dni – powiedział, wypuszczając jednocześnie ogromne ilości dymu. Powietrze w klubie jakby zatrzymało się na kilka długich sekund.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywaliśmy się w Szarego, który wyraźnie podwyższył tempo spalania papierosa. Jednocześnie przez środek mojej bolącej głowy przechodziło tyle myśli, że miałem spory problem z selekcją tych najbardziej przydatnych. Jeśli Szary mówił prawdę, to Krystian zginął lub został zamordowany w czwartek, czyli to nie on znokautował mnie w piwnicy. Ale to on mógł zamordować Alana i Barską. Jednak gdzie w tym wszystkim jakakolwiek logika? Z informacji podanych przez Dżina wynikało, że Krystian w czwartkowy wieczór kierował się na południe kraju. I teraz wychodzi na to, że jego podróż trochę zbyt szybko się skończyła. Przymknąłem oczy i po omacku wyjąłem tabletkę przeciwbólową. Kiedy ją połknąłem, niemal czułem jak drapie mi przetyk, ale odczułem też jakąś dziwną przyjemność z faktu, że pierwszy raz to nie ja znalazłem zwłoki osoby zamieszanej w tę sprawę. Wsuwając opakowanie z powrotem do kieszeni, chciałem zerknąć na informacje o dawkowaniu, lecz stwierdziłem, że

w mojej aktualnej sytuacji dawkowanie nie podlega żadnym limitom. Bierz, kiedy boli. Po prostu. Chyba nie mógłbym być lekarzem.

– Jak to nie żyje? – krzyknął Leon, a Szary jeszcze przez chwilę całkowicie go ignorował. Tylko jedno małe światełko żarzące się co kilkanaście sekund było jakimkolwiek znakiem życia.

– Za 10 minut w fioletowym pokoju. Powiem ci wszystko, co wiem – rzekł nagle Szary i nie dając żadnych szans na więcej pytań, ruszył w kierunku schodów. Odprowadziliśmy go wzrokiem, aż w końcu zniknął za barem jeden poziom niżej.

– Myślisz, że mówi prawdę? – spytałem, sięgając po smakowego papierosa z paczki, która została na stole.

– Nie mam pojęcia. To gangster i mówi tylko to, co przyniesie mu jakiś zysk. Ale jednego jestem pewien. Ta sprawa właśnie skomplikowała się jeszcze bardziej.

– A co to jest fioletowy pokój? – walczyłem właśnie z zapalniczką, która została obok papierosów.

– Pomieszczenie w którym są zakłócanie wszelkie urządzenia nagrywające.

Zmarszczyłem czoło, zaciągając się papierosem, który smakował jak goździki z domieszką wiśni.

– To czemu nie spotkaliśmy się tam już na początku, skoro Szary tak się boi, że go nagrywasz.

Leon ironicznie się uśmiechnął.

– Bo teraz to on nas nagrywał.

Lekko się roześmiałem i pomyślałem, że fioletowy pokój to jakiś dziwny oksymoron. Sama nazwa wskazuje, że kręcone są tam amatorskie filmy dla dorosłych, a jednocześnie nie działają tam żadne urządzenia nagrywające.

Nie chciałem zaczynać dyskusji, co rzekoma śmierć Krystiana zmieniła w naszym śledztwie. Wolałem najpierw usłyszeć, co do powiedzenia ma Szary. Spojrzałem na Leona. On też wyglądał, jakby miał już wszystkiego serdecznie dosyć, chociaż on przynajmniej nie miał poobijanej połowy twarzy.

Zeszliśmy na dół i znowu przecięliśmy parkiet przez sam środek. Nadal trudno było przez niego przejść, bo liczba osób wcale się nie zmniejszyła. Wręcz odwrotnie. Starłem się osłaniać podbite oko i ranę na głowie, a skończyło się to prawie tym, że miałem szansę na drugie limo i wygląd jak miś panda w wersji pro.

Za barem skřęciliśmy w lewo i przeszliśmy przez drzwi obok których stał ochroniarz, lecz tym razem całkowicie nas zignorował. Znaleźliśmy się w wąskim i słabo oświetlonym korytarzu, który kończył się stalowymi drzwiami. Leon nacisnął solidnie wyglądającą klamkę i po chwili byliśmy już w pomieszczeniu, które nie posiadało żadnych okien, tylko dwa niewielkie przewody wentylacyjne. Jedynym źródłem światła był ogromny żyrandol. W pokoju nie znajdowały się żadne meble, oprócz dużego, drewnianego stołu przy którym siedział Szary. Znowu palił papierosa, a gęsty dym tworzył w pomieszczeniu coś w rodzaju mgły. Spojrzałem na blat stołu. Leżała tam duża szara koperta oraz znajomo wyglądająca paczka smakowych papierosów. Szary chyba trzyma je w kilku swoich miejscach rozsianych po całym klubie. Przeniosłem jeszcze wzrok na dwóch ochroniarzy, którzy znajdowali się po

obu stronach pomieszczenia, a następnie razem z Leonem usiedliśmy naprzeciwko Szarego.

– Ten chłopak ze zdjęcia... – zaczął Szary, wypuszczając z ust dym w kształcie kólek i zapachu goździków i wiśni. – ... nazywał się Krystian Barski.

Leon głośno się zaśmiał.

– Znam jego dane.

– Dobrze. Zacznijmy inaczej. Pamiętasz Leon, jak twoi koledzy z policji ponad rok temu pozamykali mi najlepszych producentów amfy i MDMA?

– Pamiętam. Mówili o tym w telewizji przez tydzień.

– Właśnie. A znasz powiedzenie, że rynek nie znosi próżni?

– Obiło mi się o uszy. Ale jaki to ma związek z Krystianem.

– Już mówię. Potrzebowaliśmy nowych laboratoriów, więc rozpuściliśmy informację po mieście i daliśmy producentom bardzo dobry bilans zysków. 60% dla nich, 40% dla nas. Rok temu zgłosił się do nas ten twój Krystian. Twierdził, że ma duże pomieszczenie na laboratorium, które dodatkowo jest bardzo bezpieczne. Potrzebował tylko pieniędzy na sprzęt, żeby zacząć. Jak się zapewne orientujesz Leon, bardzo lubię pożyczać ludziom pieniądze, ale bardzo lubię je też otrzymywać z powrotem. I nagle nastąpiło poważne spięcie. W ten weekend zadzwonił do mnie Krystian i stwierdził, że ktoś wykradł cały towar i sprzęt. A uwierz mi, że chodziło tu o kilkanaście gramów z przedrostkiem kilo. Muszę szczerze przyznać, że zdenerwowałem się strasznie. Program działał bez zarzutu już ponad rok, towar zawsze był na czas, a tu ktoś próbuje mi wcisnąć takie gówno. Kazałem dokładnie sprawdzić przeszłość tego Krystiana i okazało się, że wcześniej działał w mafii na południu. Wystarczył jeden przyjacielski telefon i dowiedziałem się, że ten chłopaczek zrobił tam jakąś machloję i dlatego przeniósł się do nas. Zdenerwowałem się jeszcze bardziej. Na zebraniu zarządu podjęto decyzję. Piach. Dla odstresowania egzekucję postanowiłem przeprowadzić sam. Zorientowaliśmy się, że Krystian ucieka, ale w czwartek jeden z moich ludzi go wyśledził. Kierował się na południe. Udało się go w końcu dopaść, ale tak jak mówiłem. To ja chciałem posłać mu kulkę w łeb. Wziąłem swój ulubiony pistolet i wyruszyłem na małą wycieczkę na łono natury. I wiecie co było najśmieszniejsze? Naprawdę zabiłem w swoim życiu trochę ludzi. Złych, bardzo złych i jeszcze gorszych. Niektórzy przed samym końcem płakali i przepraszali, inni wręcz odwrotnie. Byli całkowicie niewzruszeni. I dlatego ten Krystian mnie tak zdziwił. Na początku próbował coś tłumaczyć, ale nie chciałem go słuchać. W końcu przestał, bo i tak wiedział, że umrze. Jednak zanim kula przeszła na wylot przez jego głowę, błagał tylko, żeby powiedzieć jego ciotce, że to nie on. Rozumiecie coś z tego? Cały czas krzyczał tylko, że to nie on i że mamy to przekazać jego ciotce. Nawet kazał mi to obiecać. Tylko nie wiem, czy strzał w głowę z kilku centymetrów oznacza, że się zgodziłem, czy nie. A wy jak myślicie?

– Szary wybuchnął głośnym śmiechem.

– I to już koniec historii? – spytał Leon.

– No niestety nie mogę tego uznać za happyend, chociaż? Dla niektórych było „happy”, a dla niektórych był „end” – Szary znowu się roześmiał i wyjął kolejnego

papierosa. W tym czasie Leon sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął zdjęcie Alana, które po chwili rzucił na stół.

– A go kojarzysz?

Szary wydmuchał dym wprost na zdjęcie.

– Nigdy go nie widziałem.

– A Krystian miał jakichś wspólników?

– Nic o kimś takim nie wiem, bo szczerze mało mnie to obchodziło. Miał tylko dostarczyć towar. Taka była umowa, której nie dotrzymał.

Leon głęboko westchnął.

– Ciekawe informacje Szary. Naprawdę.

– I prawdziwe. Rzadko jestem taki wylewny. Ale nie przejmuj się, mam dziś gest.

Leon przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Szarego.

– Myślę, że na dzisiaj mi wystarczy. Wypuścisz nas? – rzekł, powoli wstając.

– Oczywiście. Dzięki Bogu, że już się zbieracie. Dziewczyny mi stygną.

Leon ironicznie się uśmiechnął.

– Jasne. Bóg z wielką chęcią przyjmie twoje podziękowania za niezastygnięte dziewczyny.

– Może tak. Może nie. Nikt nie wie, jaki on jest. Ale może chcecie się jednak dzisiaj trochę znieczulić? Bar jest dla was otwarty i darmowy. Zwłaszcza twojemu znajomemu przydałoby się małe co nieco z barowej anestezjologii – Szary przez kilka sekund wpatrywał się we mnie.

– Innym razem – powiedział Leon i skierował się w stronę drzwi. Niechętnie uściśnięciem dłoni Szarego i podążyłem też ku wyjściu. Kiedy byliśmy już na korytarzu, z pokoju dobiegł jego głos.

– Leon, pamiętaj, że jesteśmy jedynymi z ostatnich romantycznych bohaterów w swoim fachu. I naprawdę powinniśmy się nawzajem chronić.

Leon odwrócił głowę.

– Coś mi się wydaje, że te twoje dziewczyny chyba wyssały ci resztki mózgu.

– Właśnie dlatego cię lubię Leon, właśnie dlatego cię lubię... – rzekł Szary, jednak nie słyszeliśmy go zbyt wyraźnie, bo Leon zdążył już zatrzęsnąć drzwiami.

– Cholera – krzyknął Leon i uderzył kolejny raz w kierownicę. – Nie mamy nic. Nie mamy kompletnie nic.

– Trochę się dowiedzieliśmy – powiedziałem, ale zrobiłem to tak cicho, że sam do końca w to nie wierzyłem.

– Faktycznie. Dowiedzieliśmy się. Ale co nam to dało? – zakpił Leon – Wiemy już, że Krystian zrobił z minus pięćdziesiąt jeden laboratorium do produkowania

amfy albo MDMA. I że jednym ze współników była jego ciotka, bo miała klucze do tego pomieszczenia.

– Wiemy też, że Krystian prawdopodobnie oddał swój telefon Alanowi i kazał mu go gdzieś zostawić. Miał świadomość, że mafia siedzi mu na ogonie.

– Ale i tak nie mamy najważniejszego elementu. Trzeciej osoby, która ukradła cały towar i sprzęt, a wczoraj wyczyściła całe pomieszczenie jakimś mocnym detergentem. Zatarła wszelkie ślady, przy okazji wyłączając cię z życia na kilkanaście godzin. A jeszcze wcześniej nafaszerowała Barską tabletką gwałtu i starała się upochorować samobójstwo.

– A kto w takim razie zabił Alana? Myślisz, że to ta sama osoba?

Leon zaklął kilka razy i uderzył w kierownicę tak mocno, że włączył się dźwięk klaksonu.

– Może tak. Może nie. Cholera. Nie mam pojęcia. A najgorsze jest to, że pomimo tego że wiemy tak dużo, to nie mam pomysłu na kolejny krok. Żadnego elementu, który moglibyśmy dopasować. To mógł być naprawdę każdy. Znajomy Krystiana, ktoś z rodziny, ktoś poznany w barze, ktoś z czasów, kiedy działał na południu.

Nagle poczułem, że czas trochę spowalnia i oczami wyobraźni zobaczyłem, jak wielki brakujący element powoli spada, idealnie wpasowując się do naszej układanki. Przez chwilę nie mogłem wydusić z siebie ani słowa, ale kiedy już to zrobiłem, Leon przez długi czas nie mógł uwierzyć w to, co mu powiedziałem. Po dwóch godzinach zażartej kłótni i analizie wszystkich szczegółów spojrzałem na zegarek. Była 23:07 i mimo że byłem strasznie zmęczony, sen był ostatnią rzeczą, o której teraz myślałem. Płynąca w żyłach adrenalina tymczasowo usunęła to słowo z mojej głowy.

Leon wyciągnął telefon i wybrał numer do Dżina. Włączył tryb głośnomówiący, więc słyszałem każde słowo po drugiej stronie.

– Co jest? – odezwał się znajomy głos.

– Masz dzisiaj w nocy trochę czasu?

– Domyślam się, że to retoryczne pytanie.

– Trochę mnie już znasz.

– To mów, o co chodzi.

– Potrzebuję informacji. Dużo informacji. I bardzo szybkich informacji.

– Typowe marzenia policjanta – roześmiał się Dżin. – To wyślij mi maila ze spisem rzeczy, które potrzebujesz.

– Obejdzie się. Będziemy u ciebie z Mikołajem za dwadzieścia minut.

– Bądźcie za trzydzieści. Jeśli mamy siedzieć całą noc, to potrzebujemy trochę prowiantu. A najbliższy całodobowy jest kawalek ode mnie.

– Możemy gdzieś podjechać.

– Mam ochotę się trochę przewietrzyć – powiedział Dżin, po czym się rozłączył.

Leon odpalił samochód i ruszyliśmy w stronę przedmieść. W Drinkowym Hycłu impreza trwała w najlepsze. Nasza impreza dopiero się zaczynała.

Rozdział 19

„Jesteśmy tylko zbiorem atomów,
które bardzo interesująco reagują na alkohol i dragi.
Naprawdę bardzo interesująco.”

Jeden dzień później, poniedziałek, 12 grudnia, godzina 10:32.

Spojrzałem na wyświetlacz telefonu, który podarował mi Dzin. Nie było to dla niego zbytnim problemem, bo posiadał kilka nieużywanych. Ten podobno został wygrany w konkursie nowej sieci telefonii komórkowej, gdzie wystarczyło się dodzwonić jako pierwszy klient o konkretnej godzinie. Dzin wszystko zsynchronizował, a ja byłem teraz posiadaczem nowiutkiego smartfona. Cyfra 2 w prawym górnym rogu wyświetlacza zmieniła się nagle na 3, podając godzinę 10:33. Dodałem wszystkie cyfry i z uśmiechem stwierdziłem, że suma wynosi 7. To dobry znak. Przejechałem na dół książki kontaktów i wcisnąłem zieloną słuchawkę, a następnie wsunąłem telefon do kieszeni. Spojrzałem w prawo. Toldi niewyraźnie się uśmiechał.

– Trzymam kciuki – powiedział, a ja tylko skinąłem głową. Naciągnąłem mocniej czapkę i nacisnąłem klamkę, mając świadomość, że w zaparkowanym przed akademikiem samochodzie siedzi Leon. W razie gdyby sprawy trochę się skomplikowały. Wziąłem głęboki wdech i wszedłem do środka.

Zobaczyłem, jak kobieta powoli unosi wzrok, jednak wyraz jej twarzy nic mi nie mówił. Czuję, że trzęsą mi się ręce, ale zanim odsunąłem sobie krzesło, udało mi się to opanować. Rozsiadłem się wygodnie, cały czas na nią patrząc, a po krótkiej chwili założyłem nogę na nogę.

– Już pan wyszedł ze szpitala? – spytała, cały czas się we mnie wpatrując.

– Spodziewała się pani, że spędzę tam więcej czasu, prawda pani? – odparłem, ironicznie się uśmiechając, a czas w gabinecie pani Sarnowskiej – kierowniczką akademika bezskutecznie próbował się zatrzymać.

Sarnowska zmarszczyła czoło, a ja wiedziałem, że teraz przyszedł czas na ostatni element planu.

– Opowiem pani całą historię – zacząłem, starając się zachować jak najbardziej neutralny ton.

– Właśnie chciałam się dowiedzieć, czemu zszedł pan do piwnicy i co tam się stało. I niech pan przeprosi swojego współlokatora, bo trochę na niego nawrzeszczałam, ale naprawdę byłam cała w nerwach. Przecież zakazałam imprez tam na dole. I w ogóle wchodzenia tam. Jak widać nie bez powodu.

– Bardzo ciekawe – pomyślałem, ale zamiast powiedzieć to głośno, szeroko się uśmiechnąłem.

– To proszę się teraz tłumaczyć panie Mikołaju – Sarnowska odwzajemniła uśmiech. – Mam nadzieję, że wszystko skończy się tylko na naganie.

– Tak jak mówiłem, opowiem pani całą historię. Mogę zaczynać?

Kobieta skinęła głową, a metaforyczna bomba, którą wyciągnąłem, powoli zaczęła tykać.

– Będzie to opowieść o trzech osobach, które chciały łatwo zarobić kasę. Występują: pani Barska – sprzątaczką, jej bratanek – Krystian, prawdopodobnie bezrobotny. W oskarowej roli pani Sarnowska – kierowniczką akademika. I od cholery różnych ról epizodycznych.

– Panie Mikołaju na pewno nie powinien pan jeszcze leżeć w szpitalu? – krzyknęła Sarnowska.

Podniosłem dłoń w geście, żeby mi nie przerywała.

– Czuję się naprawdę dobrze. Proszę pozwolić mi dokończyć.

– Ale opowiada pan teraz jakieś głupoty. I nie bardzo rozumiem, co to za bezsensowna historia pełna jakichś pomówień. I jeszcze bezczęści pan pamięć pani Barskiej, która jak się wszyscy dzisiaj dowiedzieliśmy, kilka dni temu popełniła samobójstwo. Naprawdę zaraz będę zmuszona pana wyprosić.

Nachyliłem się i powiedziałem niemal szeptem:

– Używając do tego metalowej pały czy tym razem jakiegoś innego gadżetu?

– Panie Mikołaju proszę wyjść – krzyknęła Sarnowska, a jej twarz zaczęła nabierać czerwonego koloru.

– Nie sędzę – powiedziałem, opierając się na krześle.

– Jak to pan nie sędzi? Proszę wyjść. Natychmiast – tym razem twarz Sarnowskiej była już cała czerwona.

– Opowiem pani tę historię, czy to się pani podoba, czy nie.

Kobieta nagle zerwała się z krzesła i ręką wskazała mi drzwi.

– Natychmiast – krzyknęła.

Powoli wstałem, a w najbardziej dogodnym momencie chwyciłem ją za przedramię i z całej siły pociągnąłem w dół, tak że uderzyła łokciem o kant biurka. Po krótkiej chwili zawyła z bólu.

– Powiedziałem, że to się pani spodoba... albo nie. A tak poza tym... – wskazałem swoje podbite oko. – ...jeszcze nie jesteśmy kwita.

– Dzwonię po ochronę. I na policję – Sarnowska wyciągnęła telefon z torebki, która była przewieszona przez krzesło. – To się naprawdę w głowie nie mieści – zaczęła nerwowo wybierać numer, a a tylko szeroko się uśmiechnąłem. Po kilku sekundach twarz Sarnowskiej mocno pobladała.

– Z tego co się orientuję, sieć odłączyła pani telefon jakieś piętnaście minut temu.

Dżin naprawdę ogarnia.

– Pożałuje pan tej napaści – wycodziła przez zęby Sarnowska – Możliwe, że nawet trafi pan do więzienia.

Głośno się roześmiałem.

– Czy właśnie proponowała mi pani wspólne mieszkanie?

Po chwili kolejny raz się nachyliłem i zacząłem mówić szeptem.

– Niech pani teraz uważnie posłucha. Opowiem zaraz pewną historię, a następnie stąd wyjdę. Nic pani nie zrobię, jeśli będzie pani spokojnie siedzieć. Jeśli zachciałoby się pani krzyczeć i wzywać pomocy, uderzę panią w takim stopniu, w jakim to będzie konieczne. Zrozumiała pani?

Sarnowska tylko skinęła głową.

– Także po krótkiej przerwie kontynuujmy. Nie wiem, kto w tej historii był pomysłodawcą, jak się wszyscy dokładnie poznali, mogę się tylko domyślać, że Barska przedstawiła Sarnowskiej Krystiana. Całą trójka bohaterów postanowiła zacząć produkować narkotyki. Nie było problemu ze zbytem, bo w końcu po mieście hulała informacja, że Armia Siedmiu poszukuje producentów. Obiło się to o uszy najprawdopodobniej Krystianowi, który wcześniej zajmował się mało legalnymi rzeczami i znał się na produkcji narkotyków. Oczywiście wszystko trzeba było starannie przygotować. Problem numer jeden. Miejsce. Jak znaleźć duże, a przy okazji bezpieczne miejsce? Sarnowska wpada na pomysł, żeby użyć do tego celu piwnicy akademika, która jest zajmowana przez różne zrzeszenia studenckie. Ale tak naprawdę jest to tylko przykrywką dla organizowanych tam imprez. Wystarczyła jedna większa impreza, których tam nie brakowało i bach. Kierowniczka akademika robi aferę i wielkie pomieszczenie numer jeden stoi puste. Problem numer dwa. Rynek zbytu. Wtedy wkracza Krystian. Kontaktuje się z Armią Siedmiu i bierze pożyczkę na sprzęt i wszelkie potrzebne składniki. Problem numer trzy. Potrzebny jest jeszcze ktoś, kto będzie doglądał produkcji, kiedy nie będzie mogło być tam Krystiana. Byłoby chyba trochę dziwne, jeśli kierowniczka akademika co jakiś czas schodziłaby do piwnicy doglądać procesów chemicznych. Wtedy wkracza Barska, która została odpowiednio przeszkolona przez Krystiana. Przecież nikt nie zwróci uwagi na sprzątaczkę, która zapuszcza się w te rejony. Wszystko idzie naprawdę pięknie, lecz sielanka nagle zaczyna się kruszyć. Sarnowska wpada w długi i orientuje się, że przypadająca jej 1/3 zysków ich nie pokryje.

Sarnowska wytrzeszczyła oczy, a ja głośno się roześmiałem.

– Pewnie zastanawia się pani, skąd wiem o długach. Powiedzmy, że prześledziłem całą historię pani konta. Niestety ta odpowiedź na razie musi wystarczyć.

Dżin naprawdę ogarnia.

– Sarnowska postanawia zrobić radykalny krok – kontynuowałem.

– W weekend 4 i 5 grudnia wywozi towar z akademika. Nie wiem kto jej pomaga, ale to nieważne. Zapewne kupiec. Jak na aukcjach internetowych. Kupujący pokrywa

koszty transportu. Prawdopodobnie do akademika niespodziewanie wpada Krystian i odkrywa tajemnicze zniknięcie. A miało być tak pięknie. Przecież Barska została wysłana na urlop. Pewnie pod pretekstem, że sytuacja robi się gorąca. Wracając do Krystiana, jest przerażony, bo przecież lada dzień mija termin. Dzwoni do Sarnowskiej oraz Barskiej i nie może uwierzyć własnym uszom. One go oskarżają o zniknięcie towaru. Przecież działał w mafii na południu i na pewno to wszystko zaplanował. Oszukać dwie kobiety po pięćdziesiątce. Krystian robi się jeszcze bardziej przerażony. Dzwoni do człowieka z Armii Siedmiu i szybko się orientuje, że to był błąd. Nie znajduje tam cienia pomocy, tylko same groźby. Wie, że będzie musiał się ukryć, bo przecież już robił dla mafii. I dobrze wie, co oni robią za niedotrzymywanie obietnic. W tym momencie genialny plan Sarnowskiej zaczyna się sypać. Krystian w międzyczasie spotyka się ze swoim najlepszym przyjacielem Alanem, który jednocześnie jest jego oraz Barskiej daleką rodziną. Opowiada mu wszystko, a Alan postanawia mu pomóc. Krystian świadomy tego, że w poniedziałek mija termin, musi się ukryć. Dzwoni do Sarnowskiej z prośbą o spotkanie, a ona wyznacza termin na poniedziałkową noc. Można to też nazwać porannym wtorkiem. Jednak zamiast Krystiana przychodzi Alan, który podaje się za niego. Kilka godzin wcześniej zostawia telefon w portierni, bo o to poprosił go prawdziwy Krystian. Wiedział, że mafia może namierzać jego telefon. Kiedy Alano - Krystian czeka na Sarnowską w umówionym miejscu, a mianowicie kuchni na trzecim piętrze, do akcji wkracza druga postać epizodyczna w postaci mojej skromnej osoby. Zostawiam tam smażące się frytki i wracam do pokoju, uczyć się na kolokwium z mechaniki, bo przecież Alan obiecuje je przekładać co parę minut. Krótko mówiąc, chciał mnie się stamtąd pozbyć. Sarnowska wchodzi do kuchni i widzi tam Alana, który jak się okazuje, wie wszystko o całej działalności i grozi jej pistoletem z zeszlifowanym numerem seryjnym, który dostał od Krystiana. Sarnowska traci nad sobą kontrolę. Przecież brała pod uwagę pozbycie się Krystiana, bo później mogła zwalić wszystko na pijanych studentów. Zamiast tego dostała jakiegoś psychola celującego do niej z broni i wiedzącego wszystko o jej skromnym laboratorium. Ale Alan nie wiedział najważniejszego. Że Sarnowska ma przy sobie teleskopową pałkę, kupioną 2 lata temu przez internet.

Dżin naprawdę ogarnia.

– Sarnowska uderza Alana w głowę, przez co ten traci przytomność. Uderzenie jest tak silne, że tak naprawdę Alan ginie. Ona o tym nie wie, więc poprawia z pistoletu Alana, mając oczywiście ubrane rękawiczki. Przecież zakładała możliwość pozbycia się Krystiana, więc była odpowiednio przygotowana na niepozostawienie odcisków palców. W dodatku to kuchnia w akademiku, gdzie są miliony odcisków i innych śladów. Zabiera jeszcze tylko telefon, bo nie może mieć pewności, że nie ma tam żadnych obciążających dowodów. Grunt pali się jej pod nogami, ale jest już za późno, żeby zrezygnować. Co więcej nagle pojawia się światelko w tunelu. Policja poprzez rzecznika prasowego obwieszcza, że Alan popełnił samobójstwo. Na broni przecież znaleziono tylko jego odciski palców, a tej samej nocy rzuciła go dziewczyna. Sarnowska bierze to za dobry znak i umawia się

z Barską na środe, wcześniej załatwiając tabletkę gwałtu, bo w internecie odnajduje informację, że ten środek zmusza do mówienia prawdy. A musi się dowiedzieć, czy Barska przypadkiem nie powiedziała nikomu o ich małej laboratoryjnej tajemnicy. W dodatku może wie, gdzie ukrywa się Krystian. W końcu to rodzina. Znowu idzie gładko. Mimo że nie dowiaduje się nic o Krystianie, to upewnia się, że Barska trzymała mordę na kłódkę. Jednak i tak musi zginąć. Kolejne upozorowane samobójstwo. Może znowu się uda. Kto będzie dokładnie badał sprzątaczkę samobójczynię, której budynek został przeznaczony do rozbiórki, także musiała mieszkać w zapyziałym hostelu. A nie zdążyła się jeszcze dorobić na narkotykowym biznesie. Pozostawione ślady kolejny raz nie stanowią problemu, bo pokój sprawia wrażenie, jakby nikt w nim nie sprzątał przynajmniej od trzech miesięcy. Kolejne dwa dni utwierdzają Sarnowską w przekonaniu, że Krystiana musiała dorwać mafia, skoro tak długo nie daje znaku życia. Postanawia jednak postawić kropkę nad i. Chce dokładnie wyczyścić minus pięćdziesiąt jeden, żeby nie było tam jakichkolwiek śladów pozostawionych przez laboratorium. A jaki termin jest do tego najlepszy? Oczywiście, że piątek w nocy, kiedy większość studentów idzie na miasto lub pije na którymś z pięter akademika. Kiedy Sarnowska kończy szorować podłogę w pomieszczeniu numer jeden, słyszy, że ktoś schodzi do piwnicy. Pospiesznie gasi światło. I czeka. Pewnie zastanawia się, czy to może nie Krystian, ale przecież to niemożliwe. Po co miałby tu wracać. Teleskopowa, metalowa pałka jest przygotowana. Kiedy drzwi się otwierają, widzi niewyraźny kształt i postanawia uderzyć. Kiedy udaje się jej obezwładnić przeciwnika, ze zdumieniem odkrywa, że to nie Krystian, tylko mieszkaniak jej akademika. Mikołaj. Nie ma pojęcia, czego tu szukał, ale zostawia go rozwaloną głową i zamyka drzwi na klucz. Woli zostawić go tam na śmierć dla świętego spokoju, bo nie wie, czy ją poznał. Naprawdę woli dmuchać na zimne. Jeśli Mikołaj przeżyje, nie będzie mógł wezwać pomocy, bo jego telefon leży roztrzaskany na ziemi, a nikt go tu nie usłyszy. Oczywiście istnieje możliwość, że mogą go szukać, bo ktoś może wiedzieć, że tam schodził, ale przecież znowu nie ma żadnych śladów. Wszystko jest dokładnie wyczyszczone. Rano okazuje się, że Mikołaja znajduje jego współlokator. Sarnowska nie chce się nawet zastanawiać, skąd obaj mieli klucze, ale i tak ma świadomość, że miała szczęście. Wpadka była tak blisko. Niestety wtedy następuje katastrofa. W poniedziałkowy poranek, dokładnie o 10:33, ponad dwie i pół godziny po tym jak rozpoczęła pracę, do jej gabinetu wchodzi Mikołaj. Sarnowska nie ma pojęcia, że przez cały tydzień prowadził ukryte śledztwo z policjantem, który zajmował się sprawą samobójstwa Alana. Pomagał im też człowiek, który umie znaleźć praktycznie każdą informację, choćby na chwilę zaistniała w internecie lub jakimkolwiek komputerze podłączonym do niego. Sarnowska nie ma też pojęcia, że ci trzej mężczyźni wiedzą o numerach telefonów, które zmieniała co tydzień. Że wiedzą w jakich sklepach nabyła te karty SIM. W dodatku wczoraj odwiedzili każdego ze sprzedawców i jeden ją pamiętał. Oczywiście nie mogli skorzystać z nagrań z kamer, bo takich w tych sklepach nie było. Tak samo jak nie mogli sprawdzić tego na monitoringu wejścia do akademika, bo ktoś ukradł kartę MicroSD, przez co nic się nie nagrywało. Oczywiście nie ma na

to dowodu, ale trzeba przyznać, że kierowniczka akademika miała do tego dostęp i nie chciała dać pieniędzy na kupno nowej karty. Szczęśliwym trafem jeden ze sprzedawców karty SIM zapamiętał ją tylko dlatego, bo jak stwierdził, wpadła mu w oko. Ach, ta miłość. Przychodzi do nas w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Nawet po pięćdziesiątce. Również Pan Tatuaz, czyli recepcjonista z hostelu „Chmielowy taniec” pamiętał Sarnowską. I to już prawie koniec tej historii. Mam nadzieję, że się podobało. Mimo że wszystko było trochę fabularyzowane podczas sobotniej nocy w jednym z apartamentów na przedmieściach, nie powinno zbytnio odbiegać od prawdy.

Kierowniczka akademika głęboko westchnęła, a następnie się roześmiała.

– Panie Mikołaju, jest pan taki zabawny. Przyjmijmy czysto hipotetycznie, że ta historia jest prawdziwa. Jak udowodnicie to wszystko tej... Sarnowskiej. Przecież sam pan mówił, że nie zostawiała żadnych śladów, a te wszystkie niby dowody to tylko lepsze lub gorsze poszlaki.

Przez kilka sekund stukiałem palcami o blat biurka.

– Na początku wpadłem na pomysł, żeby panią nagrać, ale później stwierdziłem, że to bez sensu. Nie jest pani chyba aż tak naiwna, a tak w ogóle to te wszystkie motywy z nagrywaniem działają raczej tylko w filmach.

– Czyli zobaczymy się dopiero w sądzie, po tym jak za kilka minut złożę doniesienie o napaści?

– Nie sądzę – odparłem i wyjąłem z telefon. Zanim położyłem go na stole, zerknąłem na wyświetlacz. Wskazywał czas połączenia 22 minuty i 12 sekund. Przełączyłem na tryb głośnomówiący.

– Witam serdecznie pani Sarnowska. Tutaj Szary. Nie wiem, czy mnie pani kojarzy, ale chyba ukradła pani mój towar. Z utęsknieniem czekam na telefon – powiedział głos wydobywający się z głośnika.

Dotknąłem ikony czerwonej słuchawki i szybko wstałem. Kiedy wychodziłem z gabinetu, na chwilę odwróciłem głowę. Twarz kierowniczki akademika chyba nigdy nie była taka błada.

Będąc na półpiętrze, doświadczyłem razem z Tołdim pseudo déjà vu. Dolna część akademika wypełniła się odgłosem strzelającego pistoletu. Jednak nie zrobiło to już na nas takiego wrażenia, jak wtedy w nocy, bo tym razem rozmył się wśród dziennych odgłosów miasta. Tak naprawdę to chyba jedynie my zwróciliśmy na niego uwagę. Nawet się nie zatrzymaliśmy, tylko szybko ruszyliśmy na trzecie piętro, a następnie usiedliśmy na podłodze korytarza, opierając się plecami o ścianę. Brakowało tylko zimnego piwa.

– Cholera – powiedziałem nagle. – Prawie upozorowała dwa samobójstwa, ale najlepiej wyszło jej ze swoim własnym.

– To co teraz robimy? – spytał Tołdi.

Wyjąłem z kieszeni telefon i wcisnąłem mu go do ręki.

– Zadzwoń do Leona. Niech przyjedzie posprzątać ten bałagan – powiedziałem, powoli wstając.

– Czemu ja mam dzwonić? – spytał z wyrzutem Tołdi.

– Ostatnio to ja dzwoniłem i chyba wiesz, jak to się skończyło – odparłem, a następnie skierowałem się w stronę pokoju.

– Miki – krzyknął Tołdi.

Odwrociłem się.

– Co?

– Wal się.

Na mojej twarzy pojawił się szczerzy uśmiech.

– Też cię kocham. I strasznie chce mi się spać.

Dwa dni później, środa, 15 grudnia, godzina 05:29. Ostatki po wigilijnej imprezie organizowanej przez Tołdiego i Drzazgę.

Staliśmy z Tołdim na balkonie na trzecim piętrze i opieraliśmy się o barierkę. Pierwszy raz od dłuższego czasu w ogóle nie padał śnieg, a niebo było całkowicie czyste. Mimo że było dosyć mroźno, praktycznie nie odczuwałem zimna, ale zapewne zawdzięczałem to alkoholowi krążącemu we krwi.

– Wiesz o czym marzę? – rzekł nagle Tołdi. – Co roku oglądam mój ulubiony film „Skazani na Shawshank” i co roku oglądam go z inną dziewczyną. I cały czas mam nadzieję, że w końcu któraś mi powie: „przecież oglądaliśmy to rok temu”.

– A ty jej wtedy powiesz: „możemy włączyć i skoro znamy fabułę, to przy okazji możemy porobić też inne rzeczy”.

Tołdi szeroko się uśmiechnął, jednocześnie dokańczając swoje piwo. Następnie odłożył pustą butelkę do skrzynki, która stała za nami, a po chwili w jego dłoni połyskiwała identyczna butelka, z tą małą różnicą, że była pełna.

– Nie licząc tej, zostało jeszcze dziesięć – powiedział, otwierając piwo o kant poręczy.

– A w ogóle która godzina? – spytałem, obserwując ciepłą parę wydobywającą się z moich ust.

– Przecież to ty masz ten swój biały zegarek z czaszką na tarczy.

Uśmiechnąłem się i wcisnąłem przycisk podświetlania, a tarcza momentalnie pokryła się fioletową poświatą.

– Trochę po wpół do szóstej.

Tołdi zmarszczył czoło.

– Czyli Profesor jest już zaginiony od dwóch godzin.

– Mam już wzywać policję?

– Nigdy już nie wzywam policji – roześmiał się Tołdi i wyjął z kieszeni mocno wymiętą paczkę papierosów.

– Zapalisz? – spytał, próbując doprowadzić papierosy do prostszego stanu.

– Jasne. Dzisiaj szczególna noc. Akademikowa wigilia.

Obaj wybuchnęliśmy śmiechem, a ja się zorientowałem, że moja butelka właśnie zrobiła się pusta. Odwróciłem się i sięgnąłem po następną.

– Bez tej będzie już dziewięć.

Tołdi podsunął mi pod nos paczkę papierosów, w której dwa były znacznie wysunięte.

– Weź dwa – nalegał.

– Na pewno?

– Jasne. Ja i tak zapalę trzy naraz.

Po krótkiej chwili na balkonie akademika wirowało pięć jasnych kropek podzielonych na dwie podgrupy w stosunku dwa do trzech. Musiałem kolejny raz przyznać, że nikotyna połączona z alkoholem działa na mnie, jakby do kałuży benzyny wrzucić zapaloną zapalniczkę. Czyli te dwie używki znacząco przybierały na sile. Nie inaczej było i tym razem. I jak zawsze całkiem mi się to podobało.

– Szkoda, że rzuciłeś studia i się wyprowadziłeś z akademika – rzekł nagle Tołdi, biorąc sporego łyka.

– Moje studiowanie i tak jakoś za dobrze nie szło – zaśmiałem się. – A wyprowadziłem się dlatego, bo jeśli rzuciłem studia, to nie mogę mieszkać w akademiku.

– Na pewno... To wcale nie przez to duże mieszkanie, które dał ci ten cały Dżin. Prychnąłem.

– Nie dał, tylko użyczył, póki nie znajdę czegoś swojego. Muszę się tylko rozliczać za niewysoki czynsz i opłaty. I kupić kilka kwiatków. Pewnie skończy się na kaktusach.

Tołdi roześmiał się w nieodpowiednim momencie, więc zakrztusił się piwem i przez kilkanaście sekund zanosił się głośnym kaszlem. Na szczęście wszystko szybko powróciło do normy, nie licząc obfitej piany wypływającej mu z nosa.

– A tak poza tym to dostałem dzisiaj pracę – powiedziałem jak najbardziej naturalnie, jednak stwierdzenie „dostałem pracę” od zawsze trąci dla mnie jakimś dziwnym patosem.

– Naprawdę? – Tołdi pocierał twarz dłonią. – Gdzie cię przyjęli? W policji jako specjalistę od samobójców?

Uśmiechnąłem się.

– W agencji reklamowej. Byłem dzisiaj na rozmowie.

– I tak po prostu cię przyjęli?

– Tak po prostu. Przecież mam doświadczenie, bo przecież jestem stary.

– Czyli rozmowa poszła całkiem nieźle.

– Dałem radę. Powiedziałem tylko, że nigdy nie zrobię reklamy smartfona, zamrożonych frytek i teleskopowych pałek do samoobrony.

– I co oni na to?

– Od razu się spytali, czemu nie chcę reklamować tych trzech rzeczy. Zrobiłem mój najlepszy uśmiech i spytałem, czy chcą usłyszeć długą historię. Zgodzili się i wtedy opowiedziałem im cały poprzedni tydzień.

– Nie przerazili się?

– Co ty. Powiedzieli, że nigdy nie spotkali kogoś o bardziej wybujałej wyobraźni i z miejsca mnie przyjęli. Zaczynam od następnego tygodnia.

Tołdi przybił mi żółwika i zanim dopiliśmy swoje piwa, ścisnąłem mocno butelkę. Była tak wilgotna, że obie etykiety zaczęły się przemieszczać po szklanej powierzchni, przez co nie mogłem sobie pozwolić na swoją ukochaną zabawę, czyli zdrapywanie etykietek. Oczywiście dobrym zastępstwem okazało się wyzerowanie reszty zawartości.

Odłożyłem dwie puste butelki do skrzynki, a kilka sekund później moja dłoń trzymała już szyjki dwóch bardzo świeżych zamienników. I bardzo pełnych.

– Bez tych dwóch zostało siedem – powiedziałem, jednocześnie otwierając dwa piwa.

– Szczęśliwa liczba.

– Paradoks. Teraz trzynaście byłoby szczęśliwsze.

Tołdi uśmiechnął się ironicznie.

– To już moje ostatnie. Przecież muszę mieć coś na ząb, jak wstanę. Jeśli w ogóle wstanę.

– Dobra, to ja też kończę tylko ten browar i spadam.

– Nie chcesz ostatni raz przekimać w swoim łóżku? Jeszcze nie przydzielili nam nikogo nowego.

Spojrzałem na zegarek. Była 5:50.

– Zaraz szósta. Pojadę pierwszym dziennym.

– Do swojego ekskluzywnego mieszkanka pełnego kwiatów, które trzeba podlać – zakpił z uśmiechem Tołdi.

– Naprawdę kupię te kaktusy.

– Nie kupuj. To za duże niebezpieczeństwo podczas imprez, które na pewno będziesz tam organizować – Tołdi powoli przesylabizował drugą część zdania.

– A słuchałeś ten utwór, który ci wczoraj przesłałem?

– Jasne. Zmienimy nim historię rocka.

Prychnąłem.

– A tak naprawdę?

– Tak naprawdę to zmienimy nim historię muzyki.

Obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

– Wymyślę tylko wokale i gdzieś to nagramy – powiedział Tołdi, kończąc zdanie sporym łykiem.

– A masz jakiś pomysł, jako kto to nagramy?

Tołdi zmarszczył czoło.

– Chodzi ci o nazwę zespołu?

– Tak. Ja nigdy nie miałem talentu do wymyślania nazw.

Tołdi szeroko się uśmiechnął.

– Ja mam jedną w zanadrzu.

– To mów.

– Miki, co jest jednocześnie nieprzewidywalne i wszystkim się dobrze kojarzy?

– Nie wiem. Profesor?

Tołdi znowu prawie się zakrztusił.

– Chodziło mi bardziej o imprezę w pokoju w akademiku. To jest zawsze nieprzewidywalne i jednocześnie każdemu dobrze się kojarzy. Czyli nazwiemy się „Party in a Dorm Room”. Czekam na fanfary.

Uśmiechnąłem się.

– Spoko nazwa. Bierzemy ją.

Tołdi przybił mi kolejnego żółwika, a po szybkim uporaniu się z ostatnim piwem, odłożył butelki i zabrał skrzynkę, stawiając ją pod drzwiami pokoju 319.

– Trzymaj się – powiedziałem, patrząc jak męczy się z zamkiem.

– Będę tęsknić – odparł, a w tym samym momencie drzwi puściły. – Nie chcesz browara na drogę?

– Nie znasz przysłowia, że babci lekarstw się nie kradnie?

– Nie znam.

– To dobrze, bo właśnie je wymyśliłem.

Tołdi głośno się roześmiał, jednocześnie uderzając bokiem skrzynki o framugę.

– Już teraz się boję twoich przyszłych reklam.

Nic nie odpowiedziałem, tylko mu pomachałem i ruszyłem schodami na dół.

Powoli otworzyłem oczy i spojrzałem na zegarek. Była 13:08.

– Nie tak źle – pomyślałem i rozejrzałem wokoło. Cały pokój był utrzymany w jasnych barwach i oprócz ogromnego łóżka i dużej szafy nie było tutaj jakichkolwiek innych mebli. Jednak nie rozglądałem się po to, żeby podziwiać moją nową sypialnię, tylko po to, żeby zlokalizować dwulitrową butelkę wody kupioną podczas powrotu z akademika. Wypiłem duszkiem chyba z połowę i leniwie usiadłem na łóżku. Po kilku minutach bezsensownego wpatrywania się w ścianę przeszedłem do łazienki i wziąłem szybki prysznic. Następnie zjadłem śniadanie składające się z odgrzewanej pizzy i trzech szklanek wody z limonką. Później ubrałem się w moje najcieplejsze rzeczy i przejrzałem się w lustrze znajdującym się na jednej ze ścian w przedpokoju. Moje limo nie było już tak widoczne, jednak wiedziałem, że jeszcze trochę będę musiał się z nim pomęczyć. Naciągnąłem mocno czapkę i zanim znalazłem się na klatce, chwyciłem jeszcze pokrowiec z moją gitarą. Ustawiłem alarm kodem 666777 i wyszedłem z mieszkania.

Na dworze było bardzo słonecznie, jednak i tak nie przeszkadzało to temperaturze utrzymywać się poniżej dziesięciu stopni Celsjusza. Po kilku minutach szybkiego marszu dotarłem do przystanku. Podróż autobusem trwała ponad pół godziny, a w tym czasie zdążyłem przesłuchać niemal całą płytę Incubusa – „Morning View”.

Po wyjściu z autobusu musiałem przejść przez sto metrów śniegowych zasp, ale w końcu udało mi się dotrzeć pod drzwi ogromnego budynku. Stała przed nim już

ciężarówka. Pomachałem kierowcy i dałem mu znak, że zaraz do niego wrócę. Nie zapukałem do frontowych drzwi, tylko od razu nacisnąłem klamkę. Były otwarte. Szybko wbiegłem po schodach na pierwsze piętro i stanąłem przed kolorowymi drzwiami. Tym razem zapukałem.

– Proszę – odpowiedział głos ze środka.

Ostrożnie otworzyłem drzwi, a kiedy siedząca na krześle kobieta mnie zobaczyła, wysoko uniosła brwi.

– Dzień dobry Karolino – powiedziałem, szeroko się uśmiechając.

– Jednak w końcu dotarłeś.

– Z małymi problemami, ale to naprawdę długa historia.

– Później mi opowiesz, bo ktoś chyba czeka na ciebie już od tygodnia.

Nagle usłyszałem kroki i kiedy się odwróciłem zobaczyłem kilkoro dzieciaków, a każde z nich trzymało w rękach jakiś instrument muzyczny. Przewodziła im Anastazja.

– Cześć – powiedziałem. – Widzę, że skład zespołu się powiększył.

Dzieciaki równocześnie zachichotały.

– Na zewnątrz czeka ciężarówka ze sprzętem muzycznym, który zebraliśmy na charytatywnej zbiórce wigilijnej akademika – oznajmiłem. – Pomożecie mi to przynieść?

– A czego będziemy się dzisiaj uczyć?

– Jak to czego? Kolęd. Tyle, że w trochę szatańskich wersjach. Ups. To znaczy w bardziej rockowych.

– Mikołaju, proszę się trochę bardziej pilnować – wtrąciła Karolina.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

Wiem, że mogą mnie nazwać kolesiem, który marzy tylko o karierze gwiazdy rocka. Ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Chyba prawdą jest stwierdzenie, że gwiazda rocka to taka osoba, która zaraża innych pasją do grania. I póki będę starał się to robić, będę się czuł najprawdziwszym Rockstarem. Po prostu.

PS. Jak to mówią ludzie po trzydziestce: „jestem za stary, żeby umierać”.